2390-7

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

1

TWÓRCZOŚĆ

STYCZEŃ 1951 ROK

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:
no. 2, 5-6 1951

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 1
WARSZAWA STYCZEŃ 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Drukarnia nr 5 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik"
Zamówienie 2080. nakład 6470 1951 r. B-132889

KAZIMIERZ WYKA

STEFAN ŻEROMSKI

Referat wygłoszony na akademii ku czci Stefana Żeromskiego

I

Stefan Żeromski był pogrobowcem powstania styczniowego. Urodził się w roku 1864, kiedy na obszarach zaboru rosyjskiego konało powstanie i konał jednocześnie feudalizm polski. Bo rok ten, w którym ostatnie partie powstańcze błądziły po świętokrzyskim pogórzu, ziemi rodzinnej pisarza, był jednocześnie rokiem uwłaszczenia chłopów w Królestwie Kongresowym. Był rokiem aktu prawnego znoszącego ostatnią bazę ustrojowo-gospodarczą feudalizmu, aktu, jaki na ziemiach Królestwa Kongresowego przychodził najpóźniej ze wszystkich zaborów. I w tym rozumieniu użytego przed chwilą terminu Żeromski był pogrobowcem powstania styczniowego, że fakty społeczne i historyczne stojące u kolebki pisarza urobiły głęboko jego losy życiowe, zaważyły na ideologii, długo i uporczywie wcielały się jako temat w jego sztukę pisarską.

W jaki sposób urobiły te fakty jego losy życiowe? Już ojciec pisarza policzony być może do rzędu typowych rozbitków dworu szlacheckiego. Do rzędu zatem ludzi, którzy pod naciskiem wydarzeń politycznych, przede wszystkim klęski powstania, oraz w warunkach kapitalizmu coraz głębiej przeorującego strukturę społeczną naszego kraju, zostali wyrzuceni ze swej klasy społecznej i w szeregach innych klas musieli szukać dla siebie miejsca. Syn tym bardziej. Dwór szlachecki znał on tylko z wędrówek guwernera, który lata studenckiej głodówki i tyfusu nadrabiał pobytem u zamożniejszych krewnych — bo takie bywały przygody młodości Żeromskiego.

Przykład Żeromskiego mówi jednak nie tylko o jego losie osobistym. Jest to przykład typowy dla wzrostu kadr inteligencji polskiej w II połowie XIX wieku. Bo rozbitkowie dworu szlacheckiego zasilali przede wszystkim szeregi tej warstwy społecznej. Zasilali wśród skutków sprzecznych dla ideologicznego wyglądu inteligencji polskiej. Przewagę bowiem wśród tych rozbitków stanowili ludzie, którzy wszystkie złe narowy szlachetczyzny, całe jej wstecznictwo i izolację od innych klas społecznych wnosili w szeregi inteligencji, na długo tymi przywarami ją zarażając. Lecz było również skrzydło, które się radykalizowało, i do tego właśnie radykalizującego się skrzydła należy Żeromski.

Radykalizowało się to skrzydło na skutek warunków i pozycji, jakie coraz silniej rozwijający się kapitalizm narzucał inteligentowi ostatnich dziesiątków lat XIX wieku. W kraju na pół kolonialnym, jakim była Polska ówczesna, usługi zawodowe, a tym więcej usługi ideologiczne inteligenta potrzebne mu były w wymiarze minimalnym. I to

raczej potrzebne były usługi inteligenta technicznego, który też radykalizował się w stopniu znacznie niższym, a niepotrzebne były usługi inteligencji humanistycznej, jaka w związku z tym radykalizowała się w szerszych wymiarach.

Posłuchajmy przez chwilę samego pisarza: „Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, iż dziury w podeszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny jak kaftan wariata... Bieda nastraja go pesymistycznie... Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befsztyk — lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie." Chodzi o dr. Obareckiego z noweli „Snaczka", ale naprawdę chodzi — bo fragmentów podobnych jest wiele w dorobku pisarza — o typowy los inteligenta z tego kręgu, z jakiego wywodzi się Żeromski. Obarecki przynajmniej uniwersytet ukończył, a Żeromski w takich warunkach nie skończył nawet gimnazjum.

Posłuchajmy go jeszcze raz: „Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył Instytut Komunikacji w tym samym okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares szepcząc: zagrabiaj, o piękny posągu!... Nie tylko tendencja pisarska śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze na domiar szczęścia panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły znienacka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i czuwając oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej niż panny ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego warszawskiego powroźnika, którego urocza córka pielęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stronic z dzieła Buckle'a."

Apotezowany przez pozytywistów inżynier, inteligent techniczny w służbie burżuazji, traci pod piórem Żeromskiego niepowrotnie swój nimb, albowiem tracił go w rzeczywistości klasowej. Wystarczy jeszcze wspomnieć z „Przedwiośnia" karierę ojca Cezarego, pana Seweryna Baryki czy willę na Krymie tegoż inżyniera Bijakowskiego, by przez kontrast ze studencką biedą, paltotem jak kaftan wariata wytyczyć przeciwne bieguny ówczesnej inteligencji oraz biegun Żeromskiego, biegun radykalizmu jego lat młodych.

Pełnych rozmiarów radykalizmu młodego Żeromskiego jeszcze nie znamy. Lecz fakty już ogłoszone pozwalają tych wymiarów się domyślać. Student gimnazjalny w Kielcach marzy o dziełach poświęconych Petöfiemu, Garibaldiemu, Mazziniemu, Ściegiennym. Ten sam student notuje w swoich dziennikach — „szczęście naszej ojczyzny, zbawienie tego kraju widzę jedynie w socjalizmie rosyjskim". Oczywiście w roku 1883, kiedy te słowa pisze, może mieć na myśli tylko narodników — nie o to przecież chodzi, lecz o samo wskazanie zawarte w jego myśli.

Z pozycji, jaką zakreślają cytowane przed chwilą urywki, rozpoczyna się twórczość Żeromskiego w dziesięcioleciu 1890—1900. Obejmuje ona takie utwory jak „Opowiadania" (1895), „Promień" (1897).

„Utwory powieściowe“ (1898) — i dwie jego pierwsze głośne powieści: „Syzyfowe prace“ (1898) i „Ludzie bezdomni“ (1900).

To pierwsze dziesięciolecie twórczości pisarza określają jednak nie tylko losy warstwy inteligenckiej, do której on należy. Kapitalizm przerasta coraz jaskrawiej w fazę imperialistyczną. Jego sprzeczności ustrojowe obnażają się w sposób, który okiem Żeromskiego dostrzeże czujny i radykalny inteligent. W roku 1893 powstaje SDKP, ale równocześnie w ruchu robotniczym ujawnia się odłam reformistyczno-nacjonalistyczny.

Te podstawowe wydarzenia ideologiczne i klasowe owego dziesięciolecia odezwą się później w twórczości pisarza. Sprzeczności jego dzieła w nich będą znajdowały swoje źródło. Sprzeczności pomiędzy osobistym programem Żeromskiego, głoszonym przez jego ulubionych bohaterów, wcielanym przez wielokrotne utopie jego dzieł, programem zawsze dalekim od rewolucyjności, a pomiędzy obiektywną wymową jego dorobku. Wymową radykalizującą i rewolucjonizującą czytelnika. Radykalizującą poprzez występujące w niej ustawicznie ostrze nienawiści wobec kapitalizmu, współczucie dla uciśnionych, czujną walkę o ich prawa i poprawę doli.

Twórczość Żeromskiego w tym okresie daje się ująć terminem — realizm krytyczny. Żeromski jest pośród pisarzy Młodej Polski jedynym rzetelnym dziedzicem tradycji polskiego realizmu krytycznego. Jest on bowiem pisarzem, u którego nurt realizmu krytycznego, mimo wszystkie jego załamania, nie zanika aż do końca twórczości. Nie o termin ogólnikowy przecież chodzi, lecz o jego zawartość. Ta zawartość jest u Żeromskiego o wiele dobitniejsza w ujawnianiu sprzeczności i zbrodni ustroju kapitalistycznego, aniżeli u jego poprzedników w prozie. Brzemię bezlitosnego wyzysku człowieka pracy; beznadziejna dola proletariatu wiejskiego; egoizm i chciwość ludzi posiadających; zacofanie drobnomieszczańskiej prowincji polskiej; — na wszystkie te rany społeczne palec Żaromskiego kładzie się twardo i bezlitośnie. Uprawianą przez siebie metodę budzenia sumień obrazami nędzy i krzywdy społecznej określi on sam najlepiej, kiedy napisze, że trzeba rozrywać rany polskie, ażeby nie zabliźniły się błoną podłości.

I chociaż spojrzenie społeczne Żeromskiego będzie się później wielokrotnie mącić, ta pasja demaskatorska i antykapitalistyczna pozostanie w jego dorobku na zawsze. Pozostanie jako jego część najbardziej cenna, nie tracąca nic ze swej aktualności, dopóki istnieją formacje społeczne, w które ona uderzała. Zwłaszcza, i to jeszcze trzeba zapisać na chwałę Żeromskiego, iż poznawszy burżuazyjne kraje zachodnio-europejskie nie dał się zwieść ich złudnym pozorom cywilizacyjnym. Nie dał się, aczkolwiek bodaj wszyscy przed nim pisarze polscy, nie wyłączając Prusa, nie umieli pod maską rozwoju cywilizacyjnego tej Europy odczytać jej kapitalistycznych i pełnych ucisku treści. Tymczasem w imieniu Żeromskiego tak ogląda ustrój Francji burżuazyjnej Nienaski, a słowa jego dowodzą, jak trwałe korzenie w twórczość wielkiego pisarza zapuściła jego pasja demaskatorska i antykapitalistyczna.

„Jakże mu było żal tych tęgich mężczyzn, przeznaczonych na to, żeby zniweczyli pracami swe ciało, kobiet, osądzonych już w dzieciństwie na to, żeby ich piękność wyżarta została przez ślęczenie nad jednym jedynym zadaniem. Z dnia na dzień postrzegał to wyraźniej, że wszelkie wysiłki obłudy, uczonej we wszelkich szkołach filozofii, na wszystkich pozycjach postępów wiedzy prawniczej, że żaden manewr rezonującej uczenie przebiegłości adwokatów zbytku, że największa tej ziemi siła rozumu czy pięści, nie da rady, nie zmoże tego misterium, jakim jest nędza, pogrążona w pracy dla cudzego zbytku, wygody i dobra. Ponury ocean, chodzący tam i z powrotem. Wszystka kultura, wszystka bezwzględnie, oparta na tym bezprawiu, przedstawiała się jak wenecka Campanilla, stojąca na zgniłych palach."

II

Pierwszy okres twórczości żeromskiego zamykają „Ludzie bezdomni". Trudno o tym dziele, o jego przejmujących pięknościach i partiach, skończenie wątpliwych ideologicznie, rozprawiać tylko przy użyciu skalpela terminologii krytycznej. Powieść ta bowiem i jej reprezentatywny charakter, dr Tomasz Judym, zbyt mocno zaważyli nie tylko na literaturze, ale i na świadomości ideologicznej polskich mas czytelniczych, by wolno było w ten jedynie sposób ustalać jej rolę. Od Judyma bowiem wywodzi się łańcuch bohaterów powieściowych pisarza, którzy wypowiadają jego osobistą ideologię i program. Dr Raduski z „Promienia", Judym, Czarowic z „Róży", Rozłucki z „Urody życia", Nienaski z „Walki z szatanem", oto ów łańcuch, którego dalszy i zapóźniony szczątek stanowi jeszcze Przełęcki z „Przepióreczki".

Tymczasem zagadnienie takiego właśnie bohatera pozytywnego należy do spraw, które w twórczości żeromskiego muszą być nazwane po imieniu, chociażby nawet nazwa miała wypaść surowo. Prawdy nie zniesie tylko mierny pisarz, a nie twórca pokroju Żeromskiego. Pozytywny jego bohater to zawsze inteligent, samotnie usiłujący przebudować świat. Nawet wówczas czyniący to samotnie, jeżeli będzie on pochodzenia proletariackiego, jak w wypadku Judyma. Ten samotny bohater i reformator działa w oderwaniu od jakiejkolwiek klasy społecznej, a przede wszystkim tej jedynej, która jego walce z kapitalizmem i burżuazją dać mogła masowe i rewolucyjne podłoże — w oderwaniu od klasy robotniczej. Dlatego orężem jego działania będzie najczęściej społeczna i ustrojowa utopia — przez pisarza bynajmniej nie traktowana jako utopia. Lecz o utopii później.

W takim ustawieniu owego bohatera ujawniło się najsilniej inteligenckie ograniczenie horyzontu społecznego Żeromskiego. Wyrażał się jego — nie łatwy do zanalizowania w swych przyczynach — lęk przed masą ludową i środkami rewolucyjnej walki. Żeromski bowiem dobrze zdawał sobie sprawę z funkcji takich bohaterów. Pod koniec życia, już pod wrażeniem Wielkiej Rewolucji Październikowej, napisał

wprost: „Rysowałem wielokrotnie fikcyjne postacie takich patriotów i owo zrzeczenie się dóbr na rzecz ludu propagowałem wytrwale, przez całe życie, — psując do gruntu jaką taką wartość artystyczną swych pisanin. Czasy nadeszły ciężkie dla posiadaczów. Nie słuchali niczyjego głosu. Obrzucali, za pośrednictwem pism swych najemników gazeciarskich, wszelakimi zniewagami tych fantastów, którzy potrzebę ofiary, konieczność reform głosili wytrwale i spokojnie, a nóż do gardła przystawiony w ciemności czasu przewidywali."

Dlatego pozytywni bohaterowie Żeromskiego — to tylko forma ostrzeżenia przed rewolucją i utopijna próba jej zapobieżenia. Dlatego wyolbrzymiona przez inteligenckiego odbiorcę jego twórczości, wyolbrzymiona przez idealistyczne literaturoznawstwo ich rola fałszuje istotne proporcje dorobku wielkiego pisarza. Fałszuje, albowiem jego główny akcent umieszcza w najbardziej kruchym i nie do przyjęcia miejscu twórczości. I stąd dają się zastosować do Żeromskiego słowa, które Lenin napisał o Tołstoju: „Lud rosyjski dopiero wtedy wywalczy sobie wolność, kiedy zrozumie, że nie od Tołstoja powinien się uczyć walki o lepsze życie, lecz od tej klasy, której znaczenia Tołstoj nie rozumiał, a która jedynie zdolna jest zburzyć znienawidzony przez Tołstoja stary świat — od proletariatu."

Nie można oczywiście powiedzieć, ażeby Żeromski, jak Tołstoj, zupełnie nie rozumiał znaczenia proletariatu. Jeżeli jednak samotnego inteligenta wyznaczał na pozaklasowego przewodnika narodu, jest w tym dowód, że znaczenia tego nie doceniał w swoich osobistych koncepcjach. Cały różaniec tych inteligentów, ofiarników, szlachetnych reformatorów, staje się w jego dorobku ogniwem bardzo odległym od prawdziwej postępowości i radykalizmu pisarza.

Główny akcent walki klasowej nie rozgrywa się bowiem u Żeromskiego na odcinku proletariat-burżuazja, lecz biedota wiejska-obszarnik. To przesunięcie wiąże się z doświadczeniem społecznym radykalnych i postępowych w ciągu XIX wieku elementów szlacheckich, jakich dalekim potomkiem jest jednak Żeromski. Prowadzi ono jednocześnie do tej części jego twórczości, która wyjątkowo silny wyraz dała konfliktowi klasowemu, który był zasadniczym dla polskiego feudalizmu i okresu jego likwidacji, a który również po uwłaszczeniu chłopa nie stracił ostrości. Jego ostrość dostrzegał Żeromski przede wszystkim w swych wielu utworach historycznych. Odsunięte nieco w cień przez prozę o tematyce współczesnej, bynajmniej na tę pozycję nie zasługują.

Cykl utworów historycznych Żeromskiego rozciąga się na całą jego twórczość. Jeżeli chodzi o chronologię tematów historycznych, a nie chronologię powstawania dzieł przynależnych do tego cyklu, układa się ona w sposób następujący: opowieść „O żołnierzu tułaczu" (1898), dramat „Sułkowski" (1910) i „Popioły" (1904) — epoka napoleońska w jej dużej rozciągłości, od legionów Dąbrowskiego po rok 1812. Zaginiona powieść „Iskry" oraz fragment „Wszystko i nic" — powstanie 1831, emigracja, ruchy konspiracyjne poprzedzające Noc Listopadową. „Turoń" (1923) — galicyjska próba powstańcza z roku 1846 i sprawa Szeli.

Wreszcie te ogniwa, gdzie temat historyczny przechodzi bezpośrednio w doświadczenie własne, w tradycję domową pogrobowca powstania styczniowego — rok 1863. W cyklu historycznym reprezentuje jego problematykę surowa i podniosła klechda o „Wiernej rzece" (1912). W prozie współczesnej towarzyszy jej wstrząsający obraz powstańczy „Rozdziobią nas kruki, wrony" oraz „Echa leśne". Poza tym cyklem tematycznym znajduje się tylko „Duma o hetmanie" (1908) — przejmujące widowisko szlacheckiej anarchii i hołd złożony postaci Żółkiewskiego jako głosiciela zgody polsko-rosyjskiej.

Od tego właśnie ogniwa historii porozbiorowej, jakie ukształtowało losy społeczne Żeromskiego, kieruje on ku przeszłości dwa główne i nierozłączne pytania. Pytanie o przebieg walk narodowo-wyzwoleńczych w XIX wieku i pytanie o wpływ na te walki ucisku klasowego chłopa. Żeromski jest bowiem pisarzem, który pierwszy w naszej prozie skierował jej uwagę historyczną na porozbiorowe stulecie i społeczną przyczynę klęsk kolejnych zrywów wolnościowych i powstań. A ponieważ rzeczywistą przyczyną tych klęsk był egoizm klasowy szlachecki, który okowami pańszczyzny i uporczywego przy niej trwania odtrącał masę chłopską od udziału w walce narodowo-wyzwoleńczej, problem ten przeniósł się w twórczości Żeromskiego na stosunki jemu współczesne i sprawił, że centralną kwestią jego ideologii jest nadal sprawa chłopa w walce z obszarniczym uciskiem.

Powody tak ukształtowanego, niewątpliwie postępowego zwrotu do przeszłości zawierały się, oprócz doświadczenia roku 1863, w biografii samego pisarza. Żeromski w roku 1892 na kilka lat opuszcza kraj i obejmuje stanowisko bibliotekarza w Polskim Muzeum Narodowym w Rapperswilu. Po powrocie do Warszawy dalszych siedem lat pracuje w Bibliotece Zamoyskich. I tam, głównie w Rapperswilu, styka się z dorobkiem ideologicznym emigracji po roku 1831. Otwiera się przed nim cały wachlarz kierunków i idei politycznych tej emigracji, szczególnie jej postępowych i radykalnych nurtów. Znajomość tych odłamów myśli emigracyjnej, które odzyskanie niepodległości pragnęły połączyć z antyfeudalną rewolucją chłopską, zlewa się w jedną całość myślową z własnymi przekonaniami pisarza. Żeromski znał dobrze publicystykę gromady Grudziąż. pisma Henryka Kamieńskiego, zamierzał też pisać o Stanisławie Worcellu.

Znajomość ta o tyle jest postępowa na tle burżuazyjnej ugodowości wobec zaborców z końca wieku, że pokazuje Żeromskiemu bojowe tradycje myśli polskiej, dalekie od politycznej i społecznej ugodowości. O tyle znów ogranicza ona horyzonty pisarza, zwłaszcza w późniejszych jego dziełach historycznych jak „Turoń", że narzuca mu sugestię, jakoby cała szlachta polska tego czasu zajmowała takie stanowisko, na jakim stoją jej najbardziej postępowi reprezentanci. Żeromski, który początkowo dostrzega wyraźnie wsteczne i egoistyczne elementy, ilościowo w tej klasie przeważające, w późniejszym okresie usuwa je coraz bardziej ze swego pola widzenia.

Póki jednak oskarża, czyni to w sposób twardy i bezwzględny. Oskarżając zarówno szlachcica z początków XIX stulecia jak współczesnego mu obszarnika za ucisk chłopski, Żeromski nie cofał się przed obrazami o napięciu polemicznym i oskarżycielskim, jakim podobnych nie zna nasza literatura. Naturalistyczny zgrzyt i tragiczna ironia towarzyszyły tym oskarżeniom na ich szczeblu najbardziej przejmującym. Któż zdoln y jest zapomnieć zakończenie „Rozdziobią nas kruki, wrony", kiedy chłop obdarłszy trupa powstańca i ściągnąwszy z konia uprząż wraca uszczęśliwiony do chałupy, a pisarz dopowiada za niego:

„Tak bez wiedzy i woli, zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i za cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokrąg, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknymi. Głęboko, prawdziwie, z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznym miłosierdziu swoim zesłał mu tyle żelastwa i rzemienia..."

Widzenie ścisłej łączności pomiędzy niepowodzeniami walk wolnościowych a sprawą chłopską nie rozkłada się u Żeromskiego równomiernie na wszystkie jego utwory. „Popioły", aczkolwiek stanowią dzieło najobszerniejsze i najbogatsze w treść obyczajową oraz batalistyczną, aczkolwiek wraz z „Sułkowskim" rysują sprzeczność między wolnościowym i narodowym interesem Polaków a imperialistycznymi podbojami Napoleona, widzenie to raczej zacierają. Za to rzecz „O żołnierzu tułaczu" i pierwszy akt „Sułkowskiego" przemawiają z pełną dobitnością. W „Żołnierzu tułaczu" przemawiają losy żołnierza legionów Dąbrowskiego Matusa Puluta, który po powrocie do wsi rodzinnej będzie nadal tylko chłopem pańszczyźnianym i zostanie ukarany jako zbieg. Chór chłopów polskich, żołnierzy podobnych Pulutowi, powtarza w „Sułkowskim":

„Przebijesz ścianę niemiecką, przyjdziesz w swoje dziedzictwo. I znowuj pojmie cię karbowy na pańskie... mundur wojacki każe ściągnąć do ostatniego lejbika, rzemienie wojackie zawrze w komorze, a będzie ci swoim starym rzemieniem plecy orał jako ojcom, dziadom, pradziadom."

III

Rok 1905 głęboko i trwale wstrząsnął twórczością Żeromskiego. Wzniesienie fali rewolucyjnej wywołało w jego dziele wzrost nastrojów rewolucyjnych i wzmożenie krytyki ustroju, jej opadnięcie na długo zamąciło perspektywy ideologiczne. Krótkie preludia prozaiczne jak „Nokturn", „Nagi bruk", „Sen o szpadzie", „Słowo o bandosie" mówią o tym, co rewolucja dawała dziełu Żeromskiego. W „Nagim bruku" obraz pochodu robotniczego, który powtórzy się w zakończeniu „Przedwiośnia". W „Słowie o bandosie" najsilniejszy akcent walki o krzywdę wiejskiej biedoty. W „Nokturnie" przypomnienie Wielkiego Proletariatu w osobach — „czterech mężów Proletariatu, którzy po raz pierwszy w dziejach wschodu Europy złączyli wolne ręce i spoili święty

entuzjazm ludu polskiego ze świętym poświęceniem ludu Rosji, a za najdostojniejszą sprawę... po społu bohaterskie dali gardła."

Lecz już „Róża" (1910), dramat mający w intencji pisarza stworzyć syntezę roku 1905, jest świadectwem, jak odpływ ruchu rewolucyjnego burzy radykalizm i postępowość Żeromskiego. To burzenie odbywa się w dwóch kierunkach. W programie ideologicznym pisarza zwyciężają idee dalekie nawet od socjalizmu reformistycznego. Żeromski za najlepszą monetę przyjmuje pomysły syndykalistów, i pomysły te na długo, bo aż do publicystyki z pierwszych lat niepodległości, zagnieżdżą się w jego pismach. To pierwszy kierunek burzenia. Na drugim niechęć do środków rewolucyjnych, więcej — indywidualistyczny opór wobec jakichkolwiek form zorganizowanego partyjnie działania podsunie Żeromskiemu nadzieje, że utopia złagodzi i rozwiąże rzeczywistą walkę klasową.

Przykłady tych utopii to przebudowa ustroju rolnego przez wielkoduszny dar magnata ziemskiego Bodzanty w „Dziejach grzechu" (1908). To dalej marzenie o automatycznie cennej i dobroczynnej roli wynalazku technicznego — promienie wojenne Czarowica w „Róży", samolot Rozłuckiego w „Urodzie życia" (1912). Marzenie o roli cennej bez pytania o to, jakiemu ustrojowi wynalazek służy. Wreszcie wielki finansista i kapitalista, który społeczeństwu oddaje całe zagłębie przemysłowe — Nienaski i Granowski w „Walce z szatanem" (1916-19) — utopia do najwyższej potęgi.

Jednakże i teraz nie przepada w twórczości Żeromskiego wielki realista. Występuje on tam, gdzie przeprowadza diagnozę stanu chorobowego, jaki pragnąłby leczyć utopiami. Ta diagnoza wstępna prawie wszędzie jest słuszna. Nawet wówczas, kiedy całe określone dzieło Żeromskiego czyni wrażenie utworu ukształtowanego przez siły, nad którymi on absolutnie nie panował i z których wymowy nie zdawał sobie sprawy. Takim dziełem jest np. trylogia „Walka z szatanem". Jeżeli wolno użyć metafory, czyni ona wrażenie rozległego łańcucha górskiego, połamanego i potrzaskanego od wewnątrz jakimiś potężnymi ruchami tektonicznymi. Ruchy te pochodzą z głębi imperializmu. Nie ma bowiem w literaturze polskiej utworu, który by pod podszewką utopii o dobrym kapitaliście, pod podszewką syndykalistycznych i antyrobotniczych wyznań mocniej świadczył o tej fazie gnicia kapitalizmu.

Cóż bowiem dzieje się z pozytywnym bohaterem Żeromskiego? Nienaski, by zdobyć majątek, zostaje graczem giełdowym i nie cofa się przed szalbierczymi sztuczkami, bo w epoce kapitału bankowego tylko takimi sposobami zdobywało się fortunę. Judym, który został strohmanem giełdziarskim u wielkiego milionera — oto, co imperializm czyni z onegdajszych radykalnych studentów w rozdeptanym obuwiu! Postać kobiety niezwykłej i idealnej, ukochana Nienaskiego, Xenia Granowska, okazuje się po prostu istotką zakochaną w blichtrze i zbytku kapitalistycznym. Osoba jej ukazuje, że pod maską miłosnej metafizyki podobne marzenie o kobiecie z wyższego świata kryło się u poprzednich bohaterów Żeromskiego.

W powieści roi się od podejrzanego kalibru tzw. ludzi interesu i odczytać w niej można zaczątki faszystowskich marzeń o potędze w obrębie kapitalizmu. Nienaski rozmyśla: „Jeżeli chcę mieć świat takim, jak chcę, powinienem uczynić go takim, jak chcę. To nieprawda, iż go takim uczynić nie można! Powinienem narzucić mu się na tyrana, odcinać z ramienia łeb hydrze, ciągnąć wszystko w kierunku swoim... Jeżeli świat jest tak zbudowany, że na jego powierzchni może istnieć prawnie miliarder obok i na karkach miliona nędzarzy, to czemuż nie korzystać z tego sobaczego bezprawia?“ I w tym samym cyklu skreśli Żeromski kapitalną postać kombatanta pierwszej wojny światowej, malarza Leszka Śnicy, człowieka mocnego według nietzscheańskiego wzoru, dla którego wojna jest żywiołem, a pokój będzie klęską. Jeżeli ten Śnica, doskonale znający Włochy, przeżył całą wojnę, nie zdziwiłaby nas jego obecność pośród czarnych koszul.

Nie wydobywamy tych momentów, ażeby obciążać nimi konto ideologiczne pisarza. Całkiem przeciwnie: właśnie one świadczą o realistycznej przenikliwości Żeromskiego — i one pozwalają wymierzyć sprzeczności najbardziej utopijnego okresu jego dorobku. Po jego horyzoncie płyną utopijne i pozaklasowe obłoki pomysłów ideologicznych Żeromskiego, w swojej utopijności również uwarunkowane rozkładem ideologii oraz pisarstwa inteligencko-mieszczańskiego w dobie imperializmu, uwarunkowane naciskiem agresywnej burżuazji tego czasu również i na ruchy robotnicze. Na horyzoncie utopijne obłoki, ale na ziemi powieści Żeromskiego — wsteczne i agresywne siły i objawy imperializmu, siły zniekształcające wygląd ideologiczny jego bohatera pozytywnego.

I kiedy pod koniec drugiego tomu „Walki z szatanem“ od kul tajemniczych mścicieli ginie Nienaski, a od tyfusu Xenia — naprawdę co innego zaszło. W klimacie imperializmu, w klimacie nadciągającej pierwszej wojny imperialistycznej ginie ostatnia para pozytywnych bohaterów Żeromskiego i nigdy ich już później nie napotkamy w jego twórczości. Ich miejsce zajmują tylko Granowscy i Śnicowie. Sam zaś ten fakt dowodzi przykładowo, jak dalece szkodliwy wpływ inteligenckich utopii Żeromskiego neutralizuje i równoważy sama wymowa obiektywna jego dzieł, wymowa ich realizmu. Jeżeli oczywiście zaufać tej wymowie, a nie osobistym sugestiom pisarza.

W miarę jak upływ czasu oddala od nas epokę i problemy ujmowane przez Żeromskiego, ten proces będzie się zapewne pogłębiał. Realistyczna wymowa jego dorobku, z korzyścią dla wielkiego pisarza, górować będzie zapewne nad manowcami jego ideologii. I w tym również sensie dadzą się odnieść do Żeromskiego słowa Lenina o Tołstoju: „Odzwierciedlił wezbraną nienawiść, dojrzałe dążenie do lepszego jutra, chęć uwolnienia się od przeszłości — oraz niedojrzałość marzycielstwa, niedojrzałość wynikającą z braku politycznego wychowania, z braku kośćca rewolucyjnego.“

IV

W lata niepodległości po pierwszej wojnie światowej wkraczał Żeromski z ideami urobionymi w najbardziej utopijnej fazie swej ewolucji. Uznał, że własne państwo będzie terenem, na którym hasła jego, hasła pozaklasowej i antyrewolucyjnej działalności reformatorskiej, zostaną urzeczywistnione. Wzmożonej propagandzie tych twierdzeń oddał swoje pióro publicysty.

Z jednej strony wyrażał radość i nadzieję, że w warunkach własnego państwa z ramion pisarzy zostaną zdjęte obowiązki przewodników społecznych narodu i że on sam będzie mógł oddać się spokojnej uprawie sztuki. Z drugiej natomiast on, twórca, któremu pięknostki formalistyczne i estetyczne były jak najbardziej obce i nienawistne, który pisarstwo pojmował zawsze jako służbę społeczną — służbę tę pełni dalej. W komedii „Uciekła mi przepióreczka" raz jeszcze powrócą marzenia pozytywistyczne o oświacie niesionej w najszersze kręgi i złudzenia o dobrych księżniczkach oddających na ten cel całe majątki. Wśród jego marzeń ówczesnych są takie, które trudno dzisiaj czytać bez głębokiego wzruszenia.

Oto stara Warszawa w oczach Żeromskiego: „Wytoczyły się w pola ulice, na wzór wsi, jak mokotowskie przedmieście, albo spiętrzyły się jedno obok drugich bezładnie stawiane czupiradła w forsownie zabudowanych osiedlach. Dawne, piękne, stylowe Stare Miasto, otoczenie katedry, zamieniło się na brudny i cuchnący zaułek, siedlisko nędzy i rozpusty". A oto marzenie o nowej Warszawie. Nie mógł przeczuć Żeromski, iloma klęskami zapłaci jeszcze lud polski, iloma ofiarami pokryje stolica realizację tego marzenia:

„Przygotowują się architekci, inżynierowie i artyści, ażeby wielkie, zaniedbane, bezładne miasto opasać nieprzerwaną linią ogrodów, wychodzącą ze zburzonej i zadrzewionej cytadeli, wzdłuż Wisły, do Łazienek i po drugiej stronie nieszczęsnych dzielnic... Warszawa nowoczesna winna dążyć do pobudowania elektrycznych kolei, które by wywoziły ludność ubogich dzielnic do przepięknych lasów wilanowskich, natolińskich, kabackich, oborskich, tych naturalnych parków wielkiego miasta, przestworów czystego powietrza — oraz odrodzić, zasadzić na nowo i przemienić na park narodowy kampinowską puszczę... Z jakąż tęsknotą obejmujemy okiem wieniec ogrodów, złączony w pas drzew nad Wisłą, tym najbliższym i najobszerniejszym rezerwuarem powietrza, zawiązek przyszłego, wielkiego, nadwiślańskiego parku."

Bo cokolwiek by się powiedziało przeciwko środkom realizacyjnym, jakie proponował Żeromski, marzenia jego wybiegały w przyszłość wolnego społecznie ludu polskiego. Z myślą o takich marzeniach Lenin w „Co robić?" cytował z pełną aprobatą słowa Pisariewa: „Rozdźwiek pomiędzy marzeniem a rzeczywistością nie wyrządza żadnej szkody, jeżeli tylko osoba marząca poważnie wierzy w swe marzenia, jeżeli przypatrując się życiu porównywa swe obserwacje ze swymi zamkami na lodzie i w ogóle sumiennie pracuje nad urzeczywistnieniem swego

marzenia." Tego samego Pisariewa czytał z przejęciem Żeromski — student kielecki i zanotował o nim w swoich dziennikach młodzieńczych: „Wieje (z jego dzieł) serdeczne ciepło przekonania — głęboka miłość ludu i niedoktrynerski, ale ciepły, serdeczny duch republikański."

Ten powrót oznaczał bowiem dla Żeromskiego urzeczywistnienie myśli politycznej stale obecnej w jego dziele. Nie był on bowiem nigdy chwalcą prącej na wschód Polski szlacheckiej, a przyszłość ojczyzny oglądał na jej pradawnych ziemiach. Swoim uczestnictwem w plebiscycie 1920 roku na Mazurach, swoim wołaniem skierowanym do pisarzy, że powinni opiewać powrót Śląska jako podstawowe wydarzenie powstającego państwa, stawiał drogowskazy, których realizacją jest „Wiatr od morza".

Tak to Żeromski swoją służbę społeczno-artystyczną pełnił nadal. W „Wietrze od morza" (1922) oddaje chwałę powrotowi narodu na pobrzeże bałtyckie.

Wskazuje również perspektywy, które historia dopiero długo po jego śmierci miała spełnić. Pod koniec „Wiatru od morza" odpływa z Gdańska Smętek — diabeł nienawiści nacjonalistycznej, diabeł kapitalistycznego ucisku. Gdzież odpływa? Tam, gdzie „jest gmaszysko przestronne, olbrzymie, kolosalne, na całą kulę ziemską rozległe. Tam jeszcze pan znajdziesz przy wszystkich nowoczesności pozorach, maskach i snobizmach podziemia, zapadnie, jaskinie, wieże tortur, trupiarnie, kostnice. Gibraltary, Malty, Indie — i inne, nory i dziury z dziesiątego wieku, w których działają obcęgi i kuny metodami ludzi z wieku czwartego". Słowa te świadczą, że paryskich doświadczeń Nienaskiego Żeromski nie zapomniał nigdy.

Już w pierwszych miesiącach niepodległości Żeromski dostrzega, że jego służba pisarska gotowa pójść na marne. Świt niepodległości witał on słowami: „Porównywałem niegdyś w jednej ze swych pisanin dolę Polski do nieszczęścia brzozy żyjącej, której pień wygiął się w pałąk wskutek tego, iż jej koronę, nagiętą aż do ziemi, z gałęźmi, pędami i liśćmi przywaliła niezmierna, nieudźwigniona masa jałowej gliny. A oto teraz szczęśliwe oczy oglądają cudowny widok, jak ta nieśmiertelnie żywa korona, wyciągnąwszy gałęzie, pręty i liście spod zeschniętej i spękanej nawały, uciekła w niebiosa i tam radośnie drży wszystkimi młodymi witkami, a żywotwórcze soki jej pędzą ku górze szlaki naturalnymi w wyprostowanym strzelistym pniu."

Nie minął rok od skreślenia tego obrazu, a Żeromski zmuszony był stwierdzić: „Świat Polski wyzwolonej rozpada się na dwa odłamy — na nędzarzy i bogaczów. Nigdy jeszcze tak się dochodami z ziemi nie opchał wielki właściciel ziemski i chłop posiadacz, jak w tym okrutnym czasie. I nigdy jeszcze tak olbrzymia tłuszcza bezdomna, nie posiadająca ani skiby roli, wielomilionowa rzeka komornicza bez ujścia, a przykuta do gruntu, nie nurtowała ziemi polskiej. Wiatr bowiem świszcze w czerepie wystygłych fabryk, a coraz liczniejszy tłum robotników bez pracy patrzy w miasto, w którego głębi kotłuje się zbytek."

Rozbieżnością tych dwóch wypowiedzi wyznaczony zostaje fakt, który staje się podłożem ostatniego dzieła Żeromskiego — „Przedwiośnia" (1924). Oto Żeromski pierwszy wśród pisarzy dwudziestolecia zrozumiał, że odrodzone państwo polskie jest po prostu państwem burżuazyjno-obszarniczym, a niepodległość państwowa nie zmieniła struktury klasowej odziedziczonej po latach rozwoju kapitalizmu i imperializmu w Polsce. Zrozumiał, że ówczesne państwo polskie było machiną klasowego i narodowościowego ucisku i prawdzie tej dał realistyczne świadectwo w swej ostatniej powieści.

Uczynił to pod wpływem wypadków i strajków rewolucyjnych w latach 1923-24, ale za wypadkami tymi stały przecież przykład i wpływ Wielkiej Rewolucji Październikowej. Żeromski doceniał światową rolę tej rewolucji, idee komunizmu stawiał jako miernik najwyższy, który powinien zostać prześcignięty przez jego utopijną i reformatorską Polskę. Doceniał znaczenie, lecz nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie istnieje żadna inna droga. I dlatego „Przedwiośnie" nie miało być w intencji pisarza i nie jest też obiektywnie dziełem rewolucyjnym, lecz ostrzeżeniem zbudowanym na zawiedzionych nadziejach Żeromskiego-społecznika, Żeromskiego-reformatora.

Ostrzeżenie to jednak dokonuje się przez odsłonięcie krzywdy i ucisku, przez analizę wyglądu klasowego rzeczypospolitej międzywojennej, nawiązującą do szczytowych ogniw realizmu krytycznego pisarza. Zaciekła nagonka wszystkich wstecznikow na Żeromskiego, rozpętana po „Przedwiośniu", jest jednym z ważkich dowodów, jak głęboko sięgał ten powieściowy akt oskarżenia. Jakże słowa, w które Cezary Baryka zamyka wygląd społeczny swej ojczyzny, podobne są do tych tekstów, od jakich młody Żeromski rozpoczynał budzenie społecznego poczucia swych czytelników. Jakże mocno świadczą, gdzie spoczywała główna i stale odradzająca się siła twórczości wielkiego pisarza.

„Czemu nie dajecie ziemi ludziom bez ziemi? — woła Baryka. — Czemu gnębicie imię Polski, nie Polaków? Czemu tu tyle nędzy? Czemu każdy załamek muru utkany jest żebrakami? Czemu tu dzieci zmiatają z ulic mokry pył węglowy, żeby się wśród tej okrutnej zimy troszeczkę ogrzać?... Lud zgłodniały po wsiach, lud spracowany po fabrykach, lud bezdomny po przedmieściach."

V

Żeromski zmarł 20.XI.1925. Od zgonu jego mija dwadzieścia pięć lat. Lecz na miarę przemian społecznych i politycznych, które dopiero realizują to, co jest prawdziwym, obiektywnym testamentem sztuki Żeromskiego, od jego zgonu dzieli nas więcej niż stulecie. Nie znaczy to, ażeby dorobek Żeromskiego uległ podobnie wzmożonej dezaktualizacji. Znaczy jedynie, że z takiej perspektywy możemy być i surowsi, i sprawiedliwsi wobec jednego z największych twórców naszej literatury, jakim był niewątpliwie Żeromski. Z obowiązującą nas miarą sprawie-

dliwości możemy zapytać, kim Stefan Żeromski jest dzisiaj i kim powinien pozostać w postępowym dorobku naszej literatury?

Historykowi literatury polskiej nietrudno jest wyznaczać te wszystkie prawa i stopnie pierwszeństwa, jakie przypadają tylko Żeromskiemu. Niejednokrotnie też potrącałem o te pierwszeństwa. Teraz wszakże chciałbym wystąpić jako zwykły czytelnik jego dzieł, bo nie zawodowiec, lecz miliony tych zwykłych czytelników wyznaczać będą pozycję Żeromskiego dzisiaj i w przyszłości.

Chociaż daleki jest od brzegów bałtyckich, Smętek i jego świat nie zginęli jeszcze. Dlatego antykapitalistyczna i antyburżuazyjna wymowa dzieł Żeromskiego nie zmalała. Mobilizują one nadal sumienie społeczne przypominaniem krzywdy klasowej, która była dniem codziennym kapitalizmu.

Żeromski jest bowiem pisarzem, wobec którego niemożliwa jest obojętność. Niemożliwa jest obojętność zarówno wobec tych wartości jego dorobku, które w niczym nie straciły swej ideologicznej i artystycznej wymowy, jak i tych, które już przebrzmiały. Jako budziciel poczucia społecznego, szermierz walki o świat wolny od kapitalistycznej krzywdy i wyzysku człowieka, Żeromski nie przestał być aktualny. Jako pisarz, który błąka się pośród rozwiązań, który nie dostrzega realnych potęg społecznych, również nie przestał być aktualny, ale w całkiem odmiennym sensie: w sensie ostrzeżenia, do czego prowadzi nadmierny kult wzruszeń, zaufanie w utopię i brak związku trwałego z klasą społeczną, która w okresie jego życia przewodziła postępowi ludzkości.

Kiedy Żeromski rozpoczynał dopiero swoją karierę pisarską, po pierwszych ogłoszonych nowelach zanotował w pamiętniku: „Miłuję cię, wielki ludu prostaczy, schylam ci się do stóp z błaganiem, byś zrozumiał takich jak ja i byś kiedyś, gdy nas nie stanie, dobrze nas wspominał." Był już Żeromski znanym pisarzem, kiedy zanotował znów: „Byłem zawsze jak dobosz, który biegnie bez tchu obok spracowanego szeregu, znany takt wybijając pałkami."

Tej wzruszającej prośbie o miłość i pamięć u ludu jedno odpowiedzieć możemy: trud życia i twórczości wielkiego pisarza sprawił, że prośba ta jest i będzie w przyszłości wysłuchana. Chociaż ten dobosz niejednokrotnie opóźniał i gubił swój krok, spracowane szeregi doszły tam, gdzie zaprowadzić je pragnęło wszystko, co żywotne w jego dorobku, wszystko, co buntuje się przeciwko uciskowi i krzywdzie. I dlatego ma on prawo do tego, ażeby w sercach ludu polskiego pozostał na zawsze rytm jego kroków, wyznaczany rytmem i czujnego sumienia społecznego, i najgorętszego serca literatury polskiej, jakim był Stefan Żeromski.

Kazimierz Wyka

WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA

Oleśnica

„Bracia! — rocznica, — więc po zwyczaju
Niech każdy pucharem płaci...
Pierwszy ten toast za zdrowie kraju,
Drugi za ległych współbraci...“

22.I.1889.

Nie tylko toastu nie mam w tej samotni oddać w ręce czyje, ale myślą się nie mam z kim rozłamać w smutną tę rocznicę. Pamięć „poległych“ sam czczę smutkiem i goryczą. Jakby się było wśród obcych, wśród cudzoziemców... I ci, — może by zrozumieli rychlej święto naszych „pięciu“... Wygnańcy na cudzej ziemi pewno się schodzą dziś, aby wspólnie pogadać o ukochanym kraju — a w tym kraju, w tym ubóstwianym kraju — jakże pusto, jakie serca wystygłe, jakie uczucia niskie, jacy ludzie nie warci! Warszawa tylko, ona jedna całej tej mocy nicości i podłoty urąga — tam tylko o tej godzinie młodzi się gromadzą i dumne serca poległych „palą w aloesie“, — tam tylko w oknach poddaszy świecić dziś będą do późna światełka, rzucające blaski na młode twarze, gorące od uniesienia, rozpalone gwarem „cichej nocnej rodaków rozmowy...“, tam tylko z wiarą, z uniesieniem, z nadzieją wyleci w przestrzeń piosenka: „Jeszcze nie zginęła...“

Ale to, według jaśnie wielmożnych panów G., Z., S. itd. — zdrajcy kraju są — więc milczemy o nich tu, w przybytku rzeczywistego patriotyzmu, opartego na przyjaźni z Moskalem, na unikaniu wyrazu Polska, na wykwintnym nicostwie duszy, na wyrafinowanej głupocie...

* * *

W niedzielę obchodziliśmy uroczyście imieniny pana Kasztana. Przyjechali państwo B., pan Wacław Stojowski, panowie Jezierski i Gumowski. Wszystko to stało się nad wieczorem. Przyjęcie było piekielnie wystawne: szczupak w majonezie, sarny, zające, pączki, wino, damy w toaletach recepcyjnych, jakich by się powstydziła najlichsza szwaczka warszawska, panowie w modnych tużurkach, wszyscy z minami recepcyjnymi. Młodzież wkrótce idzie do mieszkania pana Jana, gwoli swobodnego mówienia o tryprze.

Panowie B. zakładają się z panem Janem, że wystrzał z jego rewolweru nie wybije szyby, lecz ją przedziurawi tylko, wyjeżdża na stół kwestia końska, figliki wesołe, w których celują szczególniej panowie B., a polegające na tym np., że się opluje rękojeść rapida i poda takowy w rękę panu Janowi, albo że się nieznacznie nasiusia na stołek i ktoś później na nim usiądzie — jednym słowem zabawy wyróżniające „notre société" od zwykłego motłochu. Na szczęście przyjeżdża jeszcze jeden pan z Niecisławic, — znajdujemy się więc wszyscy w salonie.

Wkrótce też kucharz transportuje półmisek pączków, młodzież nabiera werwy. Pije się wino. Zagryza ośmnastoma pączkami. — Jest wesoło. Solenizantowi oczy na wierzch wyłażą, albowiem około dwudziestu pączków zjadł, przegrawszy tym sposobem zakład, miał bowiem zjeść dwadzieścia pięć. Majonez! Miny są poważne, jak na pogrzebie, lub wizycie kondolencyjnej, pan Kasztan wywołuje oburzenie ogólne, je bowiem majonezową rybę (eheu!) — nożem!...

Rozmowę na ton poważny sprowadza filozof okolicy, pełniący jednocześnie obowiązki powiatowego bajczarza, — pan J. oświeca mianowicie zebrane towarzystwo pod względem balu „pudrowanego" w Warszawie i z miną Cicerona wobec Katiliny mówi:

— W pierwszą parę szedł hr. Krasiński z panną Szwede... A co? Nie cieszycie się państwo? Nie tylko pieniądz dziś w cenie!

— Okropna, okropna rzecz.,. — mówi pan Z. melancholijnie — i to kto? Krasińscy, oni, oni!

Nu... tych panów, zdaje się, nigdy nie „zgangrenuje" demokratyzm nawet względem pań i panien Szwede. Bóg z nimi! Niechaj sobie gniją...

Pan Wacław Stojowski zaszczyca mnię swą poufałością do tego stopnia, że mógłbym zdumieć, mógłbym nawet mawiać o sobie: ja, Wacuś S. i inni dżentelmeni — jedliśmy brzuch w brzuch szczupaka w majonezie.

Pan S. w tym stadzie wielkich panów jest przynajmniej dżentelmenem: łże, jest zimno grzeczny, doskonały salonowicz. Grałem z nim w szachy, opowiadaliśmy sobie różne kłamstwa, udawaliśmy, że bawiemy się we dwóch nader zajmująco, mówiliśmy sobie: — panie Wacławie i panie Stefanie — słowem jesteśmy z sobą na stopie. A wszystko to... dzięki Katerlom-Porajom, z których ja się wywodzę i on się wywodzi. Pyszna to rzecz wywodzić się! Ach, — deklamowałem zebranemu towarzystwu „Marzenie" Syrokomli i zyskałem takie oklaski, że o mały figiel nie siadłem z upojenia na kolanach panny Łucji.

Pani B. zagroziła mi, że obrazi się i mówić do mnie nie będzie, jeśli nie zadeklamuję czegoś jeszcze. Oceniając rozpaczliwość sytuacji, jaką

mi zagroziła, wyrżnąłem utwór: „Nasz ojciec Noe świętym był"... tym ochotniej, że wiedziałem, jako się ode mnie zaraz odczepią. Rzeczywiście: pawiany te przybrały miny katonów i oklaski były mniej obfite. Wino szumiało mi w głowie, pustka i niecierpliwa rozpacz osiadała serce: gdzie ja jestem?

Nie jestem już uczciwym bratem mojej drużyny, ale jednostką w stadzie bydła. Co to za ludzie? Chodziłem, jak błędny, słuchałem walców, wybębnianych przez pana J., anegdot idiotycznych pana Jana, grubych głupstw pana B., blagierstw pana Wacława... Smutny to był dzień dla mnie.

Nie spotkałem w tej sferze człowieka jednego z myślą w głowie i z uczuciem w sercu. A wszak to szlachta! A wszak to — „oni"!

* * *

Jutro zanotuję to i owo z dziennika filozoficznego ojca pana Z., z dziennika, jaki mi dziś czytał.

Poczciwy pan Z. jest tak demokratyczny, że przyznaje winę upadku kraju — arystokracji. Co za wielkość duszy... Jest mi to obojętne co prawda, bo nie zmienia stanu rzeczy, ale stwierdza fakt niepoprawności nigdy i nigdzie...

26.I (sobota)

...Z Warszawy zarzucają mnie listami o różne składki, o zwroty książek bibliotecznych, o rozmaite nieporządności...

...Dziś, wręczając mi rs. 10 pan Z. nadmienił, że za styczeń mam u niego jeszcze rs. 7. Miesięcznie biorę 25 rubli. Jestem trzy miesiące. Szczególniejsza arytmetyka panuje widocznie w tej okolicy! Może to jest właśnie arytmetyka arystokratyczna?

28.I

Wczoraj po południu my, młodzież wszystka, wyruszyliśmy z wizytą do Kotuszowa. Zaprzężono „Straszewskiego" i „Magdziarkę", dwa cugowe konie do dużej bryki, główny furman Michał wziął lejce w ręce i jazda. Mróz był duży, wiatr ostry pociągał, po odwilży drogi oślizgły jak szklanki. Konie szły pod lada górkę „pyskami się podpierając", jak mówi Michał. Z góry zjeżdżały na tylnych nogach, drepcąc przednimi jak w walcu na trzy pas. Zakuty w futro słyszysz tylko łamanie się cienkiego lodu kałuż na drodze pod ocelami kopyt i wrzynanie się kół w skorupę śniegu olodowaciałego po wierzchu.

W siedzeniu siedziałem ja z panem Janem, między nami Heniuś, — na przedzie pan Kasztan z furmanem. Wieczorem już zajechaliśmy do Kotuszowa. Zwyczajny, nudny wieczór...

...Nocowaliśmy, opowiadaliśmy anegdotki, jedliśmy polędwicę — słowem wesoło. Dziś o dwunastej ruszyliśmy z powrotem. Zimniej było niż wczoraj: w ostrym powietrzu polatywały drobniutkie płatki śniegowe, mieszały się z iskrami mrozu, jaki zdzierał z lodówki wicher północny. Wiatr ten dmie nieustannie z niezmierną złośliwością, ze skowyczeniem usypiającym. Nosy się czerwienią, każdy zatopiony w półsenność otula się w swój futerał: — aby prędzej...

W Nizinach skręca się na bliższą drogę, zwaną „na Suchczyce", — ja jednak radzę jechać na Strzelce.

— Przejedziemy tego... — mówi Michał — a co bliżej, to przecież tego...

Jedziemy na Suchczyce. Pod Suchczycami płynie rzeka, wpadająca do olbrzymiego stawu na Brodach.

Przejeżdża się w bród w tym miejscu, gdzie tworzy ona szeroką szyję kilkowiorstowego cielska stawu.

Powierzchnię lodu kryje cieniutka błona lodu przejrzystego.

— Pod tym... tego... lodem jest drugi — mówi Michał, gdy radziemy wszyscy objechać staw dokoła.

Puszcza konie, ostrożnie z początku, tnie je następnie z całej siły. Jesteśmy na środku rzeki, gdy nagle z łoskotem pęka lód, ów drugi pod „Straszewskim" i, naprzód jeden, później drugi koń wpadają w głębię tak, że widać tylko kleszczyny chomąt i łby. Wózek zaczyna się chwiać, pochyla się zwolna i poczyna tonąć wraz z olbrzymią krą, jaką oberwał, fontanny wody zaczynają bulgotać przez półkoszki, zalewają miejsca na nogi, przód wózka zanurza się tak, że woda przechodzi przez wierzch... Dżentelmeni zaczynają wyskakiwać po kolei: pan Jan skacze na krę przepływającą, — z niej na brzeg, — pan Kasztan idzie w swym hawelaku jego śladem, lecz kra uchyla się pod nim, słyszę krzyk — „Jezus, Maryja!" i widzę pana Kasztana w wodzie po pas, czepiającego się krawędzi lodu, — Heniuś skacze w wodę, pomimo to, że staram się go utrzymać, i trzymając się hawelaka pana Kasztana wyłazi z nim na ląd. Na bryczce zostaję ja i Michał. Stajemy na siedzeniu, woda podmywa je, konie rzucają się i biją piersiami o krawędź lodu, na której leżą ich pyski...

— Masz teraz... tego... — mówi Michał rozpaczliwie.

Siedziemy w studni. Dokoła jest cembrzyna z lodu, oddalona od nas o kilka łokci, woda z bulgotaniem wre pod nogami, konie narowią się,

zaczynają wierzgać i włazić jeden na drugiego: — heu, me miserum! — myślę sobie po łacinie. —Jeśli wlezę w tę wodę — to czeka mnie zapalenie płuc, a z nim śmierć, jeśli nie wlezę, to lada chwila wózek się wywróci, lub woda wasąg zniesie: jestem w ogromnym futrze, nasiąknie wodą, jak cukier.

Tymczasem dżentelmeni na brzegu zaczynają rozpaczliwie wrzeszczeć, wyskakując przy tym do góry zadziwiająco przypominającymi małpy sposoby. Ich zmoczone niezapominajki marzną, latają więc po brzegu i wyją.

— Masz teraz... tego... — powtarza mi Michał, jakby chciał przez to wyrazić przepowiednię: teraz się tu już, jucho jedna, utopisz.

Wieś od rzeki odległą jest o jakie pół wiorsty. Z chałup wysuwają się chłopi, stoją, przypatrują się, wreszcie biegnie jeden z drągiem, drugi z żerdzią, trzeci z siekierą, wreszcie biegnie ich gromada z drągami. Przybiegają nad brzeg. — Stają a patrzą. Leniwo i powoli bierze jeden z nich drąg i idzie ku wózkowi, — lód łamie się pod nim i idzie po pas w wodzie, idzie i bije w lód drągiem. Za pierwszym robi to samo drugi i trzeci i czwarty. Przychodzą do pysków końskich i starają się obrywać krawędź lodu, — lecz robota ta nie udaje się, lód jest gruby i twardy, są go trzy warstwy: przebija jedną — jest druga. Zrobili tyle, że konie wyskoczyły na twardą warstwę, zdolną ich utrzymać, i stoją nad nami, siedzącymi w dole.

— Ruszcie no, Michale — może się wzniesie — mówi pierwszy z chłopów.

— Cóż ci się nima wznieść... tego, kiedy śnice tego — pod lód... tego i masz... i tego...

Rżnie batem mój Michał, konie wierzgają, aż mnie na oczy bryzgają strumienie wody, lecz wózek podsuwa się tylko bardziej pod krawędź lodu.

— Panie — woła do mnie chłop — ja pana wyniesę na brzeg, bo to na nic.

— A bo mnie udźwigniecie?

— He hej! Nie bój się pan nic...

Opiera drąg w dno rzeki, sam staje na krawędzi lodu i obraca się do mnie plecami. Jest po pas w wodzie, na oślizgłym kancie lodowiska. Ja staję na literce, ręką chwytam się za drąg i skaczę chłopu na plecy. Zachwiał się, pochylił, wysapał i poszedł. Rękami opierałem mu się na ramionach, gdyż była mu po pas. Szedł przesuwając po kilka cali nogi, rękami odgarniał zbitą masę kier, jaka tamowała mu drogę. Spodnia warstwa lodu podziurawiona była, kilka razy noga wpadała mu w prze-

paść — wtedy stawał i cały ciężar utrzymywał na jednej nodze, potem drugą ostrożnie wydobywał z dziury i przyduszonym głosem mówił:

— Trzymaj się, panie, równo...

Jakim cudem nie załamał się pod nami lód, jakim cudem nie poślizgnął się — nie wiem. Szliśmy tak z kwadrans. Wreszcie wyniósł mnie na brzeg, postawił i sapnął:

— Uha!...

Dałem mu rubla, bo mnie wybawił od choroby, a może od śmierci, — ale serdeczna radość ogarniała mnie na widok tego chłopa silnego jak słoń, wytrwałego bardziej niż koń, bo godzinę stał w wodzie, a wyszedłszy na brzeg, mruknął tylko: — w cholewy mi się, ścierwa, nalało, — i poszedł z powrotem w wodę; — siła, to rzecz zwykła, ale spożytkowanie jej niezwykłe: — dobroć i ofiarność w takiej chamskiej duszy niezwykła.

Tymczasem dżentelmeni zaczęli przeprawiać się z tamtego brzegu, na który wyskoczyli, na ten, by dostać się do drzwi. Przeprawili się po skorupie lodu i zaczęli „rwać" ku wsi na kształt koników polnych. Modne spodeńki wydawały dziwny świst, gdy podskakiwali z nóżki na nóżkę; — ja za nimi toczyłem się jak kufel piwa w wielkich niedźwiedziach.

Gdy doszedłem do pierwszej chałupy, zastałem tam już p. Kasztana i Heniusia leżących w łóżku chłopskim pod pierzyną. Baby rozcierały im nogi i poiły wódką. Konie wyprzężono, Michał usiadł na nie i wyjechał, a wózek z futrami, derkami etc. — został na wodzie. Konie drżały jak w febrze i rżały lękliwie.

Wieczorem przy herbacie zwrócono uwagę na poświęcenie Rędzińskiego (chłopa, który nas ratował). Pan Jan zauważył:

— Cóż za poświęcenie? Kradnie jucha z lasu, pasie na łąkach, to jego psie prawo ratować w jakim przypadku.

— A nie — wycedził pan Z. — zawsze, zawsze...

Dobry i nie zdemoralizowany mamy lud. Kasztan, chcąc mi dogodzić, rozsypał się w pochwałach:

— To bohater, rycerz! — prawda, panie Stefanie?

Stefan Żeromski

POEMAT O PIERWSZYM WIEKU

Nasz wiek

Witajcie lata,
lata jak mosty
nad rzeką czasu!
Witajcie mosty
ludzkiej radości
dźwigane pracą.

Idziemy przez was
lata odkryte
geniuszem Marksa.
Spełniamy w marszu
marzenia młode
epok najstarszych.

Lata wspaniałe!
Lata nadziei,
lata krwi, hartu —
rośniecie takie,
jak uczy Lenin
i Partia.

Rośniemy z wami
lata narodzin,
lata ocaleń.
Rośniemy w przyszłość
większą niż podziw,
taką jak Stalin.

Śpiewajcie, lata,
pieśni najtrwalsze —
pieśni braterstwa
dla tych i o tych,
co żyją — walcząc
aż do zwycięstwa.

Dla tych i o tych,
co umierają
młodo i hardo,
krwią jak rumieńcem
wolnego życia
twarz ziemi barwiąc.

Dojrzewa ziemia
w śpiewie i gniewie
wielkiego wieku,
któremu rysy
jasne odlewał
trud długich epok.

Kto zmierzy dzisiaj
krzywdę i mękę
ludzi nieznanych,
tych, co wynieśli
w wytrwałych rękach
z lat oceanu
nasz wiek zwycięski,
wiek najpiękniejszy,
w którym jak w lustrze
pierwszy raz w dziejach
razem się przejrzy
człowiek i uśmiech.

P r o g i

Wieku Lenina,
wieku Stalina,
Marksa,
Engelsa!
Posiałeś zboże
w piaskach pustyni
i pracę w wierszach.

Wieku, coś rozbłysł
w salwach „Aurory"
do szturmu idąc —

wyprostowałeś
plecy historii
smagane krzywdą.

Przeszedłeś, wieku,
przez trud krokami
lat niezawisłych.
Rosłeś krwią ludzką
i potem zlany,
rosłeś jak przyszłość.

Rosłeś hutami
Magnitogorska,
mostami Moskwy.
Po syberyjskich
spieszyłeś wiorstach
w chłodzie i trosce.

Mówiłeś ludziom
Lenina słowa
mądre i proste,
żeby na nowych,
niełatwych drogach
czyn myślom sprostał.

By progi szczęścia
rosły ze stali
jak wola ludzka
na próchnie wieków,
które podpalił
grom rewolucji.

Twarzami w jutro

Nam, urodzonym
w strajkach i głodzie,
w cieniu faszyzmu,
świecił nadzieją
trud stu narodów
w jednej ojczyźnie.

Na naszej ziemi
rósł wielki nakład
krwi i nieszczęścia.
Brakło nam chleba,
lecz nie zabrakło
woli zwycięstwa.

Głośniej niż salwy
śpiew nieugięty
targał powietrzem,
kiedy padali
twarzami — w jutro
Hibnerzy,
Kniewscy.

Płomieniał buntem
ustrój wyzysku
i szumiał pochód
tych, co umieli
serca wznieść wyżej
od kul i lochów.

Tych, co umieli
drogę odnaleźć
w hiszpańskich sierrach,
tych, co wierzyli,
tych, co wytrwali
dumni i wierni.

Nie trzeba dzisiaj
przekleństw i przysiąg,
żalu i spazmów.
Nam ból nie zatarł
człowieczych rysów,
serc nie ujarzmił.

Naszą świadomość
wsparł, jak fundament,
zabity Buczek.
Ci, co umarli,
w Partii programie
do życia wrócą.

Zapamiętamy:
poprzez Monachium
dopadł nas faszyzm
wyhodowany we krwi
i strachu
przed gniewem — Klasy.

Pomiędzy nami
i naszym życiem
Oświęcim stanął.
Lecz przedtem
drutem spętano ręce
Ernsta Thälmanna.

Na giełdzie życia
żołdak dyktował
na ludzi cenę:
seria przez piersi,
seria przez głowę
i miejsce w ziemi.

Nie łatwo serce
przenieść przez rozpacz,
przez ból przemycić.
Lecz wola rosła
i Partia rosła
dla walk i zwycięstw.

Do celu w przeddzień

Niechaj wiersze będą jak myśl,
niechaj słowa będą jak ręce
ludzi wytrwałych,
niezawisłych,
którzy ziemię i wieki
naprzód pędzą.
Można kuć w węgla bryłach
dzieła
trwalsze niż w gładkim marmurze.
Można kielnią radość pisać na murze,
żeby z ludźmi za pan brat żyła.

Można
można dłonią świadomą
do chmur prowadzić domy,
można żarem ludzkiej tęsknoty
wzmocnić tłoki lokomotyw,
żeby czas wyprzedziły w pędzie
i przybyły do celu
w przeddzień.

Partia mówi:
Jest do zdobycia plan trzyletni.
i rusza armia
w trudzie ludzkim,
w trudzie powszednim
tworzyć dzieła trwalsze niż marmur.

W halach fabryk,
w hutach
i sztolniach
walczy kadra,
walczy mozolnie.
Z gospodarskich starań i troski
wrósł w historię
przodownik Pstrowski.

Za nim
tysiąc
pręży ramiona:
normy — pokonać,
plan — wykonać.

Towarzysze z Partii Robotniczej,
towarzysze z Partii Socjalistycznej —
wspólne budujemy życie,
wspólnie
siły policzmy.
Nie ma dwóch partii, dwóch dróg.
Jedna jest rewolucja
jeden jest cel
i trud.

Otwórz,
otwórz ramiona ulic
zmartwychwstająca Warszawo!
Wśród czerwonych cegieł i ruin
robotnik
z robotnikiem rozmawia.

Każde słowo na Kongresie
to cegła,
którą dłoń robotnicza
w budowle szczęśliwych zdarzeń podniesie.

Po drogach miejskich i wiejskich
biegną słowa
jak śpiew i rozkaz.
Użyźniają gospodarską troskę,
wschodzą
czynem zwycięskim.

Partia
nie rzuca słów na wiatr,
Partia
słowem objaśnia czyny.
Słowa Partii — to kształty lat,
słowa Partii — to ludzkie godziny.

Wsłuchajcie się i nauczcie,
nauczcie się na pamięć
w myśli odważnej rzucie
nakreślonego Planu.

Przez miedze w poprzek

Przez pola prosto jak strzelił
druty prowadzą do wsi.
W każdej chacie
żarówkę
i głośnik

założą chłopcy weseli —
elektrycy,
radiowcy.

Kurzą się, kurzą pola
weselem,
śpiewem,
wiatrem.
O dniach bliskich,
o dniach wesołych
opowiada spocony traktor.

Zuch traktor!
Przez miedze w poprzek
kroi skiby łatwo
jak wzrokiem.
Wiekowych granic
misterną sieć popsuł —
całą
pająków ludzkich robotę.

Pola spółdzielcze
szerokie,
kwitnące,
jak babskie zapaski.
Wdzieramy się krok za krokiem
w wyzysku zagony kułackie.

Jeszcze łachman na grzbiecie biedaka,
lecz ten łachman okrywa zwycięzcę.
Łachman
to walki nakaz
o chłopskie, bliskie szczęście.

Traktor
zaorze kusych pól łachman,
że
najbiedniejszym
wiosną
zapachną.

Traktor
skosi
spółdzielcze łany —
zrzucimy z chłopskich pleców łachmany.

Kułackie ręce jeszcze długie,
lecz skrócimy je w walce.
Oddamy przednówkowe długi.
Zapłacimy za chleb z zakalcem.

Życie przyspiesza kroku

Nad moim krajem,
nad Polską,
w październikowym niebie,
mocne ręce robocze
jak drzewa się kolebią.

Pod łuną wielkich pieców
przetopiliśmy złom.
Z twardego kruszcu Października
staje stalowy dom.

Robotnicy huty „Pokój" —
prowadźcie
przez Październik —
w wolność i pokój!
W hut czerwonej poświacie
życie
przyspiesza kroku.

W łoskocie stali,
w huku maszyn,
toczy się ludzki bój ogromny.
Kruszymy ciemną bryłę czasu
pod rewolucji powszechnej pomnik.

Prądem woli zasilić
serca akumulator!

Przewodami rąk
energię przekazać
mieszkańcom świata!

Niech reflektory lat
płoną przy drodze!
W siedemnastym
świat
na nowo się narodził.

Towarzysze,
kalendarz kłamie!
Nie w dwudziestym wieku żyjemy:
Pierwszy wiek Socjalizmu przed nami.
Pierwszy wiek sprawiedliwy na ziemi.

Henryk Gaworski

WARSZAWA

Wstęp do poematu

Warszawo! Kochałem szmer ogrodów Twoich.
Nieraz lubiłem wieczorami ukrytą rzeźbę
pośród murów dojrzeć znienacka. Z liści
bluszczu wyblakły fresk półcieniem spadał
na trotuar i rozpryskując się odbijał
i bryły kształt i drogę polną, na której
brzoza Wisłę znaczy i piasek z sosną
zaręczony. Kochałem niespodzianki odkryć.
Ileż razy pośrodku miasta wysp zaułki
płynęły nieruchomo. Wśród gałęzi młodość
ptaków niespokojna wołała w głazach las.

Poznałem Twoje ulice o nazwach tak prostych,
biegnące wśród domów, w których historia
ślady swych palców płonących nieraz wyryła.

Poznałem uderzenie pałki gumowej w plecy
i ostry świst kamieni rzucanych w demonstrację
spiętą łańcuchem rąk. Gołębie unosiły czerwień do góry,
gołębie z webą przypiętą przywoływały sztandary.

Szpicel i prowok grali z policjantem w karty.
Kramarz wychylał się ze sklepu, alfons i prostytutka
na rogach ulic. Cwaniak nabierał w trzy karty
sprzedając na bajer chłopom Kolumnę Zygmunta.

Nieraz widziałem auto błękitne z kratami,
ludzi jak psów na arkan łapano z ulicy.
Pamiętam majówki za miastem i piosnkę zadziorną
— my gwiżdżemy na cenzurę, a wy razem z nami. —

Pamiętam Annopol. Drewniane baraki i drogę
wśród dłoni wychudłych. Tu bezrobotni
z ufnością opowiadali poecie swe życie: „wypowiedz
głośno, wyraźnie, jak my tu żyjemy."

Warszawo bliska i daleka. Ty, od suteryn do poddaszy,
w wysmukłych domach zamyślona i gniewną pieśnią
zbuntowana. Ty, od Powiśla do Starówki, w każdym
kamieniu istniejąca, w zuchwałym żarcie wybuchając,

żarliwą miłość i nienawiść nieraz rzucałaś wrogom
w twarz. Podmiejskich ulic cierpki chłód do will
wyniosłych nieraz wpadał i w ścieżki skwerów bił
jak werbel, ach, niespokojny werbel strachu, zdziwienia
twarzy wymuskanych, werbel tłumiony długo w snach,
zaryglowany w kratach bram, pałką stupajek przyciszany,
chichotem w barach obśliniony, muzyczką przygłuszany
schludną, iluminacją wdzięcznych wystaw i benefisem
starych dziw, aktorzyc, które swoją młodość przypominały
z zeszłych er. Nieraz widziałem Cię, Warszawo, Twój wzrok,
na poły drwiący, na wpół dumny, nerwy Twych ulic niespokojnych,
które swą czułość wyłuskały nie tylko z szumu Wisły
i nie z ogrodów, z zieloności, nie z ptaków skrzydeł, ani
łabędzi w królewski zapatrzonych pałac; rzeźbiona walką,
bita wojną, w bliznach tratowań hartowana surową swoją
kształtowałaś twarz.

Mówiłem Ci dzień dobry, mówiłem dobranoc,
rysowałem Twą postać łopatą na piasku, widziałem Twoje rysy
w rzekach odległych i stepach, w ptaku unoszącym się nad moją głową.
Porównywałem Cię do drzewa, gdy drzew nie widziałem.
Porównywałem Cię do trawy, gdy zamieć śnieżna oślepiała chaty.
Porównywałem Cię do muszli szemrzącej o morzu, gdy dopływałem do granic
śmierci,
i kiedy oczy moje zwężały się do ziaren piasku w więdnącym kamieniu.
Widziałem Cię w snach, widziałem w ruchach radzieckiego robotnika produ-
kującego broń,
aby Ciebie odległą wybawić, widziałem Cię w oczach żołnierzy
ginących na polach bitew, widziałem w uśmiechu rannych i kalek,
widziałem w statkach wojennych, widziałem w czołgach idących na front,
a nie widziałem przecież z bliska twych ulic skrwawionych ani domów strzas-
kanych przez faszystowskich najeźdźców,
ani łapanek, ani mordów ulicznych, ani dymu Oświęcimia i Majdanka.
Nie widziałem milionów zabitych, nie widziałem matek skazywanych na śmierć,
nie wiedziałem, że każdy ogród był bratnią mogiłą, że trotuary były mogiłą,
nie widziałem oczu szpiclów i zdrajców, ja, który żyłem wśród ludzi przyjaznych.
Jakże mogłem uwierzyć, że poetyzujący młodzieniec wyda swą żonę siepaczom,
tchórz ukryje się w biurze, aby w dobrych przydziałach osładzać sobie mrok
okupacji?
Mężni ginęli w walce, sprytni chojracy handlowali trupami.
Ginęła Starówka, Getto płonęło. Powiśle chyliło do rzeki zwęglone kikuty
swych rąk.
Tłumacz Szewczenki na stosie spalony przez hajdamaków,
odważny satyryk zabity przez rodzimych faszystów,
malarz bezdomnych nieznaną znalazł mogiłę,
poetka o oczach zdziwionych rozstrzelana w więzieniu.
Tak trudno wspominać. Tak trzeba wspominać,

aby nie stali się chmurą jedynie, którą przewieje wiatr.
Nie widziałem cię, chłopcze, gdyś śpiewał: „Powstańcze, czy ci nie żal?
Opuszczać naszą Starówkę? Wędrować kanałem w dal, by objąć nową placówkę—
Powstańcze, czy ci nie żal Mostowej i Wisły fal?"
Nie widziałem Cię, nieznany poeto, kiedy do matki z Powiśla ten swój kończyłeś list:

„Kiedyś pisałem wiersze pełne uśmieszków, czaru i radości.
Teraz... teraz rosną piękniejsze, tylko w sercu rosną. To prościej.
Piszę te słowa... Daleko gdzieś pociągu świst...
Tu głos trzepoce się jak w matni... Matko...
Ten list... ten list całuję ze łzami —
Może... ode mnie... już... ostatni..."
Biedni chłopcy rzuceni do walki, aby panowie na giełdach mogli podbijać swe akcje.

Chłopcy o oczach roześmianych, z czapkami na bakier, odważni chłopcy Warszawy.

Czemuż jesteście kamień na kamieniu, piasek na piasku, fala na fali?
Oszukani za młodu, zdradzeni za młodu, zmarli tak młodo.
Ja nie chcę, by nad moim miastem obce latały samoloty,
by dom był trumną, pomnik celem, aby mordercy i rabusie,
krzywoprzysięzcy, bratobójcy na nowo padpalali stos.
Widzę twarze skatowanych, rozstrzeliwanych z gipsem na ustach.
i słyszę salwę nagle rwaną, a potem tupot ciężkich butów.
Widzę kulami mur szczerbiony i krew, co nie zastygnie nigdy.
Na każdym rogu widzę krzyż i szarfę zwiędłą obok płyty.
Widzę Was wszystkich, których nie ma. Zginęliście z rąk faszystów.
Niech pamięć o Was nie zaginie, przypominani wciąż na nowo
jesteście dzwonem naszych serc, naszym sumieniem gorejącym.
Ja wiem, są tacy, co z tchórzostwa nie lubią przypominać wojny,
a inni chytrze uśmiechnięci seplenią: „ach, i znów makabra
do wierszy wdziera się, jak można?" — a mają oczy tamtych zbirów,
którzy strzelali z karabinów lub nożem uderzali w plecy.
Dla nas każdy zabity to gniew, gniew kiełkujący na nowo,
naszych rodziców, najbliższych, tych, co zginęli a mówią naszymi ustami.
Warszawo, miasto otwarte, najdroższych pomników, natchnień strzelistych
niezapomnianych, warownych budowli uniesień, wolna stolico ludowa.
Nie chcemy nikogo zabijać, nie chcemy, by nas zabijano.

* * *

Myślałem trzeba będzie rzucić bagaż marzeń
I krzątaninę barw wysmukłych, przelot gałęzi
I światła dzwięczną muzykalność, by więzić
cugle rymów. Lecz powiedziałem sobie, oto
po latach, któreś przeżył, nawet starte twarze
odżyją w tobie znów. Minąłem deszcz na trotuarze.

Taksówek dźwięk jak oddalonej rzeki potok
ku ścianom szedł. Zbierali się pośpiesznie ludzie
na rogach ulic. Tu będzie nowa biegła trasa.

Zaułki zetrze i przeorze betonem, wapnem i kamieniem,
gdzie rozkopana ziemia dyszy, bełkoce, skwierczy i chyboce,
tu, gdzie ruiny świszczą z wiatrem, gdzie na grudzie
paszcza kopaczki wydłużonej unosi się na swych zawiasach,
chwilę kołysze się i znów żarłoczną żuchwą w dół się toczy
i połykając gruz pogłębia wykop w cierpkiej ziemi.

A wtedy drzewa przyszły do mnie i jakaś łąka zapomniana
i strumień leśny, nawet ptak kołysał skrzydłem
na gałęzi. Więc uderzenia młotów, kroki traw i piły
monotonny skrzyp były jak fal obicie ostre.
I mur soczystość sosny chłonął. Rosła ściana.

No cóż, nie siatką na motyle trzeba, nie wędzidłem
pochwycić obraz ten, głogami posypawszy wpierw lub ostem,
lecz w skrócie realny oddać kształt a nie zawiły.

Więc prześwietlone drzewa wspinały się na rusztowania
i windą w górę niosły smukłość swoich łodyg,
tym domom, co powstają i ludziom, którzy będą
zapalać jasne światła w oknach. Właśnie tędy
nie strumień leśny ale prąd odżywczej wody
nadbiegnie poić wargi. I nowy dom już się wyłania.

Nie z moich marzeń wydobyty, nie z moich myśli wyłoniony
lecz architekta i murarza, i drzewa, ptaka i natchnienia.
I ja widziałem już troiście, troisty obraz rósł w mych oczach.
Tych gruzów, które dłoń zaborcy pozostawiła, by Warszawa
na zawsze była starta z ziemi. I dom widziałem, ów co spłonął.
Serdeczny dom lecz jakże ciasny i ten, co przy mnie już się zmienia,
co dźwiga się od stóp, co wstaje i coraz prędzej, szybciej kroczy
skąd pracowity bije hałas i wiatr rozwiewa kurz złotawy
cegły, kamienia i cementu. Lecz dalej — ściany garb podpiera
złamany na wpół strop. Wysoko w górze zawisł piec kaflowy
z drzwiczkami schludnie zamkniętymi, czyszczony wiatrem, słońcem,
niebem, niezwykły piec, opatrznościowy. Pogięte rury biegną obok,
rzekłbyś w konstrukcji nierealnej, fantasmagoria nieszczera
w pryzmacie smutku. Artysta widocznie musiał być schyłkowy,
konstruktor kiepski, wszak linii prostych nie potrafił złączyć
lecz zezwolił, by ześlizgiwał się ze ścian srebrzysty obłok.

To jednak była rzeczywistość, nie bełkot zagubionych myśli,
bolesna prawda lat minionych. Patrzyła naga, wykrzywiona,

z piwnic czołgała się na schody, na stopnie, które wiodły ślepo
od fundamentów wysadzonych katedr, kopuł kościołów rozstrzaskanych
i domów—twierdz nie istniejących. Stąd niegdyś oglądałem Wisłę,
a tam, gdzie teraz gwar budowy, leżały w koszach jabłka rumienione
śmiechem przekupek, dymiły połcie mięsa, w garach miód się lepił.
Właśnie tędy żołnierz przedzierał się przez gruzy ranny.

Na rogu mieszkał tu zegarmistrz i szewc, i malarz, i kamieniarz.
W starych oberżach i winnicach, które „Barami" zwano modnie,
ciągnęła wilgoć z lochów w oparach piwa, miodu, wina.
Pożar pochłonął beczki, butle i pułap ogniem darł, osmażył.
Lokomotywa świszcząc śmiesznie wywiozła skromny grób płomienia.
Tu będą domy, te co były, lecz inna pieśń w nich niezawodnie
podźwignie je, odrodzi, jak trzeźwa burza w nich popłynie.
I będzie wieki trwać. Tak marzyć.

Jan Śpiewak

MARIAN PANKOWSKI

TYGODNIK FILMOWY WIDZIANY W BRUKSELI

Noc na sali.
Ponad głowami mruczy film.
Po świętojańsku, tam i sam
błyskają lampki bileterek.

A na ekranie,
od lewej ku prawej:
czołgi amerykańskie;
za chwilę
hydroplan w paryskim hangarze.

A teraz w Warszawie.
Prosty mur.
Słońce praży.
I na murze dwaj murarze
wiążą cegły,
ścianę sypią z rękawa,
pod sznur.

Zabrzęczała sala niedowierzaniem.
Murarze skończyli. Bluzy robocze przez ramię,
odeszli
po szumiącym, topolowym ekranie.

A ty, co patrzysz wciąż spode łba
i modlisz się, by runął mur,
Zobacz, jak rośnie z dniem po dniu
i wiechą pachnie górna cegła.

Inżynierowie nad stołami
śmieją się do rosnących miast;
murarze słyszą śmiech i sami
po rusztowaniach biegną wzwyż,
a każdy trzyma w prawej ręce
pięć albo sześć przytulnych izb.

Dąsaj się, bracie, na historię,
przed lustrem światu groź kułakiem.
Cieśle już niebo przysiedli okrakiem
i dachy na bary biorą.

Mówisz: „Tu i tam nie klapuje".
Słuchaj, w trzy dni
można zmartwychwstać prywatnie,
ale potrzeba czasu i znoju,
by w socjaliźmie
zmartwychwstał
świat.

Zresztą i w dziale cudów
normy idą wciąż lepiej.
Cud nowy śpiewam dzisiaj,
niech kielnią przydźwiękną murarze.
WCZORAJ PRZEJRZAŁO PÓŁ MILIONA ŚLEPYCH,
kiedy ludowy nauczyciel
dotknął ich ócz
elementarzem.

W pył idzie krew. Murszeją mity.
Nowa ziemia pęcznieje w rękach radosnych zdunów.

Patrzcie, dźwiga się
robocze ramię Rzeczypospolitej;
i gołąb z gałązką łozy
wzleciał naprzeciw piorunom.

Marian Pankowski

* *
*

Gdy pokój: w trawach szeleści kosa,
parskają rzewnie rącze koniki,
dymy się wiją wiosek i osad.
Fabryki gwiżdżą, dudnią chodniki.
Dziewczęta kwiaty mają we włosach.

Gdy pokój: rzeki służą turbinom,
światło co wieczór w oknach zakwita.
Dojrzewa w lesie słodka malina,
przyzywa ciebie, w liściach ukryta.
Mielą pszenicę wesołe młyny.

Gdy pokój: wzgórza nucą brzozami,
w zielonej pieśni słoneczny promień.
Rzeźbiarza długo kształtuje kamień,
wołają szkoły, powstają domy...
Krzepnie braterstwo między ludami.

* *
*

Tam, gdzie traktorów pracowite
aż pod horyzont pełzną żuki,
żeby potem przez łany żyta
radosnym biegał wiatr pomrukiem.
Gdzie przy drożynie,
obok traktu
wierzby siwizna nad mogiłą
tego, co udział brał w ataku,
aby nie przemoc siłą była.

Gdzie huty w błyskach, niebo w dymach,
gdzie tamy piętrzą wód obszary,
a manometry przed oczyma
tych, co pilnują w kotłach pary.

Tam, gdzie na rynek z wież kościelnych
gołębi białych sfruwa stado
albo gdzie ręce zbrojne w kielnie
zaprawę między cegły kładą.

Gdzie strumień toczy olch rozmowę
lub tylko ciszę przedwieczoru,
na której leżą blaski płowe,
do swoich źródeł w głębi boru.

Gdzie z piosnką idą leśną ścieżką
do szkoły dzieci, gdzie pokoju
głos się rozlega, w sercach mieszka,
tam wszędzie dzień ojczyzny mojej!

Jan Huszcza

NA POŁUDNIOWYM STOKU

W oddali widać morze i bieg spienionej fali,
jest światło tak olbrzymie na południowym stoku,
że jeśli cień się zjawi, to będzie cień obłoku.
Na brzegach jasną wstążką promień się zapalił.

Gdy pierwszy raz stanąłem na ziemi tak rozległej
jak niebo co się zniża brzozom smukłym, cisom,
był spokój taki wielki, że tutaj mnie dobiegły
okrzyki towarzyszy z wyspy Makronissos.

PODRÓŻUJĄC

Widziałem piękno morza, przepych gór wśród śniegu,
krainę nieśmiertelną strof „Sonetów Krymskich",
widziałem potok rwący, białą falę w biegu,
jesień nad Bułgarią, rzędy pinii rzymskich.

Widziałem niebo wielkie, krasę gwiazd i ciszy,
obrazy, malowidła, kolumny tak wyniosłe,
że obłok nad kolumną tak długo się kołysze,
aż ona go rozbije.

Widziałem stare zamki, zaułki, ciemne baszty
i to, co stworzył człowiek w ciągłym swym pochodzie,
Ulicę Złotą Pragi, sadzony ongiś kasztan
co w rynku, gdzieś w Zamościu, gubi liść na chłodzie.

I z tego byłem dumny, że o to bił się człowiek,
by dom pozostał dawny, drzewo, cisza nieba,
by mądre było to, co kiedykolwiek powie,
by żyło to, co zbójca w pożodze chciał pogrzebać.

Lecz myślę, że zostanie po nas wyższy pomnik,
wyższy ponad zamki, smukłość kolumn, grodów —
człowiek wyzwolony na ziemi ogromnej,
wolny od wyzysku, wojen, lęku, głodu.

Stanisław Wygodzki

ŚPIEW STAREGO DRZEWA

Słuchajcie, o słuchajcie, jak szumi stare drzewo:
„Ja jestem już starym drzewem,
zamyślonym nad śpiewem młodych krzewów i pędów,
ja jestem skałą stuletnią,
która czuje, jak na nią narastają nowe warstwy ziemi i mchu,
gleba pod przyszłe lasy,
ja jestem...
Czym ja jestem, o młoda zieleni?

Czym staję się, gdy czuję na sobie narastający ciężar —
pokłady geologiczne nowych czasów,
gdy słyszę, jak śpiewasz pieśni o biednych kulisach
i o ich nędznych poletkach ryżowych,
o głodzie hindusów umierających z wyczerpania na ulicy,
o kalabryjczykach, ginących bez piędzi ziemi,
i o górnikach z kopalni Lota,
którzy w zalanych wodą chodnikach,
położonych poniżej poziomu morza,
czołgają się, aby rąbać węgiel dla swego kraju,
tego kraju, który wygania poetę walczącego
o lepszą dolę ich, nędzarzy...?

Czym staję się, gdy słyszę, jak nadciąga wicher,
łamiący stare drzewa i młode pędy?

O, młoda śpiewająca zieleni,
nie ma takiej burzy, która by nie zatargała konarami starego
[drzewa.
I z niego wiatr obłamuje zeschłe gałęzie,
i ono porasta świeżym liściem,
i skała staje się glebą pod ziarna.
Odradza się drzewo
i odradza się człowiek,

a siwe włosy przydają przebudzonym oczom
blasku młodości."

Słuchajcie, słuchajmy, o młode krzewy, śpiewu starego drzewa.

NIE MA ROZSTANIA

Choćby drogę od ciebie do mnie przywaliły kamienie,
choćby struga, dzieląca dwa brzegi, rozlała się w rzekę szeroką,
a kładka stała się wątłym źdźbłem trawy,
odszukam ścieżkę wiodącą w twą stronę.

Zasypaną ostrymi głazami przełęcz,
rwącą strugę,
szczyt oblodzony
przejdę stopą lżejszą od kroku górskiej kozicy.

Ani zbita w gąszcz kosodrzewina,
ani piargi skaliste —
nic nie zatrzyma mnie w biegu.

Wanda Karczewska

SPRAWA JEDNEGO KONIA

Pola, przez które pędził pociąg, rozjaśniał już lekki świt. Dwie kobiety, które siedziały na przeciwko mnie i znały się z pewnością już dawniej, powróciły do przerwanej drzemką rozmowy o jakimś Leonie i sprawie, jaką miał o konia. Obie kobiety musiały dobrze znać tego Leona, miały też innych wspólnych znajomych, bo nazywały ich po imieniu lub wymieniały stopień pokrewieństwa.

Sprawa „Leona" i „konia", tak jak ją opowiadały kobiety, była dość interesująca. Wysłuchałem jej do końca, starając się zapamiętać nazwiska głównych bohaterów oraz wsie, w których mieszkali.

Konferencja w Katowicach, którą obsługiwałem, skończyła się nadspodziewanie szybko, tak że jeszcze tego wieczoru zdążyłem przetelefonować sprawozdanie do redakcji. Siedząc w ciasnej budce telefonicznej skandowałem słowo po słowie i kreśliłem na przedyktowanych już stronach rękopisu figury geometryczne. Pomagało mi to w przezwyciężaniu chęci dodawania nowych, jak mi się teraz zdawało, lepszych sformułowań. Wiem z doświadczenia, że takie ad hoc sklecone zdania wychodzą potem z reportażu ni „przypiął ni wypiął" i są zawsze gorsze od napisanych wcześniej. Miałem teraz przed sobą kilka dni wolnych i to opłaconych przez redakcję. Już wcześniej, w pociągu, postanowiłem, że kropnę się do Częstochowy, a stamtąd do Krzepic, gdzie wydarzyła się ta historia z „Leonem".

Krzepice — to mała, stara mieścina. Mimo trotuaru, brukowanego rynku i kilkudziesięciu murowanych domów nie można tam było zaobserwować żadnych przejawów miasteczkowego ruchu. W jedynej prywatnej restauracji, o idiotycznej nazwie „Odzyskanka", wywiedziałem się o możliwości noclegowe. Restaurator taksując mnie spojrzeniem, namyślał się dość długo, zanim zdecydował się polecić mnie pani Zającowej, starszej wdowie zajmującej wraz z rodziną obszerny, murowany dom przy jednej z dwóch krzepickich ulic.

Pani Zającowa, moja chwilowa gospodyni, świetnie znała życie w Krzepicach; nie było żadnego zdarzenia, o którym by nie wiedziała i nie miała własnego sądu. Sprawę Leona Zawidowskiego znała wraz z wszystkimi personalnymi jej powiązaniami.

Następnego dnia miałem głowę nabitą wręcz niewiarygodnymi faktami, a notes pełen dat i nazwisk. Dzięki poparciu pani Zającowej do-

tarłem jeszcze do paru osób, które mogły według niej potwierdzić „świętą prawdę każdego jej słowa". Wszystkich szczegółów mojej sprawy nie mogłem się jednak dowiedzieć z tej prostej przyczyny, że ich wtedy jeszcze w Krzepicach nikt nie znał. By dowiedzieć się wszystkich szczegółów, musiałem zjeździć ładny kawał Polski. Nawet pani Zającowa nie wiedziała i nie przypuszczała, że zatarg, jaki miał Leon Zawidowski z rodziną Koronów, miał zasięg o wiele szerszy niż granice częstochowskiego powiatu.

*

* *

Władysław Korona kilka lat przed wojną odziedziczył po ojcu nieduży „chłopski" młyn, zaś jego młodszy brat Karol — piętnastohektarowe gospodarstwo. Obaj bracia, mimo wspólnego podwórka, żyli w zgodzie. Młyn, poruszany przez leniwie płynącą rzeczułkę, przegrodzoną drewnianym stawidłem, dostarczał okolicznym gospodarzom razowej mąki, a Koronie niewielkich zarobków. Koło wodne zbudowane przez ojca Władysława i Karola Koronów za czasów jego młodości, po jego śmierci obrosło mchem i wystrzępione łopatki z trudem poruszały jedyny kamień, stary jak i młyn. Ci, którzy chcieli przemleć swoje zboże na lepszą mąkę, jeździli do Krzepic, gdzie był parowy młyn, wyposażony w walce, planzichtry i aspiratory. Gdyby nie wojna, Koronowie do dziś męczyliby się z przepróchniałymi zastawkami starego młyna, co i tak dawało im pozycję najbogatszych ludzi w Miedznie, ich rodzinnej wsi.

Granica dzieląca Polskę na „Reich" i „General Gouvernement" przebiegała trzy kilometry od Miedzna. Krzepice wraz z młynem parowym zostały w Reichu, Miedzno z młynem Koronów w G. G. U Koronów — mieli najobszerniejszy dom w Miedznie — zakwaterowała komenda odcinka chciwych i przekupnych „grencszuców". Koronowie dogadali się z nimi szybko.

Każdy rok wojny przynosił wielkie zmiany w życiu Koronów. Już w trzydziestym dziewiątym roku Władysław Korona zamienił stare drewniane koło na turbinę wodną, a upust wybetonował. W następnym roku zburzył stary młyn, a wystawił murowany. Sprowadził cztery pary walców, a że „grencszuce" nie chcieli siedzieć przy lampkach naftowych i doprowadzili sobie linię elektryczną, Korona mógł do napędu części maszyn używać prądu. Z każdym rokiem rosły nabytki Koronów.

Młyn w Krzepicach, tak jak i inne młyny w Reichu, był pod ścisłą, o wiele ściślejszą niż w G. G., kontrolą Urzędu Wyżywienia. Jeżeli ktoś

z Reichu chciał mieć jaśniejszy chleb, musiał albo przewozić swoje zboże do G. G. albo kupować stamtąd szwarcowaną mąkę. Korona nie przemielał już zboża chłopom. Jego młyn nie był już „chłopski", lecz „handlowy". Jeżeli przemielał — to tylko Niemcom z tamtej strony. I z nimi dogadał się łatwo; mówili wprawdzie przeważnie po rumuńsku lub po słowacku, ale za to nie byli zbyt posłuszni rozporządzeniom i zakazom Urzędu Wyżywienia Trzeciej Rzeszy.

Z jednej strony Miedzna przebiegała granicę, z drugiej zaczynały się przedmieścia wygłodzonej Częstochowy, a dalej niemniej wygłodzony Śląsk.

Kontakty ze strażą graniczną pozwoliły braciom, którzy teraz ściśle z sobą współpracowali, na ożywiony handel „międzypaństwowy". Zboże, mąka — to była tylko część towaru, który przechodził przez obszerne magazyny Koronów.

Kiedy wojna się skończyła, okazało się, że Koronowie są już właścicielami kilku domów i placów w Krzepicach, paru kamienic w Częstochowie, a nawet w odległym Kaliszu. Koniec wojny nie był końcem drogi rozwojowej rodziny Koronów. Karol handlował słomą, którą przywoził z Zachodu, jego brat powrócił do młynarstwa i zajęty był budową dwóch młynów — w Krzepicach i w Kamionce.

Przybywało maszyn rolniczych i sprzętu w gospodarstwie Karola, a walców i motorów w młynach Władysława. U Koronów można było nabyć nie tylko mąkę, siano czy słomę, ale i żniwiarkę, młocarkę. Administrator ich domów w Częstochowie założył sklep z meblami.

Wiosną 1947 roku na stacji Krzepice wydarzyła się katastrofa. Manewrujący nocą parowóz uderzył zbyt silnie w stojące wagony; kilka z nich spiętrzyło się. Alarmujące gwizdki zdenerwowanych kolejarzy zagłuszył przeraźliwy kwik koni. Spod jednego z uszkodzonych wagonów sterczała końska noga. Zawiadowca stacji zarządził natychmiastowe rozładowanie wagonu. Wyprowadzono cztery przerażone konie, piątego z rozharataną nogą udało się wydostać dopiero po wyrąbaniu podłogi. Kierownik pociągu odszukał list przewozowy tego wagonu. Stacją przeznaczenia były Krzepice, odbiorcą Karol Korona. Na liście przewozowym, tzw. frachcie, w rubryce „rodzaj towaru" figurowała — słoma.

Zawiadowca wezwał milicję, która zarządziła otwarcie pozostałych trzech wagonów. Znaleziono żniwiarki, siewniki, meble.

Jeszcze tej nocy aresztowano Karola Koronę.

Wszystkie rzeczy znalezione w wagonach przekazano Urzędowi Likwidacyjnemu, który, po uzyskaniu zgody prokuratury, ogłosił przetarg i rzeczy te rozsprzedał.

Maszyny zakupili bogaci chłopi, meble mieszkańcy Krzepic, jedną parę koni kupił sędzia Sądu Grodzkiego Górski, drugą bogaty chłop z Wręczycy, zranionego zaś konia zakupił Zarząd Miejski w Krzepicach. Zarząd Miejski, po burzliwej debacie w Radzie Miejskiej, na której wydano orzeczenie, że konia nie da się wyleczyć, ogłosił przetarg. Konia nabył Leon Zawidowski, gospodarz z pobliskiej wsi Zadrzewie, za niską cenę 25 tysięcy złotych.

Wielkie było zdziwienie mieszkańców Krzepic, i tak już poruszonych tymi niezwykłymi wydarzeniami, kiedy Karol Korona został wypuszczony z więzienia, a sprawa, jak mówił on i jego brat, umorzona.

Byli tacy, którzy w „Odzyskance" wykrzykiwali — że „takie dranie jak Korony powinni posiedzieć za swoje złodziejstwa". Ucichli jednak, gdy ktoś życzliwy doniósł o tym Koronie, a ci w tejże samej „Odzyskance" obwieścili, że „każdego, który będzie na nich mordą szczekał, za oszczerstwa zamkną do ciupy. Sąd, dodawali, nie znalazł dowodów winy, to niech gnojki z Krzepic winy tej się nie doszukują".

Nikt już nie odezwał się głośno, kiedy Karol Korona zaskarżył Zawidowskiego o zwrot konia.

* * *

Leon Zawidowski nie miał lekkiego życia, a już w żadnym wypadku nie miał w tym życiu szczęścia. Ojciec zapisał mu 10-hektarowe gospodarstwo pod warunkiem, że spłaci rodzeństwu swoje dziedzictwo. Nie spłacił ani połowy, gdy wybuchła wojna.

W trzecim dniu wojny spaliły się Zawidowskiemu zabudowania gospodarskie wraz z inwentarzem. Ocalał tylko dom, do którego powrócił z wojennej tułaczki. Zaczął „dorabiać się". Jeździł pożyczonym wozem po okolicy, pożyczając zboża na siew i na przeżycie zimy. Jedni dawali, inni pożyczali tylko, bo takich pogorzelców jak Zawidowski było w okolicach Krzepic więcej. Zadrzewie zostało w Reichu.

Zasiał, ale nie zdążył zebrać. W lipcu 1940 roku wysiedlono go wraz z rodziną. W kilka dni po wysiedleniu, w barakach, zmarł ojciec, a w kilkanaście, jedyny syn.

Troje pozostałych dzieci, dziewczynki, z których najstarsza miała sześć lat, a najmłodsza kilkanaście tygodni, zostały wraz z żoną i sta-

ruszką matką u obcych ludzi, gdy Zawidowskiego wywożono na roboty przymusowe.

Powrócił do pustego domu dopiero w czerwcu 45 roku i zaczął szukać rodziny. Dopiero w lipcu 45 roku cała rodzina Zawidowskich wróciła na swoje gospodarstwo. Zboże, które zebrali, nosili na plecach do stodoły.

W czasie kopania kartofli po raz pierwszy zetknął się z Koronami, których wprawdzie znał dawniej, ale słabo. Wiedział tylko, że mieszkają w Miedznie i że są bogaci. Dowiedział się, że Koronowie mają kilka par koni i wypożyczają je wszystkim, którzy płacą. Wykopał kartofle, zaorał pod żyto, trzymał konia przez tydzień, zapłacił za to dwadzieścia metrów kartofli — dwa wozy.

Uchowali świniaka. Najpierw kupił krowę z cielakiem. Następnego roku sprzedał jałówkę i jeszcze dwa świniaki i rozglądał się za jakimś tanim koniem. Wtedy właśnie dowiedział się, że magistrat w Krzepicach ma konia na sprzedaż, chorego co prawda, ale niedrogiego.

Kupił.

Koń stał kilka tygodni w stajni. Jeszcze do jesiennej orki musiał pożyczać koni.

Koń wyzdrowiał. Był młody, dobrze utrzymany i po kilku miesiącach nikt by nie poznał w nim kaleki z rozbitego wagonu.

Tej samej jesieni kupił jeszcze jedną krowę. Dwie najstarsze córki mogły nareszcie skończyć z pasieniem krów u ludzi, którzy je za to żywili, i pójść do szkoły. Zawidowska spodziewała się w zimie rozwiązania.

Drugi raz zetknął się Zawidowski z Koroną późną jesienią czterdziestego siódmego roku.

Przyjechał właśnie z pola i zobaczył na podwórku Karola Koronę, tego, o którym słyszał, że wyszedł z więzienia, i komornika sądu. Komornik był czerwony i lekko się zataczał.

Korona nie kiwnął nawet Zawidowskiemu głową na jego „dzień dobry". Wskazał tylko komornikowi konia i powiedział „To ten, niech go pan opisuje".

— Panowie, co takiego? Za co go chcecie zapisywać? — zawołał przerażony Zawidowski.

Dopiero teraz Korona zwrócił uwagę na siedzącego na wozie Zawidowskiego.

— Jeszcze się pytasz, złodzieju — skoczył na niego — moje przyszedłem odbierać, a jak się będziesz dużo pytał, do guza się dopytasz na swoim złodziejskim łbie.

— Kto złodziej? Przecież konia nie ukradłem. Kupiłem go w magistracie...

— A co, magistracki koń był? To żeś nie wiedział, że mojego konia kupujesz?

— Przecież zapłaciłem...

— To sobie odbierz pieniądze — nie dawał sobie przerwać Korona — jakeś płacił. Nie swego konia sprzedali, to niech ci oddadzą pieniądze.

Zawidowski chciał jeszcze mówić, jeszcze tłumaczyć, ale przerwał mu komornik.

— Panie Zawidowski! Postanowieniem Sądu Grodzkiego z dnia...— tu zaczął mamrotać długo i niezrozumiale numery paragrafów, ustaw, daty i miejsce ich wydania — zabezpieczam tego konia aż do czasu wyroku sądu. Nie wolno panu sprzedać ani bez zgody sądu zmieniać miejsca jego pobytu. W wypadku nie zastosowania się do powyższego postanowienia podlega pan karze, na podstawie dekretu z dnia... — tu znów długa litania numerów, ustaw — ...stu tysięcy złotych grzywny lub 3 miesięcy aresztu, albo obydwu tym karom łącznie. Niech pan to podpisze.

Zawidowskiemu wszystko zawirowało w oczach. Jaki sąd, jaka sprawa, dlaczego? Nic nie wiedział... Nie rozumiał.

— Nie! Nie będę podpisywał... Nie podpiszę.

Na podwórze wszedł sołtys, tak jak i Zawidowski prosto z pola. Z pewnością zawiadomiony przez kogoś z domu. Widocznie znał już całą sprawę. Nie witał się ani z Koroną, ani z komornikiem, ale od razu zwrócił się do Zawidowskiego:

— Leon podpisz, na sądzie się wszystko wyjaśni. Teraz nie masz się co upierać.

— Nie podpiszę — stanowczo przerwał Zawidowski — Konia kupiłem, mam na to rachunek, urzędowy rachunek. Kto fałszywie sprzedał, niech odpowiada, ja nie ukradłem.

— Panie sołtysie — zwrócił się do niego komornik — jest pan świadkiem, że zawiadomiłem Zawidowskiego o postanowieniu sądu. Niech pan tu podpisze...

Sołtys podpisał. Komornik zostawił druczek na wozie przed nieruchomo siedzącym Leonem i poszedł, za nim Korona i sołtys.

Gdy wyszli za bramę, Zawidowski wziął druczek w obie ręce tak, jak by go chciał podrzeć, ale opanował się i tylko obracał go przez dłuższą chwilę przed oczami jakby się dziwił, skąd to się wzięło u niego na wozie. Próbował przeczytać to, co już raz słyszał, ale tak jak poprzednio nic nie mógł zrozumieć w gąszczu paragrafowych znaków. Trzymając papier w rękach zszedł z wozu.

Koń zdziwiony tym długim i niezrozumiałym dla niego postojem oglądał się za siebie i rżał cicho.

Zawidowski ciężkim krokiem postarzałego nagle człowieka poszedł w stronę domu. Nie widział przylepionych do szyb w oknie twarzyczek dzieci, które przyglądały się całej scenie nie rozumiejąc z niej nic, tak jak ich ojciec. Żona była jeszcze na polu.

Tej samej nocy Zawidowski wyjechał z koniem. Okrężną drogą, przez Wręczycę, Dąbrówkę, Rembielice dotarł rano do Częstochowy. Na targu dostał za konia tylko 60 tysięcy. Szła zima i konie spadały w cenie. Wart był więcej...

Gdy wrócił do domu, czekał już na niego sołtys. Żona siedziała przy stole i płakała.

— Leon, coś ty zrobił? — sołtys odezwał się pierwszy. — Przecież to kryminał...

— Nie ukradłem konia, kupiłem legalnie, w urzędzie, przy ludziach kupiłem. Mam jeszcze kwit, wolno mi było sprzedać.

— Ale sąd...

— Kupiłem, nie ukradłem, mam kwit, wolno mi było sprzedać.

— Leon, ja muszę zawiadomić...

— To idź, jak musisz, to idź, ja konia kupiłem legalnie, w urzędzie, za to nie wsadzają do więzienia, ja konia nie ukradłem...

* * *

Tego samego dnia Sąd Grodzki w Krzepicach zarządził aresztowanie Leona Zawidowskiego oskarżonego o nielegalną sprzedaż konia.

W tydzień potem Leon Zawidowski został skazany na trzy miesiące aresztu...

Druga sprawa, ta właściwa, w której Korona skarżył Zawidowskiego, „wyszła" dopiero za miesiąc.

* * *

Oskarżonego Zawidowskiego przyprowadzono na sprawę z aresztu.

Świadkowie przedstawieni przez Koronę zgodnie zeznali, że uprzedzali Zawidowskiego, że nabywany przez niego koń jest własnością Korony, i że sam oskarżony opowiadał im, że „kupiłem tego konia — wiecie — tego konia Korony".

Zawidowski nie przedstawił świadków. Konia kupił od magistratu, miał na to dowody.

Słowa „magistrat" starannie unikał zarówno sędzia jak i Korona.

— Czy oskarżony wiedział, że koń stanowi własność Korony? — zapytał go sędzia.

— Wiedziałem, ale zabrali mu przecież...

— Zabrali, ale teraz oddali — przerwał mu zniecierpliwiony sędzia — i za konia trzeba odpowiadać. Ile wart był dla oskarżonego ten koń?

— Zapłaciłem za niego 25 tysięcy.

— Oskarżony zapłacił przed rokiem, wtedy były inne ceny. Ile teraz wart był ten koń, ile teraz oskarżony musiałby zapłacić za takiego konia?

— Leczyłem go, był okaleczony...

— Gdyby oskarżony nie kupił, nie potrzebowałby leczyć — sędzia kpił sobie z oskarżonego, wiedząc, że na rozprawie, na której nie ma adwokata, nikt nie zwróci na to uwagi — pytam po raz ostatni i proszę ściśle odpowiedzieć na pytanie: ile był wart — mówił sędzia skandując każde słowo — ten koń w chwili, gdy sąd zabezpieczył tego konia?

— Miałem wtedy robotę w polu, dla mnie wart był dużo...

— Dużo! Mało! — krzyczał już sędzia — To nie są określenia ważne dla sądu. Pytam się po raz ostatni: na jaką sumę oskarżony szacował tego konia?

— Wart był ze sto tysięcy — szczerze odpowiedział Zawidowski.

— Dziękuję.

Ogłoszono wyrok. Sąd zasądził na rzecz Korony 100 tysięcy złotych odszkodowania, gdyż tyle — jak przyznał sam oskarżony — wart był koń.

Prosto z sali zaprowadzono Zawidowskiego do aresztu. Miał jeszcze siedzieć dwa miesiące.

W ciągu sześciu tygodni do chwili uprawomocnienia się wyroku, przysługiwało mu prawo apelacji w Sądzie Okręgowym. Ani Zawidowski, ani jego żona odwołania nie wnieśli.

Ogłoszono licytację ruchomości Zawidowskich. Na licytacji tej sprzedano wóz i jedną z dwóch krów.

W dniu, w którym odbywała się licytacja u Zawidowskich zachorowała ich najstarsza córka — Elżbieta. Chorowała krótko. Odwieziona do szpitala, zmarła. Okoliczności, które przyczyniły się do śmierci Elżbiety Zawidowskiej, nie wywołały wtedy większego wrażenia. A właśnie one, a nie ten skandaliczny proces, bezprawna licytacja i skazanie

Zawidowskiego, są najtragiczniejsze, najbardziej nieludzkie w tej całej sprawie.

Po wyjściu z aresztu Zawidowski wznowił proces. Był przekonany, choć nie był prawnikiem, że sąd nie tylko nie miał prawa zasądzić stu tysięcy złotych, ale w ogóle pociągać go do odpowiedzialności. W Sądzie Grodzkim, w tym samym co poprzednio, po raz drugi przegrał sprawę. Wniósł odwołanie do Sądu Okręgowego i tu, już w 1948 roku, niespodziewanie dla mieszkańców Krzepic, sprawę wygrał. Sąd Okręgowy uchylił wyrok pierwszej instancji i zasądził zwrot uzyskanych z licytacji 100.000 złotych oraz wszystkich kosztów procesu. Korona próbował założyć kasację do Sądu Najwyższego, ten jednak zatwierdził wyrok drugiej instancji. Koronie nie pozostawało nic innego, jak wypłacić całą sumę komornikowi w przepisanym ustawą terminie.

Proces, który wygrał Zawidowski ciągnął się rok. Wyrok Sądu Okręgowego i Najwyższego zaskoczył mieszkańców Krzepic. Wprawdzie uważali, że słuszność jest po stronie Zawidowskiego, ale nie spodziewali się jego wygranej. Korona uchodził za niezwyciężonego.

Zawidowski sprawę wygrał ale tylko pozornie, formalnie. Pobyt w więzieniu, brak konia w ciągu roku, licytacja, zrujnowały go zupełnie.

*
* *

To wszystko, co tu napisałem, opowiedzieli mi mieszkańcy Krzepic. W czasie rozmów z nimi poza normalnym, ludzkim uczuciem zaciekawienia ogarniało mnie przerażenie. Gdyby Zawidowskiemu spaliło się gospodarstwo od uderzenia pioruna, opowiadaliby o tym wypadku tak samo, jak opowiadali o procesie. Dla nich, w Krzepicach, był to „wypadek" — objaw normalnej ludzkiej chciwości. Nawet ci, którzy oburzali się, robili to jakoś prywatnie i na własny użytek — „a to chciwiec — mówili — tak człowieka zmarnować".

W pierwszych latach po wojnie niewiele albo nic prawie w Krzepicach się nie zmieniło. Korona był kamienicznikiem. To bardzo wysokie stanowisko w społecznej hierarchii Krzepic. Prawa, którym podlegał przeciętny mieszkaniec Krzepic, nie obowiązywały Koronów. Korona nie odkłaniał się, Korona kupił samochód, Korona wygrał proces — nikogo to nie dziwiło.

Korona był bogaty i to bogaty jak nikt dotąd w tej okolicy.

Wszystko, co robił Korona, przyjmowano jako zjawiska przyrody, których nie można było ani uniknąć, ani przewidzieć. Życie takich mia-

steczek demoralizowało nie tylko Koronów. Zdemoralizowani byli i ci, którzy godzili się z tym stanem rzeczy, godzili się i nie przeciwstawiali.

Wszystko w Krzepicach było na usługi Koronów. Słuchano ich. Jedni dlatego, że mogli przy tym zarobić, inni, bo nie chcieli stracić.

Krzepicami rządziła klika ulegająca Koronom, która potrafiła innych zmusić do podobnej uległości. Banda ta przed każdą kontrolą z góry kryła się wzajemnie.

Dowiedziałem się wielu rzeczy, które początkowo wydały mi się nieprawdopodobne i niemożliwe. Potraktowałem je jako plotki, jako wymysły tworzone przez ludzi po to, by uprawdopodobnić niezrozumiałe i ciemne strony tej sprawy. Teraz, kiedy opowiadali mi o tym, w ich interpretacji wszystko było już „jasne i zrozumiałe".

Nie wierzyłem plotkom, po prostu odrzuciłem je i nie przyjąłem do wiadomości.

Postanowiłem szukać dalej, by znaleźć wytłumaczenie dla niezrozumiałego przebiegu procesu.

Wszyscy moi rozmówcy twierdzili, że „sprawa o szaber" dlatego została umorzona, ponieważ brat, Władysław Korona, wystarał się „gdzieś", o „jakieś" papiery i dokumenty stwierdzające legalne nabycie tych wszystkich rzeczy. Moi rozmówcy mrużyli przy tym oko dając do zrozumienia, że to też był jeden z wielu kantów Koronów. Na posterunku milicji, gdzie te rzeczy zostały zatrzymane, dowiedziałem się, że wagony były ładowane na Dolnym Śląsku. Zatrzymane rzeczy przekazano Urzędowi Likwidacyjnemu, a sprawę oddano do prokuratora.

W prokuraturze dzięki tym „jakimś" mitycznym dokumentom stwierdzającym legalne nabycie sprawa uległa umorzeniu.

Nie jestem tak naiwny, by uwierzyć, że Korona, właśnie Korona nabył te rzeczy legalnie na Dolnym Śląsku. Dlaczego przewoził je jako „słomę"? Dlaczego nie miał przy sobie od razu właściwych dokumentów? A najważniejsze: dlaczego, skoro miał dowody nabycia wszystkich przewożonych rzeczy, sądownie dochodził tylko jednego konia? Ciekawił mnie przede wszystkim ten „dokument".

Szukając odpowiedzi na wszystkie te pytania, ostatniego dnia mojego pobytu w Krzepicach udałem się do sędziego. Tego samego dnia przekonałem się też, że ludzie mówili prawdę. W Krzepicach wszystko było możliwe.

* * *

W kancelarii sądu przyjęła mnie przystojna, młoda sekretarka. Słyszałem już o tej sekretarce coś niecoś, ale powtarzam, jeszcze nie wierzyłem. Moja warszawska legitymacja prasowa uchroniła mnie od dłuższego czekania, zostałem przyjęty natychmiast. Sędzia był trochę speszony. Gdy przedstawiłem mu powód mojej wizyty, zmieszanie jego stało się jeszcze wyraźniejsze. Poprosił mnie, abym spoczął, a twarz jego, kiedy sadowił się w swoim fotelu za stołem, przybrała z powrotem wyraz martwej, sędziowskiej powagi.

— Panie sędzio — zapytałem — czy może mnie pan poinformować, jaki dowód przedstawił sądowi Karol Korona, co to był za dokument i przez kogo wydany, na podstawie którego sąd stwierdził, że koń był jego własnością?

— Nie przypominam sobie... To była, o ile się nie mylę, decyzja prokuratury.

— Czy Korona nie przedstawił sądowi żadnego innego dokumentu, rachunku, pisma, zaświadczenia?

— Coś takiego było, ale nie przypominam sobie dokładnie. Przepraszam pana, panie redaktorze, czy można wiedzieć, w jakim celu pyta pan o to?

— Zainteresowała mnie ta sprawa — odpowiedziałem — to jest bardzo ciekawa sprawa.

— Zapewne, ale materiały te są panu potrzebne...

— Tylko do reportażu.

— Hm, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie wiem, czy wolno mi ujawniać te sprawy. To są dowody sądowe.

— Sprawa była, jeśli się nie mylę... cywilna.

— Były dwie sprawy. Jedna z nich była karna.

— Ciekawi mnie tylko sprawa cywilna. Sprawa, w której Korona zaskarżył Zawidowskiego.

— To nie zmienia postaci rzeczy. Nie mamy prawa wydawać dokumentów ludziom postronnym.

Powiedział to nie jak osoba, z którą przeprowadza się wywiad, ale jak sędzia — kategorycznie i ostro.

— Przedstawiłem panu moje uprawnienia. Zrozumiałe jest, że pisząc reportaż o sprawach, które w trzech czwartych były sprawami sądowymi, chciałbym zapoznać się, jeżeli już nie z aktami, to z opinią sądu.

— Akta są w Sądzie Okręgowym — prawie tryumfująco powiedział sędzia — tam też w umotywowaniu wyroku i w samym wyroku jest moja opinia.

— Ale czy nie mógłby pan, panie sędzio — nalegałem mimo jego widocznej niechęci — powiedzieć mi kilka słów o tej sprawie, przecież pan ją rozpatrywał.

Sędzia zastanawiał się, patrząc na mnie badawczo, jakby chciał wyczytać, co wiem, a czego jeszcze chciałem się dowiedzieć. Niecierpliwie czekałem na odpowiedź.

— Nie, panie redaktorze, nie będę jednak w stanie udzielić panu informacji.

Oparł się silniej rękami o poręcze fotela, jakby chciał się podnieść i dać tym do zrozumienia, że rozmowę uważa za skończoną.

Nie miałem zamiaru tak łatwo rezygnować. Przerwałem tylko rysowanie kół i rombów w notesie i schowałem go do kieszeni. Chciałem, aby miał wrażenie, że dalsze moje pytania może uważać za zupełnie prywatne i zadawane tylko dla zaspokojenia ciekawości.

— Pan zdaje się, panie sędzio, także nabył parę koni z tego samego transportu, z którego pochodził sporny koń Zawidowskiego. Nabył je pan w Urzędzie Likwidacyjnym, na tej samej licytacji, na której magistrat zakupił tego nieszczęsnego konia. O ile mi wiadomo — powtórzyłem — nabyte przez pana konie nie były ani przedmiotem sporu z Karolem Koroną, ani przedmiotem przewodu sądowego.

Oczy sędziego nerwowo zamigotały.

— Pan wybaczy — mówiąc silił się na spokój — ale pytanie to dotyczy raczej moich prywatnych spraw, a nie tych, które pana interesują.

— Tak, pana spraw prywatnych — potwierdziłem.

Zapanowała chwila milczenia.

— Widzi pan, panie sędzio — ciągnąłem dalej — jestem dziennikarzem i interesuje mnie wiele spraw, nawet takich, które nie interesowały sądu i które nie miały związku z wymiarem sprawiedliwości.

Słowa „wymiar sprawiedliwości" sędzia przełknął wraz ze śliną jak gorzką pigułkę.

— Tak. Kupiłem te konie. To była legalna licytacja.

— Aha! A czy Zarząd Miejski kupując konia na tej samej co i pan licytacji uchybił w czymś przepisom prawnym obowiązującym przy tego rodzaju transakcjach? Czy licytacja ta, z punktu widzenia sprawy Korona-Zawidowski, była mniej legalna?

— Nie wiem, co i kiedy kupował Zarząd Miejski. Kupiłem te konie jako osoba prywatna. Te sprawy może panu wyjaśnić burmistrz.

— Leon Zawidowski kupił konia od zarządu miasta również jako prywatna osoba — wtrąciłem.

— Panie redaktorze, do czego pan zmierza... — Ton miał być groźny, ale przebijał przez niego strach. Nie wstawał z fotela, ale kurczył się na nim.

— Do czego zmierzam... — odpowiedziałem z wahaniem. — Brakuje mi jeszcze paru drobnych szczegółów do zakończenia reportażu.

— Panie redaktorze — głos sędziego brzmiał ugodowo — wydałem taki wyrok, jaki mi dyktowały prawa, na podstawie dokumentów, zeznań świadków i zgodnie z moim sumieniem.

Ostentacyjnie zakręciłem i schowałem wieczne pióro. To ja dawałem teraz do zrozumienia, że zbliżamy się do końca rozmowy.

— Jeszcze tylko dwa pytania, panie sędzio — dodałem śpiesznie widząc błysk radości pojawiający się na twarzy sędziego — Korona, ażeby uzyskać zwolnienie z więzienia, musiał przedstawić dowód nabycia na wszystkie pięć koni?

— Zapewne.

— Jak sobie w takim razie wytłumaczyć fakt, że mając dowód własności na wszystkie pięć koni, zrezygnował z pozostałych czterech, tych, które między innymi i pan nabył...

— Panie redaktorze! Wypraszam sobie...

— Tak, nabył pan i później sądził pan i skazał człowieka za nieprawne nabycie mając w ręku dokument i na podstawie dokumentu, który stwierdzał, że i pan popełnił to samo przestępstwo — mówiłem wstając. — Tego tylko chciałem się dowiedzieć, panie sędzio.

— Ja!... Odmawiam. Ja!...

— Ależ, panie sędzio, przeprowadzałem tylko wywiad. Nie jestem prokuratorem i skoro pan nie życzy sobie udzielać mi dalszych informacji, najmocniej przepraszam. Do widzenia panu.

Sędzia nie odpowiedział.

Przechodząc przez kancelarię przyjrzałem się dobrze sekretarce. Sekretarką w Sądzie w Krzepicach była Krystyna Koronówna, siostra Władysława i Karola Koronów...

W Częstochowie dzięki uprzejmości przewodniczącego Sądu Okręgowego zapoznałem się z dokumentami sprawy. Znalazłem: Starostwo Powiatowe w Szprotawie zaświadcza, że Karol Korona nabył...

Na bibułce, starym sztubackim sposobem, odkalkowałem podpis pod zaświadczeniem i zanotowałem datę oraz numer dziennika.

Pociąg do Żegania odchodził z Częstochowy o godz. 23.12. W Żeganiu miałem połączenie autobusowe ze Szprotawą...

* * *

Mój przyjazd nie wywołał w Szprotawie takiego wrażenia jak w Krzepicach. Na Dolnym Śląsku ludzie zmieniają się często i przyjazd nowego człowieka nie jest niczym osobliwym.

Starosta, którego odwiedziłem, opowiadał mi o trudnościach, na jakie napotyka odbudowa zniszczonego powiatu. Słowo „brak" towarzyszyło niemal każdej wymienianej rzeczy.

Zdziwił się, gdy zadałem mu pytanie, które tu, w Starostwie szprotawskim, mogło uchodzić za bezsensowne.

— Czy Starostwo sprzedawało kiedyś konie i zezwalało na ich wywóz do Polski Centralnej?

— Konie! Konie! — wykrzyknął zaperzony starosta. — Co wy sobie myślicie, redaktorze, jak byśmy mogli zezwalać na wywożenie stąd koni?! My walczymy o każdego konia, walczymy! — zamachał rękami chcąc tym podkreślić, jak dzielnie walczy. — Dla nas konie to sprawa likwidacji ugorów, to siew, to rozwiązanie 75 procent, ach, co ja mówię, 90 procent trudności.

Starosta pełnił swoją funkcję w tym powiecie zaledwie od kilku miesięcy. Poprosiłem go, by mnie skontaktował z kimś, kto pracuje tu dłużej. Skierował mnie do jednego z naczelników wydziału.

Kierownik, wysoki, chudy i nerwowy powtórzył znane mi już historyjki na temat lokalnych trudności. Mówił jednak inaczej niż starosta. Kiedy tamten gestykulował gwałtownie, mówiąc: „my bijemy się", ten rozkładał ręce przy słowach „nic nie możemy poradzić".

Zapytałem go o konie.

— Ach, konie, konie. Ludzie nie dają żyć, proszą, grożą, kłócą się, żądają koni. Dostaliśmy trochę koni z UNRRA, padają, są chore.

— A konie, które tu zastaliście?

— Tego było zaledwie kilkadziesiąt sztuk w całym powiecie.

— Kilkadziesiąt sztuk w całym powiecie... — A jaka jest procedura przy przydzielaniu takiego konia osadnikowi? Czy otrzymuje zaświadczenie, że koń jest jego własnością?

Przez cały czas trwania rozmowy miałem otwarty notes... jakbym miał zamiar notować.

— Zaświadczenie takie wydaje gmina.

— A jeżeli ktoś nabył tu konia... no, kupił na targu lub od jakiejś instytucji...

— Wtedy takie zaświadczenie wydajemy my, zresztą też przeważnie na podstawie zaświadczenia z gminy lub zaświadczenia osoby sprzedającej z potwierdzonym urzędowo podpisem.

— Czy może mi pan pokazać, jak wygląda takie zaświadczenie?

Zdziwił się trochę, ale pokazał. Formularz zaświadczenia odbity na powielaczu, był taki sam, jaki widziałem w Częstochowie w aktach.

— Czy to jest oryginał?

— Nie, to jest odpis, oryginał otrzymuje petent.

— Odpisy przechowuje się w aktach?

— Tak.

— A kto w starostwie wydaje podobne zaświadczenia?

— Ja.

— Od jak dawna?

— Prawie od początku jak tu pracuję, to znaczy od 46 roku.

— Pan podpisuje oryginał i kopię?

— Tak.

Jeszcze raz, przyjrzałem się dobrze zaświadczeniu, a potem spojrzałem do otwartego notesu... między kartkami miałem na bibułcę kopię tamtego podpisu.

— Bezczelna świnia, nawet podpisu nie zmienił — pomyślałem.

Zapytałem jeszcze, czy każde takie zaświadczenie wciąga się do dziennika. Potwierdził.

Tu kończyły się moje uprawnienia reportera.

* * *

Kierownik Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa słuchał mnie uważnie. Na jego czole nabrzmiewały żyły.

Gdy skończyłem, długo przypatrywał się bibułce, wreszcie wycedził przez zęby: „Łobuz, my tu konia na pięć części dzielimy, a on... Przyjdźcie do mnie za dwie godziny, sprawdzę ja te „podstawy"...

— Wiecie — mówił do mnie kierownik w dwie godziny później — ja już od dawna miałem podejrzenie, że tu działała dobrze zorganizowana banda szabrowników. Musieli mieć tu kogoś, kto zacierał wszelkie ślady, bo później coraz trudniej było działać bez pozorów legalności. Nie mogliśmy jednak znaleźć żadnego dowodu... Naturalnie nie

ma ani odpisu, ani śladów w książce korespondencyjnej, ale dzięki wam mamy oryginał. Czy wy dziennikarze często natykacie się na takie sprawy?

— Nasz zawód pozwala nam stykać się z różnymi przejawami walki klasowej, ale z takim kryminalnym przypadkiem spotkałem się po raz pierwszy.

Czekając na swój pociąg, którym jechałem z powrotem do Krzepic, przyglądałem się jak na rampie wyładowywano z wagonów konie. Na ulicy, już poza obrębem stacji, stali grupkami chłopi, którzy zjechali się tu z całego szprotawskiego powiatu. Sprowadzane z centralnej Polski konie są tu rozdzielane między najbiedniejszych gospodarzy.

*
* *

Burmistrz Krzepic był bardzo zdenerwowany i nie próbował tego ukrywać. Wiedział już, co mnie tu sprowadza. Mój ponowny przyjazd i bezpośrednia wizyta u niego dawały mu dosyć powodów do najsmutniejszych przewidywań.

W rozmowie kręcił, próbował mnie agitować, żalił się na złych, prawdopodobnie skorumpowanych urzędników magistratu. Był to pierwszy burmistrz, który udzielając mi wywiadu wyraził swoje niezadowolenie z tego. Już trzeci raz pytałem go o to samo: Dlaczego on, burmistrz, dlaczego magistrat nie interweniował w tej sprawie, skoro to on sprzedał konia, którego nabywca został skazany za nielegalne kupno?

— Sąd nie zwracał się do nas, Zawidowski nie powołał nas na świadków — bronił się z miną niewiniątka.

— Ale waszym obowiązkiem było interweniować.

— Gdyby się sąd zwrócił do nas... — powtarzał swoje.

— Dobrze. Czy znacie Koronów? — przeskoczyłem na inny temat.

— Czy znam... no tak... znam, a jakże... mieszka się przecież tyle lat w tych stronach... tyle o ile, oczywiście...

— Ale przyjaźnicie się z Koroną?...

— Nie... nie, skądże znowu.

Zdobyłem się na uprzejmy uśmiech. Poczęstowałem burmistrza papierosem, a on mnie ogniem. Poczuł się trochę pewniej.

— Jak się miewa wasza chrześniaczka?

Burmistrz spostrzegł się, że przegrał i to z kretesem. Biedaku — pomyślałem — tyle lat żyjesz w tej okolicy i nie wiesz, że w Krzepi-

cach wszystkiego się można dowiedzieć. Posmutniał i mrugał bezradnie oczami.

— Nie mogłem się wykręcić, tak się napraszali, nie mogłem odmówić.

— W Krzepicach zostać kumem Korony i trzymać do chrztu jego pierworodną córkę, to zaszczyt. Na chrzestnego zaprasza się przyjaciela... i to dobrego przyjaciela.

— Zapraszali...

— To się chodziło, czemu nie? — dokończyłem za niego. — Chodziło się na domowe popijawy, razem piło się w „Odzyskance", w „Europejskiej" w Częstochowie, chlało się w Wieluniu, bodajże nawet w dzień rozprawy Zawidowskiego była jakaś lumpka.

— Zdarzyło się czasem...

— Gdyby wam Korona chciał zawsze fundować, zdarzałoby się co dzień. Widzę jednak, że rodzinę Korony znacie dobrze i często u nich bywacie. A co mi możecie powiedzieć o ich siostrze, tej, która pracuje w sądzie.

— Pracuje w sądzie, jest sekretarką.

— To i ja wiem, ale co więcej wiecie o niej?

Burmistrz nie odpowiadał. Pomogłem mu.

— Wasza żona mówiła mi... — Podskoczył.

— To plotkarka, proszę jej nic a nic nie wierzyć!

Zdenerwował mnie. Już ostro zapytałem... — A gdzie, obywatelu, byliście na wczasach? Skoro wiecie — ciągnąłem dalej — że wasza żona jest plotkarka, nie trzeba było jej opowiadać tego, coście widzieli w Polanicy. Wszyscy, nie tylko wasza żona, powołują się na was: „Burmistrz ich widział, burmistrz mi mówił".

Burmistrz siedział, ale najwyraźniej chwiał się na swoim krześle. Na burmistrzowskim stolcu także.

*

* *

Murowany dom Zawidowskich wskazali mi ludzie w Zadrzewiu.

Mówi Zawidowska. Głosem kobiety, która już nie umie płakać.

„Dwa dni przedtem zabolało ją coś w brzuchu. Nie poszła do szkoły, tylko leżała w łóżku.

Tego dnia jęczała ciągle i wołała ojca. Jego — ruchem głowy wskazała męża — nie było w domu. Kładłam jej kompres na brzuch, bo nie miałam czasu iść po doktora. Byłam sama w domu. Już z samego rana

przyjechał komornik i Korona, i na podwórku było pełno ludzi, którzy przyszli na licytację... Było już koło południa, kiedy przyjechała szwagierka, i dopiero ona, jak zobaczyła Elę, poleciała po doktora. Doktór kazał natychmiast wieźć dziecko do szpitala. Mówił, że to atak ślepej kiszki i trzeba natychmiast operować.

Konia już nie mieliśmy. Na podwórku stała bryczka Koronów, ale nie chcieli odwieźć. Doktór nawet zwymyślał Koronę, ale ten odpowiedział doktorowi, że jak złodzieje, koniokrady, to niech lepiej wyzdychają..."

Mąż Zawidowskiej siedział przy stole i cały czas nie odzywał się słowem. Miał zastraszone oczy człowieka, któremu nie wiedzie się w życiu.

„Doktór poleciał do miasta, żeby zadzwonić po pogotowie do Częstochowy. Karetki nie było, wyjechała już po kogoś, miała przyjechać dopiero w nocy. Po południu, oni jeszcze byli wszyscy na podwórku, Eli zrobiło się gorzej i szwagierka poleciała jeszcze raz po doktora. Gdy przyszedł, kazał natychmiast wieźć do szpitala do Katowic. Bo widzi pan, od nas do Częstochowy jest 15 kilometrów, ale dojechać można tylko albo wozem, albo samochodem. Do Katowic, choć jest 50 kilometrów, można dojechać pociągiem. Pociąg do Katowic jest raz dziennie, i to właśnie wieczorem. Doktór mówił, że karetka będzie wolna dopiero po północy, a w Katowicach pociąg będzie już o 12-ej w nocy, i mówił, że teraz każda minuta jest ważna. Chciał nawet jechać z córką, żeby wszystko w Katowicach załatwić. Do stacji od nas jest cztery kilometry. Doktór poszedł jeszcze raz do Korony, żeby odwiózł dziecko choć do stacji. Chciał zapłacić nawet z własnych pieniędzy. Szwagierka mi mówiła, bo ja byłam cały czas przy dziecku, że wyjął pieniądze z portfela i chciał dać Koronie, a gdy ten nie chciał wziąć, rzucił mu je pod nogi. Korona i komornik pili sobie właśnie po licytacji. Szwagierka poleciała na wieś, ale wszyscy byli w polu. Zanim sąsiad przyjechał, było już za późno na pociąg.

Sanitarka przyjechała dopiero o 1-ej w nocy. I nie tu, tylko do Krzepic, bo widział pan, jaka do nas droga. Samochodem nie przejedzie. Trzeba było ją wziąć i zanieść te dwa kilometry.

Operowano ją rano. W czasie operacji umarła... Gdyby nie szwagierka, to nie miałby się kto nawet zająć pogrzebem. Mnie zrobiło się już wtedy niedobrze."

W kołysce zakwiliło dziecko. Zawidowska nakarmiła je i opowiadała dalej.

„Miała czternaście lat, była z niej już wyręka. Tyle się człowiek namęczył, całą wojnę sama z dziećmi... — westchnęła. — Lekarz mówił potem, że gdyby było wcześniej, to by się operacja udała."

Widziałem, jak leżące na stole pięści Zawidowskiego zacisnęły się kurczowo. Zapanowało głuche milczenie.

Po chwili Zawidowski sięgnął do kieszeni i wyjął fotografię, z którą się widocznie nigdy nie rozstawał. Patrzyły na mnie wesołe oczka ładnej dziewczynki o okrągłej twarzyczce.

— W wojnę — odezwał się po raz pierwszy — co tydzień pisała do mnie listy... tylko te listy mi teraz zostały... — Wyciągnął z kieszeni paczkę listów.

Dziecięcy, niewprawny charakter pisma, „Kochany Tatusiu", a dalej naiwne słowa o siostrzyczce, która się sparzyła, o kotku, którego ma teraz i który bawi się jej warkoczykami...

— Nawet się z nią nie pożegnał... — powiedziała Zawidowska — Siedział w więzieniu.

Z Zawidowskimi o procesie nie rozmawiałem. Dla nich sprawa ta miała zupełnie inny wymiar. Za duży na mój reportaż.

* * *

Wstąpiłem jeszcze do doktora. Musiałem mieć pewność co do przyczyn zgonu Elżbiety Zawidowskiej.

Gdy się dowiedział, w jakiej przyszedłem sprawie, zrzucił fartuch i poprosił mnie do pretensjonalnie umeblowanego saloniku.

— Pamiętam, a jakże, pamiętam. Dobrze, że się ktoś nareszcie zajął tą sprawą.

Z wszystkich moich rozmówców jeden doktór nie mówił mi o tym spokojnie i obojętnie. Widać było, że wspomnienia te wzburzają go. — To było morderstwo, panie redaktorze... m o r d e r s t w o... Dla grosza, dla zemsty zamordowano człowieka. Wóz stał, siedzieli na nim i pili z licytantami, to się zawsze praktykuje, gdy chce się osiągnąć niską cenę. Wóz, bryczka — poprawił się — stała. Korona ma piękne konie, takimi końmi do Częstochowy można dojechać w niecałą godzinę, a tam, proszę pana, ropa w każdej chwili mogła się rozlać. Tak, tylko natychmiastowa operacja mogła ją uratować. Rano, gdy tam byłem po raz pierwszy, stan był poważny — ropne zapalenie — ale szpital w Częstochowie dysponował już wtedy penicyliną. Ja jej niestety nie miałem. Jeszcze wieczorem można było ją uratować. Panie redakto-

rze! — złapał mnie za ramiona i potrząsnął, był o wiele wyższy i tęższy ode mnie — Tam konie stały cały dzień. Wieczorem jeszcze ratunek był możliwy, chciałem z nią jechać do Katowic, zawiadomiłem szpital w Katowicach o wypadku, nie dali koni. Było już za późno, by zdążyć pieszo na stację. Zaniósłbym ją na rękach. Cztery kilometry było do stacji i też nie dali koni. Niech pan napisze, że konie stały cały dzień, że pili wódkę i odmówili, odmówili ratunku umierającemu dziecku. To potworne! W nocy, gdy przyjechała karetka, stan był już beznadziejny. W dwudziestym wieku człowiek umarł na zapalenie ślepej kiszki. Niech pan napisze, panie redaktorze: nie umarł, został zamordowany, zamordowany z premedytacją!...

* * *

Do Koronów poszedłem tylko dlatego, żeby być w zgodzie ze swoją dziennikarską zasadą: „zbadać sprawę z każdej strony". W tym wypadku była to już tylko formalność.

Wiedzieli już, kim jestem i w jakiej sprawie przychodzę. Niepojęte, jak szybko w takich Krzepicach rozchodzi się nawet rysopis człowieka.

Byli zmieszani. W pół roku po trzecim plenum do takich, jak Korony, dziennikarz nie przychodził po to, by zachwycać się ich zdrową chłopską inicjatywą.

Nie wiedzieli, gdzie mnie posadzić. Wódka i zakąska zjawiły się momentalnie na stole. Albo zawsze były pod ręką, albo też spodziewali się mojej wizyty.

Moja odmowa picia przestraszyła ich, nie wróżyła nic dobrego. Zapewne nikt dotąd z „urzędowych osób" nie odmawiał poczęstunku w domu Koronów. Przyglądałem się długo tym spasionym mordom, przestraszonym teraz i niepewnym co ich czeka, mordom ludzi czujących się dobrze tylko wobec tych, których mogą przekupić, lub którzy są słabsi.

Milczeli. Czekali, aż odezwę się pierwszy.

— ...Dlaczego nie daliście wtedy koni?

— Myślałem, że tylko tak wygadują sobie o tej chorobie — odezwał się jeden z braci, który mimo zamszowych tyrolek na nogach nie stracił nic ze swojego chłopskiego akcentu. Tyrolki miał od szewca z Warszawy, a akcent spod Częstochowy.

— A doktór? Doktór wam mówił. Rano wam mówił... wieczorem.

— Jak mogłem dać konie, kiedy była licytacja?—Mówił „licytacyja".

— Nie mogliście przerwać, nie mogliście odroczyć licytacji? Wy tam nie byliście przecież potrzebni.

— Jak to przerwać... Ludzie byli... Komornik był... Jak było przerwać?

— Tam umierał człowiek.

— Ja nie widziałem, czy umiera.

Rozluźniłem krawat, który zaczął mi nagle uwierać szyję...

— Czy doktór nie mówił, nie krzyczał, czemu doktorowi nie daliście koni? Wasze konie nie brały udziału w licytacji...

— Co miałem dawać konie obcym, żeby mi zajeździli.

Już piąta zapałka łamała mi się w ręku, a papieros drżał mi w ustach. Usłużny Korona, nie pamiętam już który z nich, podał mi ogień. Udało mi się przytknąć gasnący ułamek zapałki do papierosa. Czułem, że nie panuję już nad sobą...

— Wy od początku wiedzieliście, że to świńska sprawa z tym sądem, z tą licytacją, z tym wszystkim!

— Jak to świńska sprawa? Sąd przyznał, zasądził.

Mimo że rozsupłałem krawat już zupełnie i odpiąłem guziki nie tylko kołnierzyka, ale i koszuli, męczące uczucie duszenia nie mijało. Twarz paliła mnie, jakbym siedział blisko ognia.

— Powiedźcie mi, dlaczego nie baliście się podać sprawy do sądu? Powiedźcie mi, kto was zapewnił, kto zaręczył, że możecie się nie bać?

— Co się miałem bać... Koń był mój.

— Ten jeden twój... — słowo „łobuzie" zgryzłem w zębach wraz z końcem szklanej „fifki" — a reszta, cztery konie czyje były?... Ta para koni, którą kupił sędzia, czyja była?

— Ja nie wiem.

— A kto sprzedał potem te... te same konie, które kupił sędzia? Sędzia je kupił na licytacji po siedemdziesiąt tysięcy, a tyś je sprzedał po sto!

— Ja nie sprzedawałem.

— Korona! — nie byłem już reporterem. Nie wolno mi było, ale krzyknąłem — Korona! Więcka znasz?

Bracia spojrzeli po sobie, zanim jeden z nich odpowiedział: — Znam...

— Więcek ci płacił po sto tysięcy za konia. Więcek ma te konie, te konie, te same konie, które żeś w Szprotowie...

Ten efekt końcowy był jak wyreżyserowany. Bano się mnie już w Krzepicach. Dlatego, kiedy zażądałem od Więcka, by odwiózł mnie

swymi końmi do Częstochowy, nie odmówił. Nie miałem czasu dłużej pozostawać w Krzepicach i w czasie drogi chciałem porozmawiać z Więckiem. Powiedziałem mu, żeby zajechał pod dom Korony. Teraz stał tam i czekał na mnie.

— Wy, Korony, powinniście pamiętać swój towar. Przyjrzyjcie się! Powiedźcie mi, kto dał pieniądze sędziemu na kupno tych koni na licytacji, kto mu je wręczył: jeden z was czy wasza siostra?

I jeszcze raz denerwująca, z uporem powtarzana tępa odpowiedź: „Ja tam nie wiem".

Dalsza rozmowa z nimi nie miała sensu.

Tego samego dnia aresztowano braci Koronów, następnego dnia sędziego i burmistrza. Śledztwo dotarło już do Krzepic. Trzy wojskowe samochody i czerwone otoki Prokuratury Wojskowej świadczyły, że coś w tym mieście gruntownie się zmienia.

W kilka miesięcy po opisanych tu wypadkach przed Sądem Wojskowym w wielu miastach, między innymi w Szprotowie i Częstochowie, rozpoczął się proces wielkiej szajki szabrowników i sabotażystów. Jak doniosła prasa, Korona został skazany na 10 lat więzienia, sędzia w Krzepicach na 12 lat, inni skazani zostali od roku do 8 lat więzienia.

Na jednym z tych procesów byłem sprawozdawcą prasowym.

*

* *

Wszystkie przedmioty w gabinecie ginęły po kolei w mroku, najpierw te, które znajdowały się najdalej od okna.

Gdy było już tak ciemno, że rozróżnialiśmy się tylko po blasku żarzących się w ręku papierosów, sekretarz zapalił lampę stojącą na biurku. Zrobiło się trochę jaśniej, tak że mogłem obserwować twarz sekretarza i prokuratora. Rozmowa dobiegała końca. Nie prawiliśmy sobie w niej komplementów, ale mimo to nastrój panował między nami taki jak między przyjaciółmi rozstrząsającymi ważne dla nich sprawy.

Tu, w gabinecie sekretarza powiatowego partii, kończyła się moja przypadkowa rola detektywa samotnie zbierającego materiał reportera. Opowiedziałem sekretarzowi całą sprawę Korona — Zawidowski. Prokurator dorzucał szczegóły świeżo uzyskanych informacji z dochodzeń prowadzonych na innym terenie.

Mówiąc o poszczególnych fazach sprawy, zwracałem się często do sekretarza z pytaniem: — „A gdzie wy byliście wtedy, gdzie była par-

tia?" Gdy skończyłem, mówił sekretarz. Nie zapewniał, że zaraz zajmie się tą sprawą. Nie usprawiedliwiał siebie ani innych, przeciwnie, mówił, że dużo jeszcze czasu upłynie, że dużo roboty wymaga to, by sprawy te załatwić i zlikwidować.

— Tak — przyznał sekretarz — to był wielki nasz błąd, że w sprawie tej nie było partii. Korona był w Krzepicach postrachem, wyzyskiwaczem, dyktatorem. Ale nie tylko to, był również wzorem, wzorem do naśladowania. Tam w Krzepicach, jeżeli ktoś chciał się wybić, mógł albo przyjść tu do huty lub do przędzalni, albo iść w ślady Korony. Tu u nas, w fabryce mógł róść. Partia wskazywała ludziom drogę rozwoju, pomagała i pchała do tego rozwoju. Tu w hucie rodziła się nowa moralność przodowników pracy. A tam? Tam w Krzepicach rodziły się nowe Koroniątka, rosły w starej moralności starego Korony. Ten rozdział w robocie partyjnej na „tu" w hucie i gdzieś „tam" w Krzepicach — to był nasz największy błąd. Przez te cztery lata od wyzwolenia wiedzieliśmy dobrze, co się działo i czym żyli ludzie w przemyśle. O wsi wiedzieliśmy mało, nawet to, co wiedzieliśmy, opierało się w części na naszym przedwojennym wyobrażeniu o wsi. W 45 roku rozdzieliliśmy ziemię dworską, i praktycznie — na tym się wówczas skończyło. Już po roku wszyscy „nadzieleńcy", tak ich tutaj nazywają, byli w kieszeni kułaka. Ten miał konie, miał ziarno, maszyny. Wystarczyło tylko mieć pług, by już móc wykorzystywać takiego nadzieleńca... Zbiór był po połowie, to jeszcze nie było tak straszne. Tam, gdzie do ziarna dodawano gnój, brano po trzy czwarte. Chłopi przychodzili do nas, ale były cenniki za pomoc sąsiedzką, były przepisy, ustawy, była Samopomoc Chłopska, różne kółka rolnicze. Przez te trzy lata, tak, tu macie rację, wszystko tak szło, tak wyglądało, że politycznie i gospodarczo na zmianach ustrojowych w Polsce wygrał na wsi ten, kto był bogaty. Te wszystkie cenniki, związki, to wszystko było kułackie. Dzisiaj nieraz stajemy wobec tych spraw i głowimy się, gdzie tu jest początek, a gdzie koniec — tak wszystko jest poplątane. Sprawa Zawidowskiego jest prosta, diabelnie prosta i dlatego gorsza od innych. Dlatego też — zwrócił się do mnie — nie znaleźliście w Krzepicach oparcia. Przez to, żeśmy w porę nie obronili Zawidowskiego straciliśmy w Krzepicach zaufanie. Zajmując się tymi sprawami, stawiając je na zebraniach gromadzkich, możemy to zaufanie powoli odzyskać. Sąd, likwidacja kliki, to drobny, początkowy, ale bardzo ważny odcinek w walce. Chłopi jeszcze nie rozumieją, że siła Korony tkwiła w kapitalistycznym ustroju Krzepic. Ludzie w Krzepicach muszą rozumieć, że obrona przed Koroną to atak, atak na pozostałości ustroju, w którym rósł Korona.

Sekretarz nie mówił ani patetycznie, ani z często spotykaną, a w takich momentach nieodpowiednią, nutką agitacyjną w głosie. Mówił poważnie, prawie cicho, tak samo szczerze o własnych błędach, jak i o planach dalszej pracy. Walkę z kliką Korony nazywał pracą.

— Jedno jest tylko niesłuszne w tym, co mi mówiliście — przypadek. Nie, towarzyszu redaktorze. My przechodzimy z odwrotu — nie boję się tego nazwać po imieniu — z odwrotu przed wiejskim kapitalizmem do ataku na niego. Partia wiedziała o tym, co się dzieje w Krzepicach, dowiedziała się za późno, to jest błąd, ale i tam mieliśmy rozpocząć ofensywę. Wy tylko przyśpieszyliście to, co i tak musiało nastąpić. Likwidacja kliki Korony, to nie przypadek. Nasz błąd dotychczasowy, to brak wiary we własne siły, to ograniczanie walki ze starym ustrojem do miast, do wielkiego przemysłu. Za rok nie będziecie już błądzili po Krzepicach, zajdziecie do Komitetu Partii i tam powiedzą wam, jak dalece zmienił się ideał Krzepic. I nie trzeba będzie aż legitymacji prasowej z Warszawy, aby zdemaskować klikę Korony. Korespondencje będą szły z terenu do nas i do Warszawy; rolę, którą tu odegraliście, przejmą ludzie miejscowi.

Zapanowało milczenie. Czułem, że sekretarz chce jeszcze coś powiedzieć i że ta myśl nie opuszczała go w ciągu całej rozmowy. Wiedziałem, co chciał powiedzieć.

— Ale wśród tych, którzy będą budować ten nowy ideał, nie będzie Elżbiety Zawidowskiej.

Józef Kuśmierek

TĘCZA NA BURZY

Widzisz tę tęczę na burzy...
Słowacki

Ujął góry jak ujmują je obłoki i z tych ujęć
słowo jego ma polotną szczytność:
oprócz blasku niczego nie zawrze.

Powtarzam je, by doścignąć...

Jadąc — odczarowuję:
odwracam, jak stronice, stoki gór na pamięć,
powtarzam wodę i kamień,
wodę (co wniebowstąpiła), kamień (co zakwitnął),
jadę,
by doścignąć widok znikły z jego oczu,
uniesiony przez światło na zawsze...

Ścigam czas tamtej poezji, a tej przestrzeń ważę
nad wody — błękitnymi? — zielonymi Aary...

Z szybkością śpiewu na wietrze — dyliżansem? —
samochodem
jadę.

Oczy tak napoiłem w jeziorach barwami,
że czytając maluję
jednym mgnieniem rzęs między wierszami „W Szwajcarii"
tę skaczącą przez tęczę kaskadę
zmniejszoną, lecz świeżobłękitną
jak rozprysk rosy na trąconym bosą stopą chabrze.

Lecz w tej — z róż i słowików? — z granitu dolinie
stromy strumień nie płynie tęczowymi łzami,
którymi wtedy tamten wodospad się stoczył
raz na zawsze wraz z czasem.

Tu włoscy robotnicy, aby tęczę w burzy
rozwidnić,
w prądnicy przedłużyć,
burząc i budując, ujarzmiają wodę:

Huk wodospadu w huku skał wysadzanych zamilkł.

I jest dwojaka po wybuchu dwukrotnym
cisza — przepaść, — tak, że usłyszałbym
oddech
walczących w Modenie bezrobotnych.

Jakby nagle rozstąpiły się Alpy.

1949 r.

CZARODZIEJSKA GÓRA

Nad urwiskami
drogą jak wstęgą podrywaną na zakrętach z obu stron w powietrze
owijając podgórski bór — choinkę Alp
zawieszoną nad doliną —
u szczytu tej choinki powieszę
pośnieżną gwiazdkę wyżynną:

Jak diamentowy rys twojej narty
stromo błyska mi,
znika,
przeciwbłyska
kwietny styk zimy z wiosną:
narcyz,
narcyzowa hala pobliska.

Zbliżona w woni dal.

Pijany od pędu, na rzęsach — oczami uszczkniętą — wiozący
jej gorącą jasność w zimną
jasność
lodowcowej Góry Czarów,
cóż ofiaruję na wiosnę
dziewczynie z powstania

nie zaklętej — powalonej przez gruźlicę?
Echo salw
rozłączone przełęczami ze mną,
gdy z wojny ocaloną wyniosłem
głowę — tylko własną?
Parów
nagle objawiony ze mgły?

Spójrz na kamienną łunę:
światłość jej świeci:
Alpenglüh'.

Za to, że gdy ona walczyła do śmierci,
ty żyjesz do sławy,
daję ci żal, szarotkę wzruszeń.

Ofiarowałbym ci nawet
(jak zaledwie różę)
nieodwzajemniony jej pocałunek.

— — — — — — — — — — —

Na starter! Za kierownicę!
Niech motor czas roztrwania
i przewraca przestrzeń na nice!

Julian Przybos

EDMUND OSMAŃCZYK

TEMATY DO POWIEŚCI

Zamieszczony poniżej fragment książki reportażowej o młodzieży niemieckiej poprzedzony jest rozdziałem, opisującym Niemcy okupowane w okresie wiosna 1945—1946, kiedy to w na pozór zupełnie beznadziejnych warunkach powstał w strefie radzieckiej pierwszy zawiązek postępowego ruchu młodzieży (lipiec 1945 — „Komitety Młodzieży Antyfaszystowskiej"; marzec 1946 — „Freie Deutsche Jugend"). Po opisie pierwszego, liczebnie bardzo skromnego Zjazdu Delegatów FDJ w Zielone Świątki 1946 w Brandenburgu nad Havelą, rozdział kończy się słowami:

„Lecz upłynęły zaledwie cztery lata, a w rocznicę zielonoświątkowego zjazdu nad Havelą odbył się 700.000-ny Zlot FDJ nad Szprewą, Zlot, który zwrócił oczy całego świata na walczącą o pokój wolną młodzież niemiecką.

Gdybym był powieściopisarzem, napisałbym powieść-rzekę, wieloplanową opowieść o czterech latach przemian niemieckiej młodzieży, i w powieści tej pokazałbym, jak pasjonujące staje się życie ludzi i społeczeństw, kiedy wtargnie w to życie idea postępu. Pokazałbym dalej, jak w życiu społecznym, ogarniętym ideą postępu, nic nie odbywa się mechanicznie, natomiast wszystko staje się od siebie współzależne, jak najdrobniejszy pozytyw czy negatyw każdego człowieka naprawdę coś waży na szali dziejów. A dalej pokazałbym, jak odsłaniała się w umysłach milionów młodych Niemców przepastna różnica między „wolnością" kapitalistyczno-imperialistycznego świata, będącą w rzeczywistości samowolą cienkiej warstwy posiadaczy, a prawdziwą wolnością człowieka, budującego nowy świat wolnej współzależności ludzi i społeczeństw.

Gdybym był powieściopisarzem..."

Następny z kolei rozdział o czterech latach przemian postanowiłem z przekory reportera-publicysty napisać w formie szkicu powieści. Oto „literacki" fragment reportażu „Młode Niemcy":

1. Tło krajobrazowo-historyczne

Meklemburgia, kraj pól, jezior i lasów, twierdza junkierstwa pruskiego, ustrój patriarchalno-feodalny. Kraj Bismarcka:

„Jeśli cały świat się zawali, powrócę do Meklemburgii, bo tam to nastąpi dopiero 50 lat później". W każdym powiecie kilkanaście zamków junkierskich, panujących nad okolicą. Rodziny książąt, grafów, baronów: von Alvensleben, von Bassewitz, von Bernsdorf, von Bluecher, von Brockdorf, von Cempe, von Dewitz, von Flotow, von Harden-

berg, von Karrdorf, von Koenigsmarck, von Le Fort, von Levetzow, von Luetzow, von Maltzahn, von Mecklemburg, von Oertzen, von Plessen, von Preussen, von Schlieffen, von der Schulenburg, von Schwerin, von Treuenfels, von Viereck, von Waldow — rodziny znane w historii Prus i Rzeszy z generacji generałów, marszałków, mężów stanu i z... ucisku wiejskiej biedoty, i z ucisku wszelkich dążeń postępowych w narodzie niemieckim, rodziny dumne z niesienia przez wieki idei „Drang nach Osten".

W kraju tym proletariat miejski był niewielki, bo niewielki był przemysł w tym najbardziej zacofanym kraju Rzeszy. Za to proletariatu wiejskiego zawsze było dosyć, jeśli nie z samej Meklemburgii, to ze „Wschodu" — „Die Pollacken", nędza chłopska z Polski, nazywana przez junkrów Meklemburgii pogardliwie Polaczyskami, w odróżnieniu od „pięknych Polek" i „szlachetnych, bohaterskich Polaków" szlacheckiego stanu, zawsze z sympatią wspominanych na dworach pruskiej szlachty od czasu wspólnego rozbioru Polski.

Nad każdą wioską Meklemburgii ciążył od wieków cień junkierskiego dworu. Zależność była totalna, a piramida ucisku miała klasyczny kształt wysokiego stożka. U góry najstarsze, najbogatsze rodziny arystokratyczne, powiązane węzłami rodzinnymi z dygnitarzami dalekiego Berlina, niżej bogate junkierstwo, powiązane węzłami rodzinnymi z dygnitarzami powiatowymi, dalej średnie ziemiaństwo, w części szlacheckie, w części wywodzące się z bogatego chłopstwa, wreszcie zamożni chłopi, a na koniec masa wiejskiej biedoty małorolnej i bezrolnej.

Tu w Meklemburgii powstały w 1918 roku pierwsze przez junkrów zorganizowane bojówki faszystowskie dla łamania strajków rolnych i stąd wyszło wtedy — jak z dumą podkreślali w latach hitlerowskich historycy junkierstwa — hasło „obrony zachodniej kultury przed bolszewizmem".

Bismarck omylił się jednak, przepowiadając Meklemburgii, że zawsze 50 lat później docierać będą do niej wydarzenia światowej miary. W niespełna 28 lat po Rewolucji Październikowej wyzwoleńcza armia tejże Rewolucji dotarła do Meklemburgii i zburzyła odwieczną piramidę wyzysku.

2. Bohaterka minionego czasu — Waltraut

Waltraut, 16-letnia córka meklemburskiego junkra, zapisywała swoje wrażenie z owej pamiętnej wiosny i lata 1945 roku:

„Nie byłam w stanie pojąć, że oto m y mamy być pokonani przez t e g o właśnie przeciwnika..."

„...ginęły prawdziwe wartości. Brak charakteru i tchórzostwo współziomków przerażały. Gdzież była dawna jedność Niemców? Trudno mi opisać, co czułam, gdy widziałam pohańbienie naszego dworu w S. i innych naszych posiadłości..."

„...Mój były nauczyciel pocieszał mnie. Potrafi on zdjąć ze mnie ten przeraźliwy ciężar winy, jaki przytroczono do słowa „Niemcy" i uwolnić mnie od ciężaru dławiącej troski o przyszłość..."

„...30 września musieliśmy, rodzice moi i ja, opuścić S. Na karcie wysiedleńczej widniały słowa: „Reforma rolna" i „Wola ludu". W ciągu piętnastu minut, na rozkaz N i e m c ó w musieliśmy opuścić nasz majątek. Przed dworem stali wioskowi ludzie i płakali. Nie umiałam już nawet płakać. Nasz stary karbowy podjechał po nas drabiniastym wozem, mimo że rozkaz brzmiał: do stacji niech idą pieszo! Rzuciłam ostatnie spojrzenie na S. Dwór stał skąpany w promieniach zachodzącego słońca."

„...Tak więc mieszkamy już od roku w Holsztynie (strefa brytyjska, przyp. mój). Nasze mieszkanie zapewnia każdemu z nas 4,5 m. kw. Jest ono ciasne i wilgotne i tylko z konieczności można tu pracować, spać i gotować..."

(Wszystkie cytaty wyjęte z wydanej w 1950 r. w Hamburgu książki pt. „Jugend unterm Schicksal", zawierającej życiorysy, pisane w roku 1946-47 przez uczniów i uczennice szkół średnich Szlezwiku-Holsztyna).

3. B o h a t e r n o w e g o c z a s u — M a n f r e d

Przyjazd Waltraut do Holsztyna spowodował powrót Manfreda do Meklemburgii. Do szpitala wojskowego w Kilonii, gdzie od sześciu miesięcy przebywał, przyszła Waltraut odwiedzić swego dalekiego kuzyna, również, jak Manfred, inwalidę wojennego. Kuzyn Waltraut był dowódcą batalionu, w którym służył nasz bohater. Hauptmann von T. pochodził, tak jak i Manfred, z Meklemburgii, z tą tylko różnicą, że pierwszy urodził się w pałacu, drugi w czworakach. Obaj mieli razem czterdzieści lat, gdy w ostatnich dniach marca na północ od Emmerich, tuż przy granicy holenderskiej „w ciężkich walkach obronnych", jak głosił komunikat OKW, stracili jednocześnie w ciągu ułamka sekundy Hauptmann von T. prawą, a starszy strzelec, Manfred, lewą rękę. W zatłoczonym szpitalu umieszczono ich razem mimo różnicy rang, wyrażającej się i w tym, że dwudziestoletni von T. mówił nadal do swojego sąsiada w szpitalnej sali per „ty", a dwudziestoletni Manfred odpowiadał służbiście „Jawohl, Herr Hauptmann!". Było to tak utartą tradycją tylu pokoleń junkierskich i chłopskich Meklemburgii, że żadnemu z równolatków, zrównanych na dobitek inwalidztwem i nędzną szpitalną bielizną, jednaką dla obu, nie wydawało się to ani dziwne, ani warte odmiany.

Manfred słuchał w milczeniu dramatycznego opowiadania Waltraut o „bolszewickich porządkach" w Meklemburgii. Waltraut była zresztą odwrócona odeń plecami, mimo że siedziała na jego łóżku, bowiem, jak się rzekło, przyszła odwiedzić swego kuzyna von T., a nie Manfreda. Jeśli zaś mówiła dużo głośniej i dobitniej, niż to potrzebne było w rozmowie dwojga ludzi odległych od siebie o kilkadziesiąt centymetrów,

to czyniła to świadomie, aby wszyscy obecni na sali słyszeć mogli prawdę o straszliwym upadku tej części ojczyzny niemieckiej, która niepojętym zrządzeniem bożym znalazła się pod okupacją R o s j a n ! To pełne emocji słuchowisko zyskiwało na patosie w miarę opowiadania dzięki coraz donioślejszym komentarzom Hauptmanna von T., utrzymanym w prostolinijnym tonie wyjaśnień dowódcy batalionu o podłych metodach walki nieprzyjaciela.

Po wyjściu Waltraut Manfred kwitował dalsze komentarze von T. służbistym „Jawohl, Herr Hauptmann", ale wieczorem nie mógł zasnąć. Gdzieś o trzeciej nad ranem powziął decyzję i natychmiast wprowadził ją w czyn. Wstał, ubrał się, na szpitalną kurtkę narzucił stary wojskowy płaszcz, po cichu wyszedł na ulicę i skierował się w stronę dworca. Biegł szybko, obawiając się nie tyle szpitalnej władzy, co rozmowy z Hauptmannem von T., gdyby został złapany. Hauptmann v. T. odgadłby w mig, że Manfred po chłopsku chciwy był ziemi, którą „dają bolszewicy".

4. R o z c z a r o w a n i e

Rozczarowanie Manfreda po przybyciu do rodzicielskich czworaków było ogromne. Wielki majątek, w którym ojciec Manfreda był fornalem, nie był rozparcelowany i nie wierzono w parcelację, jako że majątek skonfiskowany został przez Czerwoną Armię. Ludzie pracowali niechętnie, tym bardziej że „wojskowi agronomi", jak z przekąsem nazywano radzieckich zarządców majątku, nawet w odwiecznych metodach uprawy roli chcieli robić rewolucję i uczyć starych meklemburskich chłopów, jak się sieje oziminę.

Dla Manfreda, który poznał tylko zachodni front, Włochy, Francję, Belgię, Holandię, było to zarazem pierwsze bezpośrednie spotkanie z radzieckimi ludźmi. Nie podobali mu się. Tak nie wyglądają zwycięzcy. „Nic w nich nie ma pańskości!" z pogardą stwierdził Manfred. Nawet ich oficerowie wyglądają jak prości chłopi albo robotnicy. Porównanie głównego zarządcy majątku, kapitana Siergieja, z Hauptmannem von T. również wypadło na niekorzyść zauralskiego Rosjanina.

Rozczarowanie Manfreda miało jedną dodatnią stronę: — wpadł w pychę, że wszystkie rozumy pojadł i w jesienne wieczory chodził po kominkach i młótł jęzorem jak nigdy dotąd. Autorytetu Hauptmanna von T. nad sobą już nie czuł, żadnego innego autorytetu wokół siebie ani nad sobą nie widział, więc świętował pyskowaniem swoje wyzwoliny. Odniosło to ten skutek, że gromada — cóż za ciekawe typy folwarcznej służby, aż żal, że nikt ich dotąd nie opisał — zaproponowała mu uczenie dziatwy, bo stary nauczyciel uciekł razem z Jaśniepaństwem i nikogo dotąd z Powiatowej Rady Szkolnej nie przysłano. A że Manfred jest inwalidą, więc i tak łatwiej mu będzie językiem niż rękoma zarobić te parę groszy.

Tak więc 20-letni ex-parobek wielkiego junkierskiego majątku i exstarszy strzelec batalionu Hauptmanna von T. został w październiku 1945 r. nauczycielem ludowym.

5. Kapitan Siergiej

Kapitan Siergiej W. nie miał przyjemnej powierzchowności. Mimo 30 lat był już całkowicie łysy, a skóra na głowie popstrzona była szwami, które szły aż po boczny kącik prawego oka, przez co wydawało się ono mniejsze i węższe. Do tego był raczej niskiego wzrostu i gdyby nie oszpecenie głowy, niepokaźna postać kapitana nie zwracałaby w ogóle czyjejkolwiek uwagi.

W trzy dni po otwarciu roku szkolnego przez Manfreda kapitan poprosił go do siebie i niezłą już niemczyzną zapytał, jakiż to plan nauczania ułożył sobie nowy nauczyciel. Kapitan nie krytykował niczego, prosił tylko Manfreda, by uzasadnił swoje plany i tak krok za krokiem zmuszał Manfreda do coraz głębszej argumentacji, naprowadzał go na myśli, które nigdy by mu samemu nie zaświtały w głowie. Po kilku godzinach rozstali się, ale tylko do następnego wieczora.

O tych zimowych rozmowach zauralskiego trzydziestolatka z meklemburskim dwudziestolatkiem można by było piękny tom napisać w wielotomowej, wieloplanowej powieści. Ale, że to jest zadanie powieściopisarza, więc zawrzemy esencję tomu w trzech zdaniach:

W lutym 1946 r. Manfred założył Antyfaszystowski Komitet Młodzieży. Na początku kwietnia Komitet przekształcił się w grupę „Wolnej Młodzieży Niemieckiej" i w rocznicę kapitulacji Niemiec Manfred brał udział w I-ym Zjeździe delegatów FDJ w Brandenburgu nad Havelą.

Lipiec i sierpień, dwa wakacyjne miesiące, przepracował ciężko na kursie dla takich jak on nauczycieli ludowych, a od 1 września objął szkołę powszechną w sąsiednim powiecie, w wiosce położonej przy rozparcelowanym majątku kuzynki Hauptmanna von T.

6. Nauczyciel panny Waltraut

Dawny nauczyciel panny Waltraut, Wilhelm Bauer, ten, który uczył ją we dworze czytania i pisania zanim poszła do szkoły panien szlacheckich w pobliskim mieście, ten sam nauczyciel, który latem 1945 r. wiernie stał przy dworze i umiał wówczas uwolnić pannę Waltraut od ciężaru winy związanej ze słowem „Niemcy", nie opuścił wioski. Miał tu swoją gospodarkę, dzieci, a nawet już jednego wnuka, cieszył się w gromadzie autorytetem, opromienionym dwudziestoparoletnią łaską i zaufaniem dworu. Pochodził zresztą z tych stron, razem ze stryjem panny Waltraut bił się w bitwie pod Tannenbergiem w czasie tamtej wojny światowej, razem zaś z ojcem panny Waltraut założył w wiosce, kiedy został tu nauczycielem, Związek Weteranów i Deutschnationale Volkspartei. Wtedy też z inicjatywy młodego nauczyciela postawiono u wylotu drogi, prowadzącej do dworu, żołnierski pomnik. Na wysokim, czterograniastym cokole ręka dzierżąca miecz. Z dwóch żelaznych tablic, umocowanych w cokole, tablica zwrócona w stronę dworu, zawierała nazwiska poległych: — wielkimi literami na całą szerokość

tablicy ranga, imię i nazwisko stryja Waltraut, który poległ na Ukrainie w 1918 roku w walce z bolszewikami, po czym w dwurzędzie długa litania małych literek nazwisk wioskowych ludzi; druga zaś tablica, zwrócona w stronę wsi, zawierała tylko jedno zdanie i jedno nazwisko. „Die Treue ist das Mark der Ehre. — („Wierność jest szpikiem honoru") — Paul von Hindenburg."

Nauczyciel Bauer był bardzo dumny z tego pomnika, jak i z tego, że złotą myśl feldmarszałka on wynalazł i zaproponował, czemu ojciec Waltraut natychmiast przyklasnął i wyrysował plan ustawienia pomnika w ten właśnie sposób, na znak — jak dodał — „tradycyjnej wierności wsi."

Dla nauczyciela Wilhelma Bauera rok 1945 był rokiem równie niepojętym, jak dla panny Waltraut. Ale dość namacalny fakt, że sam nie poniósł żadnej straty osobistej ani w majątku, ani w zawodzie, przywrócił bardzo szybko panu nauczycielowi dawną energię.

„Jedność jest siłą, nie dajcie się rozbić" — przypominał sobie codziennie szepnięte mu na pożegnanie słowa ojca Waltraut. Wkrótce potem odzyskał dawny autorytet w wiosce i wraz z pastorem, kilkoma najbogatszymi chłopami i dawnym karbowym, tym, co to odwiózł mimo zakazu na stację swoich państwa, rządził starymi i nowymi obywatelami wioski. Obecnością tych nowych, uciekinierów i przesiedleńców zza Odry, mocno jednoczył dawną społeczność stary wyga, Wilhelm Bauer. Konflikt zaczął się już z chwilą dokwaterunku, ale wybuchnął dopiero przy nadziale ziemi. Starzy wioskowcy uradzili, że ziemię podzielą między siebie i folwarcznych ludzi i każdy podpisze u pastora zobowiązanie, że bierze ziemię tylko w dzierżawę na czas „do powrotu Starego Pana". Bo w to, by Stary Pan nie wrócił, nie wierzył nikt, a o nowej wojnie, a więc nowej zmianie, szeptano wiele. Na gromadzkiej naradzie wtajemniczonych Bauer przypomniał ludziom napis na pomniku i dodał: „Zgubiła nas zdrada, uratuje nas wierność".

Nadział ziemi robiony był przez przybyłych z powiatowego miasta jakichś zupełnie nowych ludzi, którzy zebrali najpierw wysiedleńców i robotników rolnych i dla nich wydzielili pola. Z tego, co zostało, przydali nieco ziemi tylko małorolnym z wioski, wyrównano coś niecoś średniorolnym, a tym, co mieli ponad 50 do 100 ha, nie dano nic.

Tego dnia zaczęła się wojna starej gromady z przesiedleńcami, obdzielonymi ziemią, ale nie posiadającymi przecież ani zabudowań własnych, ani sprzętu, ani tego wszystkiego, co do prowadzenia rentownej gospodarki jest potrzebne. Część małorolnych i część ludzi folwarcznych przeszła co prawda na stronę przesiedleńców, ale na ogół stara gromada trzymała się solidarnie. „Nieszczęścia zawsze przychodzą z zewnątrz, musimy być silni jednością."

7. Rewolucja w szkole

Manfred przybył na miejsce zwolnionego starego nauczyciela w momencie najbardziej zaciekłej walki, kiedy już w niektórych rodzinach

przesiedleńców myślano o związywaniu tobołków i ucieczce dalej na zachód.

Mieszkania dla nauczyciela nie było, bo stary miał swoje własne. Przydzielono więc Manfredowi miejsce we dworze, gdzie gnieździło się kilkanaście rodzin wysiedleńców. Dom był pełen trosk, żalów, nienawiści.

Również w wiosce żale i nienawiści były umiejętnie podsycane, kierowane wprawną ręką.

W szkole napotkał Manfred na mur nieufności. Dzieciaki były pouczone, jak mają się zachowywać wobec nowego nauczyciela, a poza tym były zastraszone. Widać było, że w tej szkole obowiązywała surowa dyscyplina.

Manfred przez pierwsze dwie godziny zapoznawał się z dzieciakami. Powoli tajały zastrachane duszyczki. Po następnych dwóch godzinach zdecydował się na krok, o którym myślał wielekroć od czasu, kiedy go Siergiej nauczył mówić „ty" do każdego towarzysza walki. W tym środowisku z góry wrogim, napęczniałym konfliktami, musiał sobie zdobyć bazę, to znaczy zastęp towarzyszy walki. Spojrzał na siedzące w ławkach dzieciaki, uczuł w sercu żar, płomień, który przetopi tę dziecięcą żelazną rudę w stal i przemówił:

— Przyjaciele! Od dziś jesteście w nowej szkole, jakiej nie znało żadne poprzednie niemieckie pokolenie, w szkole demokratycznej. Uczyć się tu będziecie wolności, sprawiedliwości i równości wszystkich ludzi w świecie, abyście mogli budować wolną i sprawiedliwą ojczyznę ludzi pracy. Tę szkołę demokratyczną, tak jak Republikę Demokratyczną, zbudować musimy wspólnie, wy i ja, to znaczy miliony młodych i starszych ludzi naszego narodu. Ja nie jestem tutaj z wami dlatego tylko, że jestem nauczycielem, ale przede wszystkim dlatego, że jestem waszym przyjacielem, waszym starszym bratem, który chce wam pomóc, i który potrzebuje waszej pomocy. A zatem, jako przyjaciele, w waszej szkole zniesiemy to, co dotąd dzieliło dziatwę od nauczyciela, a więc przede wszystkim pręt do wymierzania kary — tu Manfred złamał leżącą na katedrze trzcinową rózgę nauczyciela Wilhelma Bauera — a następnie zniesiemy tytuł „pan nauczyciel" i jak wśród przyjaciół mówić będziemy sobie po imieniu. Ja mam na imię Manfred...

8. Opozycja gromady

Zebranie rodzicielskie, zwołane przez pastora, było niezwykle dramatyczne. Na głowę Manfreda padały gromy świętego oburzenia za podeptanie tradycji i „bolszewicką" wolę wychowania dziatwy bez szacunku do kogokolwiek.

Manfred wysłuchał w milczeniu zarzutów, po czym wstał, powiedział pięć zdań i wyszedł.

— Wy chcecie— rzekł rodzicom — żeby dzieci miały przede mną respekt. Ja chcę, bym był dla nich autorytetem takim samym, jakim wy dla nich jesteście. Was, rodziców, dzieci szanują i kochają, i mają

do was zaufanie. Ja też chcę, by mnie się dzieci nie bały, lecz by mnie szanowały i kochały, i darzyły zaufaniem. Stwierdziłem, że do was dzieci mówią „ty", więc powiedziałem im, by i do mnie mówiły „ty"...

Pięknie zredagowane przez Bauera zażalenie rodziców, wysłane do władz powiatowych w formie rezolucji, żądającej odwołania nowego nauczyciela, zostało bez odpowiedzi. Dzieci mimo zakazu rodziców bardzo szybko nauczyły się mówić do Manfreda po imieniu, tym więcej że Manfred poza brakiem lewej ręki niczym się nie różnił od ich starszych braci czy krewnych, do których mówiły zawsze „ty". Do tego lekcje przestały być ponurym wysiłkiem siedzenia prosto w ławce i tępego wbijania w głowę niezrozumiałych rzeczy. Teraz lekcje stały się czymś, co się rozumiało, czego potrzebę się czuło. Zdolniejsi pomagali słabszym, a przyjaźń łączyła coraz silniej najmłodszą gromadę wioski z pierwszym ich prawdziwym przyjacielem.

Teraz z kolei przeszedł Manfred do tworzenia grupy FDJ spośród młodzieży pozaszkolnej. Udało mu się zwerbować kilku chłopaków i dwie dziewczyny ze środowiska przesiedleńców i ludzi folwarcznych. Z zasiedziałej młodzieży chłopskiej nie chciał nikt przystąpić do FDJ. 75-letni nestor gminy, bogaty chłop, teść Bauera, oświadczył gromadzie: „FDJ jest organizacją robotniczą, zatem byłoby poniżej chłopskiej godności, posyłać do niej nasze dzieci."

Opozycja przeciwko Manfredowi rosła. Zbliżały się pierwsze wybory w strefie radzieckiej. Do zapadłej meklemburskiej wioski dotarły ulotki i plakaty wyborcze. Plakaty SED, które rozlepiał jeden z dawnych parobków „Starego Pana", ktoś zdzierał z uporem, a na ich miejsce naklejał afisze CDU. *)

Manfred zauważył, że wraz z jego przybyciem nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni między przesiedleńcami a wioską. Rozszyfrował przyczynę szybko: wioska chciała wygrać wybory i głosami przesiedleńców zapewnić sobie w gminie władzę na następne cztery lata. Do zarządu CDU wzięto jednego z przesiedleńców, a w programie wyborczym sprawę przesiedlonych postawiono na pierwszym miejscu: „CDU uważa, że jedynie powrót do marniejących bez ludzi ziem zaodrzańskich rozwiąże problem najciężej dotkniętych przez los naszych rodaków-przesiedleńców". Ten punkt chwycił. Na SED padły 2 głosy. Reszta na CDU.

9. Zima 1946-47

Po wyborach wróciło wszystko do dawnego obyczaju. Wioskowcy zatruwali życie przesiedleńcom, a za każdą usługę, czy to wypożyczenie konia czy pługa, kazali sobie słono płacić. Zima była dość ostra i mróz z biedą dawał się mocno we znaki obdzielonym pańską ziemią. Żona Bauera na płacze kobiet z dworu wzdychała ckliwie i mówiła: „Oj, ka-

*) Chrześcijańsko-Demokratyczna Unia. — W owym czasie reakcyjna partia mieszczańska w strefie radzieckiej, kierowana przez zręcznie maskujących się agentów amerykańskich. Jej ówczesny przywódca Jakób Kaiser jest obecnie ministrem w „rządzie" Adenauera. — E. O.

ra boża to, moi biedni ludzie, za nieposzanowanie cudzej własności. Kradziona ziemia nie używi. Jedyna dla was pociecha, że Pan Bóg łaskawy ukarze wkrótce Polaków i będziecie mogli wrócić do swojego."

W długie wieczory zimowe Manfred chodził po domach i szeroko tłumaczył ludziom, co to za nowy świat buduje się teraz. Kilku małorolnych i przesiedleńców udało mu się przekonać. Ale w większości domów ludzie słuchali i milczeli albo zbywali go pytaniem, na które nie mógł dać odpowiedzi.

— Co będzie z orką na wiosnę? Gospodarze już nam zapowiedzieli, że koni nie dadzą...?

Był to nowy pomysł Bauera: „Trzeba tak ich przycisnąć — mówił — żeby raz na zawsze pojęli, że bez nas są niczym."

Ale jednego dnia, był to już początek lutego 1947 roku, Manfred znalazł odpowiedź.

— Na wiosnę przyjadą do was traktory i zaorzą w mig całą ziemię. I siewniki przyjadą. W P. powstaje MAS — stacja traktorów.

Tegoż dnia dwie dziewczyny, Anna i Helga, oraz dwóch chłopaków, Hans i Wiktor, wszyscy z FDJ, opuścili wioskę. Pojechali na kurs traktorzystów.

10. Traktorzystka Anna

Minęły niespełna dwa miesiące. Któregoś ranka wjechały do wioski cztery traktory. Na przodzie dwie dziewczyny, za niemi dwaj chłopcy. Każdy traktor przyozdobiony był tarczą niebieską ze złotym wschodzącym słońcem i literami FDJ. Wioska wyległa na ulice i stała w milczeniu. Przed szkołą traktory zatrzymały się. Manfred przemówił, a chór dzieci i FDJ-owców zaśpiewał piosenkę:

Wir sind die erste Reihe
Wir gehen kuehn voran.
Das Feuer unsrer Herzen
Kein Sturmwind loeschen kann.

Wir schaffen fuhr den Frieden:
Das ist uns hoechster Ruhm
Und unsre groete Ehre
Der Arbeit Heldentum!

Wenn auch an unsrem Wege
Noch manher spoettisch lacht —
Schon zeigen unsre Taten
Was junger Mut vollbracht.

Das schwerste wird bezwungen
Wenn nun das ganze Land
Beim Aufbau unsrer Heimat
Uns reicht die starke Hand!

Jesteśmy przednią strażą!
W nowy wkraczamy świat.
Serc naszych ognia-żaru
Nie stłumi burzy wiatr.

Tworzymy dla pokoju!
Niszczymy wojny grób.
Nam bohaterstwo znoju
Najwyższą chlubą z chlub.

I choć są jeszcze tacy,
Co z dążeń naszych kpią —
Już mówią za nas czyny
Odważnych młodych rąk.

Najgorsze pokonamy,
Odbudujemy Kraj!
Tylko nam, miły Kraju
Swą silną rękę daj!

Nadbiegli „dworscy“ ludzie, bili brawa, „wioskowi“ milcząco przyglądali się ciągnącemu teraz ku „dworskiej drodze“ pochodowi.

Ale gdy pierwszy traktor prowadzony przez Annę dotarł do żołnierskiego pomnika, rozległy się krzyki, powstała wrzawa i w sekundę zbiegła się cała wioska. Na ziemi leżał w trzech kawałkach pomnik, w pobliżu przewrócony na bok traktor. Dziewczyna, traktorzystka, czerwona ze wstydu, bliska płaczu, nawoływała, by jej pomóc podnieść traktor. Polecieli do dworu po drągi, za kilka minut traktor stał. Anna zaczęła manipulować przy starterze, motor działał. Dziewczyna odetchnęła. „Wolałabym — szepnęła do Manfreda — aby mnie się coś stało, byleby maszynę uratować. Tak mało ich mamy.“

11. „Wielkie czasy“

Mimo że nie ulegało wątpliwości, iż pomnik zburzony został nieumyślnie, wioska oskarżyła Manfreda, że to on kazał dziewczynie wjechać na pomnik. Rada Gminna postanowiła odbudować historyczną pamiątkę i do robót przystąpić natychmiast.

W odpowiedzi Manfred zwołał wiec wszystkich dworskich i wioskowych ludzi.

— Wypadek wczorajszy — mówił — zdarzył się dlatego, że pomnik stał w środku drogi i dziewczyna, z obawy przed zsunięciem się w rów, źle odmierzyła odległość. Kto twierdzi inaczej, ten kłamie. Czy sądzicie, że dziewczyna narażałaby swe życie dla zniszczenia pomnika, który można drągami zwalić? Czy sądzicie, że Anna, wasza córka przecież, narażałaby traktor, życiodajny traktor, aby zniszczyć tę kupę cegieł, cementu i żelaza? Ktoś więc tu kłamie, świadomie kłamie rzucając oskarżenie na mnie, na Annę, na FDJ. Kto? Ci sami, którzy dziś postanowili odbudować pomnik, którzy dalej chcą czcić wojnę, bo myślą o nowej wojnie. A w imię czyich interesów? Chcecie wiedzieć? To patrzcie!

Tu Manfred podniósł w górę olbrzymi portret „Starego Pana“ w mundurze cesarskiego pułkownika ze wszystkimi medalami i odznaczeniami. Obraz odnalazł w piwnicy dworu.

— A teraz popatrzcie, co tu jest wyryte na mosiężnej tabliczce pod portretem. „Zur Erinnerung an die grosse Zeit 1914—1918“ *). Dla kogo to były „wielkie czasy“? Dla tych milionów chłopów i robotników, którzy ginęli pod Verdun czy Tannenbergiem? Dla tych milionów rodzin, które głodowały wtedy straszliwie? Nie! „Wielkie czasy“ były tylko dla von Treuenfelsów, von Schlieffenów, von Vierecków, von Schwerinów, ale nie dla nas. I ojczyzna nasza nie stała się większa. Straciliśmy miliony ludzi, a Rzesza wyszła okrojona o 80.000 km. kw. Dwa lata temu skończyły się drugie „wielkie czasy“ panów von Treuenfelsów, panów von Viereck. I znów nie nasze „wielkie czasy“. Za to znów my straciliśmy miliony ludzi, straciliśmy dalsze 100.000 km. kw., a uczci-

*) „Na pamiątkę wielkich czasów 1914 — 1918“.

we imię Niemiec my, prości ludzie, musimy dziś na nowo wywalczać sobie w świecie. — Ale, jak widzicie, są i między nami ludzie, którzy nic z tego nie pojęli, bo nic sami nie stracili, bo żyli z okruchów pańskiego stołu i dziś jeszcze chcą, byśmy dalej czcili wojnę i znów gotowali się do nowej wojny. Na to nie możemy się zgodzić. Głosujmy tu natychmiast, kto jest za wzniesieniem pomnika, a kto przeciw?

Za odbudową podniósł się cały zarząd CDU i kilku bogatszych chłopów, i ex-karbowy. Stali ze wzniesionymi rękami, patrząc groźnie na swych dalszych krewniaków i powinowatych, którzy, stąpając niespokojnie, unikali wzroku potężnej dotąd wiejskiej „góry".

— Spuśćcie ręce! — zawołał Manfred — Hitlera nie wskrzesicie. A teraz wszyscy, którzy są przeciw odbudowie, niech podniosą zaciśnięte pięści.

Las pięści obwieszczał zwycięstwo. Ludzie folwarczni, małorolni i przesiedleńcy po raz pierwszy poczuli się siłą. Manfred promieniał.

— A ja protestuję! — zawołał jakiś głos. — Uchwały Rady nikt zmienić nie ma prawa!

To 75-letni teść Bauera, przewodniczący Rady Gminnej, stukał kosturem o ziemię i z wściekłością wołał „Protestuję!"

Manfred odkrzyknął mu natychmiast:

— Ty nam, starcze, nie protestuj, bo twój czas już minął. Ty do dziś jak przechodzisz przed dworem, to zdejmujesz czapkę na pamiątkę dnia, kiedyś pierwszy raz dostał od jaśnie pana po pysku za niezdjęcie kaszkietu. Ale my już należymy do innego świata i wytrącić się zeń już nie pozwolimy.

Ludzie śmieli się, bo wiedzieli, że Manfred mówi prawdę. Ileż to razy widzieli teścia Bauera, jak to czapkował nieobecnemu dziedzicowi. Nikt tylko wspomnieć o tym nie śmiał ze względu na potęgę wiejskiej „góry". Ale teraz, jak są traktory, jest ten Manfred — przecież nasz chłop — i te jego młodziki z FDJ. Ech, żyć znów warto...

12. Lato 1947

Na czas wakacji Manfred znów wyjechał na kurs nauczycielski. W ciągu roku wiele musiał przestudiować książek, które mu regularnie nadsyłały władze szkolne. Teraz na drugim kursie trzeba było wykazać swoją wiedzę i następnie przejść do dalszych studiów. Jakże daleko odszedł Manfred od chwili, kiedy, mianowany nauczycielem przez gromadę w rodzinnej wiosce, bez chwili wahania przyjął posadę sądząc, że wszystkie rozumy pojadł. Teraz po raz pierwszy poczuł lęk przed tym ogromem wiedzy, którą musi zgłębić, i przed odpowiedzialnością pedagoga. „Nauczyłeś się samokrytycyzmu" — powiedział mu kurator powiatowy — „to bardzo dobrze. Sądzę, że teraz przyszedł czas, byś wstąpił do partii". Manfred myślał już o tym wielekroć, ale nie wiadomo skąd przybłąkała mu się myśl, że nauczyciel musi być ponadpartyjny, i przeszkodziła powzięciu decyzji. Ale po tym, co przeżył w ciągu jednego roku wśród wioskowych i dworskich ludzi, nie wahał się już więcej. Oczy-

wiście przez słowo „partia" rozumiał tylko jedną partię, tę, która walczy o dobro ludzi pracy, tę, która uczy solidarności mas pracujących, a nienawiści do wyzyskiwaczy. I do tej jedynej partii wstąpił.

Z książeczką kandydata partii jechał Manfred do Schwerina, stolicy Meklemburgii, na kurs. Po drodze wstąpił do rodzinnej wioski, chciał odwiedzić rodziców i zobaczyć Siergieja. Niech teraz z nim porozmawia... Ale Siergieja nie było już w pojunkierskim majątku. Trzy dni przedtem odbyło się uroczyste pożegnanie ludzi radzieckich, połączone z przekazaniem majątku przez Radziecką Administrację Wojskową w ręce ludu niemieckiego. Majątek miał pozostać nie rozparcelowany jako domena ludowa z doświadczalnymi polami, które założył Siergiej. To są „pola Miczurina" — pokazywał Manfredowi ojciec ciągnące się za dworem doświadczalne pólka.

— To twoi chłopcy i dziewczyny z FDJ założyli te pola razem z Siergiejem — opowiadał dalej ojciec. — Aż wstyd się przyznać, ale te smyki wiedzą teraz więcej o roli niż my starzy.

Najstarszy z grupy FDJ, Klaus, prawie rówieśnik Manfreda, wrócił właśnie z półrocznego kursu instruktorów rolnych i obejmował funkcje doradcy fachowego przy gromadzie zarządzającej wspólnym majątkiem.

— To Siergiej mnie namówił — opowiadał z kolei Klaus — abym poszedł na ten kurs. Bo jak umrę, żartował, to kto tu będzie dbał o nasze miczurinowskie pólka? A on już wiedział, że to ma być nasz pierwszy majątek ludowy w powiecie. I tak mną kierował, aż mnie wykierował na rolnego instruktora! Rozumiesz, Manfred, co to znaczy z parobka i n s t r u k t o r? To tylko Siergiej takie cuda robić potrafił!

Manfred przytaknął:

— Tak, tylko Siergiej. A czy rozumiem? Rozumiem, oj, dobrze to rozumiem...

Na kursie zdał Manfred wszystkie egzaminy celująco. Na pożegnalnym wieczorze przemawiał w imieniu kursistów. Między innymi powiedział:

— Bismarck rzekł kiedyś, że wojnę prusko-francuską wygrał pruski nauczyciel ludowy. Naszą ambicją jest, aby kiedyś historycy rzec mogli, że w Niemczech walkę o pokój wygrał demokratyczny nauczyciel ludowy.

13. P r z e s i e d l e n i e c A n t o n

Znów minął rok. Odmieniał się świat i wioska, i dwór, gdzie pracował Manfred. Odmiana szła i na złe, i na dobre. Na złe kierował świat coraz głębszy podział Niemiec przez imperialistów anglo-amerykańskich. Na dobre kierował świat coraz silniejszy ruch postępu w całym świecie i w całych Niemczech. Zwołane w listopadzie 1947 i w marcu 1948 r. kongresy ludowe rozpoczęły świadomą walkę niepodległościową ludu niemieckiego. Na kongres wioska delegowała Manfreda, ale Manfred mandatu nie przyjął. Kosztowało go to wiele samozaparcia, ale chciał, by inni pojechali i nabrali sił do walki. To było słuszne. Na

pierwszy kongres wyjechał małorolny chłop z wioski, Walter, na drugi kongres przesiedleniec z dworu, Anton. Każdy z nich wracał jakby odmieniony. Baza postępu w starszym pokoleniu rozszerzała się i aktywizowała.

Manfred był też dwa razy w Berlinie, ale w innych sprawach. Chodziło o kredyty z Niemieckiej Komisji Gospodarczej na budowę domów dla przesiedleńców. Z wiosną rozpoczęła się budowa nowego osiedla wzdłuż drogi między wsią a dworem. Z pomocą przyszła partia i FDJ. Co niedziela przyjeżdżały brygady pracy do pomocy, a samochody ciężarowe zwoziły wapno, cement i cegłę. O tę ostatnią było najtrudniej. Wtedy Anton wystąpił z projektem sukcesywnej rozbiórki starego dworu zbudowanego jak zamek o ścianach na 6 a nawet 8 cegieł i sukcesywnej rozbiórki nędznych koszarowych czworaków.

14. Młodzi Pionierzy

Jesienią 1948 r. postanowił Manfred założyć w szkole organizację Młodych Pionierów. Zgłosiły się wszystkie dzieci, ale już następnego dnia pięcioro dzieciaków ze łzami w oczach oświadczyło, m. i. i wnuk Bauera, że rodzice zabronili im należeć do „Junge Pioniere".

Ale gdy na wiosnę 1949 r. odbywało się przekazanie pierwszych gotowych domów dla ludzi z dworu, Manfred ze zdumieniem zobaczył, że wśród gromady dzieci w białych koszulkach i niebieskich chustach stoi również wnuk Bauera i czworo „tamtych" dzieci.

13-letni przewodniczący Rady Przyjaźni Młodych Pionierów podszedł do Manfreda i powiedział:

— Oni należeli do nas potajemnie od samego początku. Nie mogliśmy tobie o tym powiedzieć. Czekaliśmy więc tylko na dobrą okazję, by móc naszą tajemnicę ujawnić. A dzisiaj, kiedy stoją już całe domy, zbudowane przez FDJ, nikt z rodziców nie odważy się przecież protestować...

Rzeczywiście, nikt nie protestował. Nawet Bauer milczał, choć mu to było bardzo nie w smak, ale od czasu, kiedy w CDU w Berlinie Schwerinie zaszły poważne zmiany (co więksi reakcjoniści, z Jacobem Kaiserem na czele, uciekli na zachód), to i Bauer przycichł i zważał już na każde swoje słowo.

15. List Hauptmanna von T.

Manfred nie ufał jednak Bauerowi. Stary przyczaił się tylko. Z początkiem lata Bauer wyjechał gdzieś, rzekomo do Berlina, rzekomo na leczenie potrzaskanej pod Tannenbergiem nogi. Gdy po dwóch tygodniach wrócił, rezonował znów z dawną pewnością siebie i opowiadał, że mu kuracja świetnie zrobiła. Kilka dni później Manfred otrzymał list z Niemiec zachodnich:

„Mój dobry Manfredzie! Dowiedziałem się przypadkowo, że jesteś nauczycielem w rozgrabionym majątku mojej młodej żony, którą po-

znałeś tego dnia, kiedy uciekłeś ze szpitala. Twoje postępowanie, ja nam doniesiono, wywołuje przerażenie wszystkich uczciwych Niemcó w wiosce. Mimo że relację o Tobie mamy od ludzi nieskazitelnie czy stych, znając Ciebie z najcięższych lat wojny, nie chcę wierzyć w t aby tak uczciwy żołnierz jak Ty mógł być zdrajcą własnego narod własnej ojczyzny. Gdyby jednak to było prawdą, chciałem Cieb ostrzec, że my tu prowadzimy dokładne listy wszystkich zdrajców o czyzny. My wiemy wszystko. Przed nami nic się nie ukryje. Godzin zaś sądu zbliża się nieuchronnie. Zastanów się więc, Manfredzie, cz nie masz zawrócić z drogi, na którą niebacznie wszedłeś.

von T. Hauptmann a. D.“

Podobne listy od ojca Waltraut, a obecnie teścia Hauptmanna vo T. —, otrzymali niektórzy ludzie folwarczni i małorolni z wioski.

16. Jesień 1949 r.

Na miejscu starego dworu, w pięknym parku zbudowano szerok parterowy dom przedszkola. Na miejscu ohydnych, wilgotnych czwor ków zrobiono plac sportowy. Trójbok pięknej, kaflowanej stajni, obo i chlewy zamknięto halą na traktory, kuźnię i warsztaty reperacyjn Dwurząd domów wzdłuż dworskiej drogi dociągnięto aż do chałup wi ski. Nowa społeczność zrastała się ze starą coraz silniej. Utworzen Frontu Narodowego, utworzenie Niemieckiej Republiki Demokratyc nej, Plan Dwuletni, wszystko to spajało ludzi nie wiedzieć jak i kied

Manfred nie ulegał jednak przesadnemu optymizmowi. Na zebran koła partyjnego, w dzień powstania Republiki Demokratycznej, mówi

— Co osiągnęliśmy przez te trzy lata? Silną bazę młodzieżową. Na młodsze pokolenie jest całkowicie z nami, młode w większości, średn w mniejszości, a stare w minimalnym procencie. Pod pokrywą Fron Narodowego toczy się głucha, zacięta walka klasowa. Przyjrzyjcie si jak ci starzy bogacze wiejscy wykorzystują każdy nasz wysiłek, a ja słono każą sobie płacić za każdą pomoc, za każdą usługę. Kto ich po trzymuje na duchu, wiemy dobrze z listów, które i do naszych ludzi tr fiły. Jedno jest pewne. Oni nie skapitulowali jeszcze. Słuchajcie pl tek puszczanych przez nich o nowej wojnie, którą błyskawicznie jak Hitler! — zrobić mają Amerykanie. Musimy być czujni, a w rob cie naszej jeszcze większy nacisk kłaść na walkę o pokój.

— Następny punkt, który omówić musimy — ciągnął dalej Ma fred — to sprawa oddania znów 6-ciu ludzi z naszej gromady. Piecio najlepszych dzieci poszło do gimnazjum. Do stacji traktorów w P. c daliśmy już dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Do zarządu powi towego FDJ odszedł jeden chłopak, partia zabrała nam dwie dziewcz ny na krusy, z których do nas nie wrócą, bo mają zostać powiatowy instruktorkami organizacji kobiecych, a teraz Samopomoc Chłops żąda, by im dać Helmutha, zarząd powiatowy FDJ chce mieć Guenth ra, a partia żąda czterech kandydatów do policji ludowej. Uważam,

powinniśmy zaprotestować. Cała robota nam się zawali, jak będziemy co trochę oddawać najlepszych naszych ludzi.

Dyskusja stała się burzliwa. Większość przyznawała rację Manfredowi i wynik głosowania wydawał się przesądzony, ale w ostatniej chwili głos zabrał Anton:

— Towarzysze! Na mój chłopski rozum, to Manfred nie ma racji. Nie gniewaj się, Manfred, ale zapomniał wół, jak cielęciem był. Co ty chcesz, żebyśmy my, ludzie partyjni, zamykali innym drogę do nauki, do wyjścia na szerszy świat?

Z 10 minut ostro krytykował Manfreda Anton, aż się niektórzy dziwili, skąd on tyle argumentów znaleźć potrafił.

— Widzisz, Manfred — kończył Anton — jak byłem wtedy na Kongresie w Berlinie, to mi się dopiero oczy otworzyły, jak to na tym świecie wszystko jest współzależne od siebie, nawet od tej naszej meklemburskiej wiosczyny zależy bardzo wiele, jakim będzie przyszły świat. A ty, zamiast być dumny, że i my możemy przyłożyć rękę do tej przemiany, dając ludzi tam, gdzie ich brak, każesz nam tu psalmy żałobne śpiewać. Starzejesz się czy co?

Manfred przyznał rację Antonowi. Uczciwie, rzetelnie przyznał, że mu ambicja własna podciągnięcia jak najwyżej wioski przesłoniła wielką sprawę całego ludu pracującego.

— A ciebie, Anton — rzekł na końcu ze śmiechem — poślemy zimą na kurs partyjny, żebyś nas jeszcze lepiej umiał krytykować, jak znów gadać będziemy głupstwa...

17. Posłowie

Gdybym był powieściopisarzem, rozwinąłbym ten szkic w powieść rzekę, związałbym opowieść o Manfredzie z losem nauczycielki ludowej w przemysłowej Saksonii i w wieloplanowej powieści pokazał, jak z kolei w robotniczych ośrodkach szła ta dramatyczna przemiana, o której pisać i śpiewać będą następne pokolenia.

Nie jestem niestety powieściopisarzem. Jestem politycznym reporterem, publicystą, pozbawionym zdolności wymyślania fikcyjnej powieściowej fabuły. Trzon opowiadania dał mi nauczyciel ludowy spotkany w wiosce pod Rostokiem, a losami innych napotkanych w Meklemburgii ludzi, tym, co widziałem w meklemburskich wioskach, zebranymi w reporterskim notatniku autentycznymi wypowiedziami, przybrałem opowieść mego „Manfreda". Jedyną rzeczą, którą wymyśliłem, było powiązanie losów „Waltraut" z cytowanej książki „Jugend unterm Schicksal" z losami „Manfreda".

A teraz zaczynam się zastanawiać, czy postępują naprawdę słusznie ci powieściopisarze, którzy męczą się intuicyjnym tworzeniem postaci i wymyślaniem bardzo skomplikowanej literacko fabuły, jeśli tak łatwo napotkać można prawdziwych bohaterów prawdziwych dramatów w społeczności, w której żyjemy...

Edmund Osmańczyk

ZWYCIĘSTWO

Sztuka w 3 aktach*)

AKT III

U PIETRZAKÓW

Scena 1

(Pietrzak wiesza pieluchy. Zajączkowski zmywa. Wchodzi Franek, wnosi skrzynkę wody sodowej).

JAN: Kto to będzie tyle pił?

ZAJĄCZKOWSKI: Kto? A kułaki! Zobaczysz, jak im na zebraniu będzie gorąco. Ja im się teraz za swoje odegram.

(Franek wychodzi)

JAN: Cholera z tymi pieluchami! Franek jeszcze po wsi rozniesie i wstydu mi narobi. Żeby tę Tośkę pokręciło!

ZAJĄCZKOWSKI: Wstydź się, Jasiek, tak gadać! Żeby nię Tośka, to byśmy spółdzielni nie mieli.

JAN: Jeszcze nie mamy!

ZAJĄCZKOWSKI: No, no!

(Wchodzi Franek, wnosi drugą skrzynkę)

JAN: Franek! Jak powiesz komu we wsi, że ja pieluchy piorę, to ci uszy oberwę.

FRANEK: Co mam gadać! A bo to ja baba!

ZAJĄCZKOWSKI: Tylko nie baba, cielaku! Baby są lepsze od chłopów, za pamiętaj to sobie!

JAN: Franek, jedź teraz na pole do Wojtka i zwieźcie ławki ze szkoły.

ZAJĄCZKOWSKI: A szybko obróćcie, bo Pietrzakowa kazała, żeby na siódmą było gotowe.

FRANEK: Dobra!

(wybiega)

*) Akt I i II w numerach poprzednich.

Scena 2

ZAJĄCZKOWSKI: Musieli tę szkołę akurat teraz odnawiać. Mogli z tym na spółdzielnię zaczekać!

JAN: Nie mogli! Teraz najlepsza pora, dzieciaki na wakacjach, a muszą się śpieszyć, bo na jesieni ma być gotowy dom ludowy.

ZAJĄCZKOWSKI: Spółdzielnia ważniejsza!

JAN: Marcin! Jak uważasz — dzieciaka trzeba dłuższą stroną przewijać czy krótszą? *(pokazuje pieluchę)* Może się jeszcze obudzić nim Tośka przyjdzie i co ja wtedy zrobię?

ZAJĄCZKOWSKI: A bo ja wiem? Ja się do takich babskich spraw nie brałem. Moja kobita to umie, ale ja? Cóżeś ty!

(wchodzi Halina)

Scena 3

HALINA: Tośki jeszcze nie ma?

JAN: Lata gdzieś ze Świszczem.

HALINA: I co ja mam robić? „Samopomoc" zamknięta, robią remanent, a nam brak drągów do trzech drabiniastych wozów. Barczyk uparł się i nie chce wydać. Mówi, że w poniedziałek, a brygada robotnicza chciała dziś zwózkę ukończyć, żeby na 22-go, na jutro, wszystko było zwiezione.

ZAJĄCZKOWSKI: Dembek ma tych drągów ze dwadzieścia!

HALINA: To nam musi pożyczyć!

ZAJĄCZKOWSKI: Dembek? Szkoda gadać! Nie da!

HALINA: Zobaczymy!

JAN: Halina, czekaj! Którą stroną dzieciaka przewijać?

HALINA: Dajcie, ja wam zrobię!

JAN: Na razie nie trzeba. Ja tylko tak na wszelki wypadek.

HALINA: Ale to przecież nie pielucha, tylko ręcznik!

JAN: Ręcznik? A niech cię cholera!

(Halina wybiega. Jan ciska ręcznik na ziemię)

Nie będę przewijał! Niech leje!

(wpada Zajączkowska)

Scena 4

ZAJĄCZKOWSKA: Jest Tośka?

ZAJĄCZKOWSKI: Nie ma.

ZAJĄCZKOWSKA: A to dranie!

ZAJĄCZKOWSKI: Mania, stój! Co się stało? Pali się?

ZAJĄCZKOWSKA: Ale, pali! Gorzej! Kułaki robią spółdzielnię!

ZAJĄCZKOWSKI: Mania! Jak Boga kocham! Za to cię wyrżnę!

ZAJĄCZKOWSKA: Całuj psa w nos! Ciemny jesteś i głowy nie zawracaj!

ZAJĄCZKOWSKI: Mania! Gadaj, bo do chałupy nie wpuszczę!

ZAJĄCZKOWSKA: Co ci mam gadać! Kułaki chodzą po wsi i ludzi do swojej spółdzielni namawiają. Nasza będzie lepsza — mówią — bo I-go typu.

ZAJĄCZKOWSKI: Co to I-go typu?

ZAJĄCZKOWSKA: Co z głupim gadać! Teraz nie będę cię uświadamiała. Po co się pytasz, jak ciemny jesteś!

ZAJĄCZKOWSKI: Mania, jak pragnę spółdzielni, do chałupy nie wracam.

ZAJĄCZKOWSKA: Mała bida!

(wybiega)

Scena 5

ZAJĄCZKOWSKI: Mania! Ja jej pokażę, babie jednej! Jasiek, co to może być ten I-szy typ? Jesteś przecież sołtys, musisz wiedzieć.

JAN: A jakże!

ZAJĄCZKOWSKI: No?

JAN: Ano, to jest tak...

ZAJĄCZKOWSKI: Zaraz! My który typ zakładamy?

JAN: III-ci.

ZAJĄCZKOWSKI: Który lepszy?

JAN: Który? Zaraz się namyślę.

ZAJĄCZKOWSKI: Chyba nasz.

JAN: Możliwe.

ZAJĄCZKOWSKI: Jak Tośka chce III-ci, to musi być lepszy. Ale że się kułaki do spółdzielni wzięli! Przecież dotąd wszystko robili, żeby spółdzielni nie było. Może widzą, że w tyłek dostali i teraz chcą z nami, ale ja z Wróblem nie będę.

JAN: Czekaj, Marcin! Jakżeśmy te statuty na zebraniach czytali, to coś sobie przypominam, że ten I-szy nic jest taki zły. Zaraz, w Wólce mają przecież I-szy typ.

ZAJĄCZKOWSKI: W Wólce I-szy? Niemożliwe!

JAN: Ja ci mówię, że I-szy.

ZAJĄCZKOWSKI: Ja ci mówię, że III-ci.

JAN: Marcin, nie sprzeczaj się!

ZAJĄCZKOWSKI: Niech będzie I-szy. Ja tam pójdę z Tośką! A ty idź za kułakami! Ale wtedy z nami koniec!

JAN: Ja tam ani za I-szym, ani za III-cim, tylko za spółdzielnią! Jaka będzie, to będzie! Po tym napadzie na Tośkę wiem, że musi być! Reszta mnie nie obchodzi. Byle była!

ZAJĄCZKOWSKI: Święte słowa, Jasiek!

JAN: Czekaj, Marcin! Ale baran ze mnie! Tośka ma przecież w chałupie instrukcje!

ZAJĄCZKOWSKI: Niech cię pokręci! Dawaj, Jasiek! Zobaczymy, co kułacy wymyślili!

(Jan wychodzi z pokoju. Wchodzi Tośka i Magda)

Scena 6

TOŚKA: Jak dzieciak?

ZAJĄCZKOWSKI: Śpi jak kamień!

(Tośka idzie do pokoju)

Słuchajcie, my tu z Pietrzakiem radzimy, za którą spółdzielnią głosować.

TOŚKA: Jak to za którą?

ZAJĄCZKOWSKI: Bo są dwie. I-sza i III-cia.

TOŚKA: To już i u was byli?

ZAJĄCZKOWSKI: Nikt nie był, bo bym za drzwi wyrzucił. Tylko moja stara przyleciała, że kułacy swoją spółdzielnię zakładają i ludzi do niej namawiają.

TOŚKA: Ładne będziemy mieli zebranie!

(wpada Zajączkowska)

ZAJĄCZKOWSKA: No, złapałam was! Wiecie, co się we wsi dzieje? Ludzie pogłupieli, bo Wróbel, Jarząbek, Dembek, Wilkanowski i inni bogacze zakładają spółdzielnię i mówią, że będzie lepsza od naszej. Takie o swojej spółdzielni cuda opowiadają, że niektórzy im wierzą. Wyobraźcie sobie, że Maliszewski do nich przystał!

TOŚKA: Maliszewski?

ZAJĄCZKOWSKA: Maliszewski. A był z nami od początku. Kułacy mówią, że jak już ma być spółdzielnia — to dobra, żeby wszystkim było dobrze, żeby ludzie się nie męczyli. Trzeba coś robić, bo nam przed zebraniem członków zabiorą!

(Jan wchodzi z instrukcją)

JAN: Już wiem, co to za typ!

ZAJĄCZKOWSKI: Gadaj, Jasiu!

TOŚKA: Dajcie teraz spokój! I-szy typ taki dobry jak i trzeci. Kułacy tylko tak mówią, że spółdzielnię zakładają. Oni nie chcą ani I-go, ani III-go. Lu-

dziom tylko w głowie mieszają. Zresztą spółdzielnia będzie taka, jaką za godzinę walne zebranie uchwali.

ZAJĄCZKOWSKI: Mówiłem, Jasiek! Że trzeba za Tośką! Lecę do Maliszewskiego! Jak od kułaków nie odejdzie, ręki mu nie podam.

(wychodzi)

Scena 7

JAN: *(czyta instrukcję)* I-szy też jest dobry, nie powiem.

TOŚKA: Będziemy o tym na zebraniu mówili. Niech teraz ojciec idzie na milicję w sprawie Wrony. Janiak prosił, żeby ojciec zaraz wpadł na posterunek.

JAN: Idę! Po drodze sobie dokończę.

TOŚKA: Zajączkowska! To może już teraz weźmiecie dzieciaka do Nowaków?

(Zajączkowska idzie do pokoju)

TOŚKA: *(do Magdy)* Zaczekaj chwilę.

(wchodzi Wojtek)

Scena 8

WOJTEK: Tośka, spotkałem Krawczyka.

TOŚKA: Krawczyka?

WOJTEK: No, pamiętasz, pytałaś mnie wtedy, czy nie znam jakiegoś Krawczyka z Gostynia.

TOŚKA: Tak, ale Zankowicz mówił, że tam takiego nie ma.

WOJTEK: Jest, tylko ja na śmierć zapomniałem. To nie gospodarz i nie z Gostynia, ale tam często przyjeżdża. Jest traktorzystą w bitkowskim SOM-ie. Spotkałem go na weselu Cześka Czerwińskiego, wtedy jak na Staśka napadli.

TOŚKA: Traktorzysta?

WOJTEK: Przysłali go, żeby w spółdzielni gostyńskiej orał traktorem. Bardzo się z Czerwińskim zaprzyjaźnili. Pamiętasz, Magda, to ten, co tak oberka wywijał.

MAGDA: Ten pijak?

WOJTEK: Tak, dobrali się z Cześkiem.

TOŚKA: Czekajcie. Dziś jest piątek, 21-szy. To na pewno ten Krawczyk. Wojtek, gdzie on jest?

WOJTEK: U Wilkanowskiego. Powiedział, że ma tam jakiś materiał kupić.

TOŚKA: Leć po niego. Musisz go tu zaraz sprowadzić.

WOJTEK: O co tu właściwie chodzi?

TOŚKA: Później ci opowiem. Bardzo ważna sprawa. Może nam w zebraniu pomóc. Idź, bo będzie za późno. Zmyśl coś po drodze.

WOJTEK: Dobrze.

(wychodzi)

Scena 9

TOŚKA: Zaczynam się domyślać, o co idzie. Już ja z tego Krawczyka wyciągnę prawdę. Będzie miał Wróbel spółdzielnię.

(wchodzi Zajączkowska z dzieckiem)

TOŚKA: A od Nowaka skoczcie do szkoły i przypilnujcie Franka, bo Wojtek musiał pójść gdzie indziej.

ZAJĄCZKOWSKA: Dobrze.

(wychodzi)

TOŚKA: Magda! Znajdź Zankowicza, niech tu zaraz przyjdzie. Powiedz, że bardzo ważna sprawa, że dużo od niego zależy na dzisiejszym zebraniu.

MAGDA: A kto będzie z tym Krawczykiem mówił?

TOŚKA: Ja.

MAGDA: Tylko, Tośka, uważaj!

TOŚKA: Dobrze, dobrze!

(Magda wybiega. Tośka chodzi po pokoju, co chwila przystaje przy oknie)

(wchodzi Staszek)

Scena 10

TOŚKA: Staszek! *(rzuca mu się na szyję)* Staszek! Miałeś wyjść dopiero za tydzień!

STASZEK: Doktór mnie wcześniej puścił. Nie mogłem wytrzymać. Jutro święto PKWN, dzisiaj uchwalacie spółdzielnię. Ja bym się na nowo rozchorował, jak bym miał w szpitalu zostać.

TOŚKA: Jak się czujesz?

STASZEK: Dobrze. Gdzie reszta?

TOŚKA: Zaraz przyjdą. Mamy o siódmej zebranie. Odnawiają szkołę, więc robimy u nas.

STASZEK: Przechodziłem koło Skoczniów...

TOŚKA: Magda niedługo tu będzie. Siadaj, Stachu. Zmizerniałeś. Może co zjesz? Głodny pewnie jesteś?

STASZEK: Nie, dziękuję. Tosiu, dzisiaj to już chyba uchwalicie tę spółdzielnię.

TOŚKA: Trochę się boję, bo kułacy nie dają za wygraną. Nie chcą się poddać.

STASZEK: A co z Wroną?

TOŚKA: Wronę wczoraj znaleźli w stawie. Ze dwa tygodnie nikt go nie widział. Wczoraj łowili w stawie ryby i znaleźli topielca. Mówią, że Wrona sam wleciał, bo był ostatnio pijany do nieprzytomności. Ja uważam, że go po prostu sami kułacy wykończyli, bo musiał za dużo wiedzieć.

STASZEK: Na pewno. Czy Zygmunt Dembek będzie na zebraniu?

TOŚKA: Będzie. A dlaczego się pytasz?

(wchodzi Zajączkowski)

Scena 11

ZAJĄCZKOWSKI: Staszek! *(całuje go)* No, teraz się niczego nie boję! Mogą mnie kułaki pocałować! Maliszewskiego nie złapałem. Jest u Wróbla. Wróbel kilku chłopów do swojej spółdzielni urabia.

STASZEK: Wróbel spółdzielnię robi?

TOŚKA: Robi. My zakładamy III-ci typ, a on I-szy.

STASZEK: A to cwany kułak!

ZAJĄCZKOWSKI: Święte słowa! Pietrzakowa, nafty macie dosyć?

TOŚKA: Chyba starczy.

ZAJĄCZKOWSKI: Lepiej mieć na zapas, bo o tę spółdzielnię będziemy do rana się bili. Ja tam nie ustąpię. Musi być III-ci typ, choćbym miał i dwa dni na zebraniu siedzieć. Skoczę do chałupy po naftę, żeby nam światło nie zgasło. A, Pietrzakowa... nie... dobrze... już wiem. Trzymaj się, Staszek! Już teraz nie pozwolę cię ruszyć. Wronę diabli wzięli, a kułaków dzisiaj do nich wyślemy. Pietrzakowa, pamiętajcie, dobrze lampę wymyjcie, żeby jasno świeciła. Będzie co oglądać.

(Wychodzi)

Scena 12

TOŚKA: Widzisz, co się z Zajączkowskim zrobiło? Nie ten sam chłop. Dla niego spółdzielnia to teraz jedyny cel w życiu.

STASZEK: Dosyć nacierpiał się biedy.

TOŚKA: Wszyscyśmy żyli przed wojną jak w niewoli.

STASZEK: Gdyby ojciec mógł to widzieć!

TOŚKA: Matka, Bronek...

STASZEK: Dożyliśmy, Tośka, wreszcie naszej Polski! Zobaczysz, co będzie, jak we wszystkich wsiach założą spółdzielnie. Teraz zacznie się dla chłopa prawdziwe życie.

(wchodzi Wojtek i Krawczyk)

Scena 13

WOJTEK: Staszek! *(witają się)* Toś nam niespodziankę zrobił! Tośka, to pan Krawczyk.

(Krawczyk podaje rękę Tośce, potem Staszkowi)

STASZEK: Myśmy się już chyba gdzieś spotkali?

KRAWCZYK: Nie przypominam sobie.

STASZEK: Bo to i dawno było, i zabawa. Na weselu Cześka Czerwińskiego w Gostyniu.

KRAWCZYK: A, byłem. Ale pana nie pamiętam.

TOŚKA: Brata wtedy ktoś nożem uderzył.

KRAWCZYK: Ale zdrów pan?

STASZEK: Wreszcie.

TOŚKA: Niech pan siada, panie Krawczyk.

KRAWCZYK: Nie mam czasu, bo czekają na mnie. Wyrwałem się na chwilę, żeby wziąć od sołtysa te pieniądze dla Czerwińskiego.

TOŚKA: Panie Krawczyk...

WOJTEK: To my może sobie ze Staszkiem wyjdziemy pogadać.

TOŚKA: Nie, zostańcie. Lepiej będzie. Niech pan siada. To nie dużo gadania, ale szkoda nóg.

(siadają)

Czy pan zna Wróbla?

KRAWCZYK: Ja tu oprócz Wilkanowskiego i Dembka nikogo nie znam.

STASZEK: Młody Wróbel — to przyjaciel Dembka. Byli razem na weselu.

KRAWCZYK: Możliwe. Miałem wtedy trochę w czubie.

TOŚKA: A Kudelskiego też pan nie zna?

KRAWCZYK: Kudelski? Ten z Bitkowic?

TOŚKA: Nie. Z Trzebownicy. Od nas. Młynarz.

KRAWCZYK: To go nie znam.

TOŚKA: Zdaje mi się, Wojtek, że to nie o pana chodziło.

KRAWCZYK: Chyba o mnie. Bo ja Czerwińskiego dobrze znam. Mój przyjaciel i mogę te pieniądze dla niego wziąć. W razie czego zostawię pokwitowanie. Pracuję w SOM-ie, w Bitkowicach.

(wyciąga legitymację)

TOŚKA: Kiedy tu nie chodzi o pieniądze.

KRAWCZYK: A o co?

TOŚKA: Jak to nie pan, to...

WOJTEK: Co ty, Tośka, kręcisz?

TOŚKA: Oj, nie kręcę, tylko tak mi się zdaje, że te sprawy się łączą.

WOJTEK: Niech się pan na moją żonę nie gniewa. Jej się coś przywidziało. Ja pana tylko pod pozorem pieniędzy dla Czerwińskiego wyciągnąłem, bo żona coś miała, ale tu, widać, o innego Krawczyka chodzi.

KRAWCZYK: Ja w okolicy o innym nie słyszałem, chociaż w Wólce Krawczyków jak psów. No to cóż? Pójdę. Do widzenia.

TOŚKA: Niech pan zaczeka. Widzi pan, chodzi o to. Wiem, to znaczy — podsłuchano rozmowę dwóch ludzi, że jakiegoś Krawczyka chcą dzisiaj... no... po prostu... chciałam go ostrzec.

KRAWCZYK: Przed czym?

TOŚKA: Jak to nie pan, to nie będę mówiła.

KRAWCZYK: A może to ja? Różnie bywa.

TOŚKA: Nie, to nie pan. Pan nie zna nikogo z naszej wsi.

KRAWCZYK: No, tam jeszcze z dwóch, trzech znam.

TOŚKA: Tak. Ale nie tych, o których mi chodzi.

KRAWCZYK: Myśli pani o Wróblu i Kudelskim?

TOŚKA: Nie. Ja wymieniłam tylko te najbardziej znane nazwiska. Zresztą nie ma co mówić.

KRAWCZYK: A może mi pani powiedzieć, co tam więcej podsłuchano?

TOŚKA: Nie. Bo jak już powiem, to trzeba będzie dłużej pogadać, a nie chcę pewnych spraw wyjawiać. Rozumie pan? To może obchodzić tylko właściwego Krawczyka. Sprawa jest poważna i bardzo niebezpieczna.

KRAWCZYK: Ja... Ja pani skłamałem. Nie lubię dużo z obcymi gadać. Ja Wróblów i Kudelskiego znam. Mam tam pewne z nimi interesy. Znam się na maszynach, reperowałem Wróblowi wialnię, a Kudelskiemu motor na młynie.

TOŚKA: Tak? Panie Krawczyk, pan robił dla nich pewną rzecz w Gostyniu?

KRAWCZYK: Skąd pani wie?

TOŚKA: Podsłuchano i to dokładnie. Wróbel chce pana dzisiaj zabić.

KRAWCZYK: Zabić? Mnie? Dziś?

TOŚKA: Tak.

KRAWCZYK: *(widać, że jest zaskoczony).*

TOŚKA: Za to, że pan nie chciał zgodzić się na robotę w Trzebownicy.

KRAWCZYK: Skąd pani wie?

TOŚKA: Niech się pan już nie próbuje wykręcać.

KRAWCZYK: Tak.

(patrzy na obecnych)

TOŚKA: No...

KRAWCZYK: Jak już pani wie o tym, to i tak będę siedział. Ale ich zamkną. Odpowiedzą za młyn, za maszyny, za waszą spółdzielnię, za Gostyń i za pana.

STASZEK: Za mnie?

KRAWCZYK: To Antek Wróbel podpuścił chłopów na pana! A z młynem, też ich robota. Kudelski zabrał te stare maszyny z młyna. Wróbel nie chciał, żeby we wsi był młyn. Wolał, żeby chłopi jeździli do Gostynia jego końmi i potem mu dniówkami odrabiali.

TOŚKA: A co pan miał robić dla nich w naszej wsi?

KRAWCZYK: Namawiali mnie, żebym u was to samo zrobił, co w Gostyniu.

TOŚKA: I nie chciał pan?

KRAWCZYK: Nie. Dość miałem tamtego. Bałem się, że wpadnę. Wtedy, kiedy to zrobiłem, byli w Gostyniu robotnicy. Jeden przyczepił się do mojego pługa, że go za bardzo wysunąłem. Jakoś się wykręciłem, ale on mnie tak obserwował, że nie mogłem nic zrobić i ten kawałek od drogi dobrze obrodził. Żyłem potem w ciągłym strachu, że ten robotnik może się domyśleć, że ja chciałem specjalnie jałową ziemię na wierzch wyrzucić. Bałem się, że mnie aresztują i będę wisiał. Na szczęście nic się nie domyślił. Wróbel obiecał mi za to 100 000, a dostałem tylko 50 000. Pół roku wyciągałem od niego resztę. Nie chciał mi jej wypłacić do czasu, aż nie zrobię tego samego w waszej spółdzielni. Chciał, żeby i tu ludzie gadali, że traktor ziemię niszczy i że gospodarka spółdzielcza do niczego. Ja się nie zgodziłem, ale oni mnie szantażowali i pieniędzy nie dali.

TOŚKA: No widzicie, do czego doprowadza robota dla kułaków! Pójdziecie za to do więzienia.

STASZEK: A dlaczegoście się zgodzili na sabotaż w Gostyniu?

KRAWCZYK: Bo ja wiem. Gadali, że zaraz wojna będzie, że jak Anders wróci, to będę miał u nich dobrze. Obiecali 100 000.

TOŚKA: Przecież pracujecie w SOM-ie i dobrze zarabiacie. Pewnie wódkę pijecie.

KRAWCZYK: Piję. Dużo.

TOŚKA: Macie teraz skutki.

STASZEK: Pójdziecie z nami na milicję.

KRAWCZYK: Słuchajcie, ja już nie będę. Nie gubcie mnie. Ja mam dwoje dzieci. Ja się poprawię. Wróblowi ucieknę. Wyjadę stąd. Pić nie będę, tylko żebym do więzienia nie poszedł.

STASZEK: Pan nam wielką krzywdę zrobił. Pomagał pan kułakom wyzyskiwać chłopów, mordować mnie, moją siostrę i innych. I pan żebrze od nas

litości. Nie, panie Krawczyk, tu żadnej litości nie będzie. Myśmy tyle lat na spółdzielnię czekali. Żyliśmy dotąd w nędzy i poniżeniu. Moją matkę dziedzic zamordował. Mój ojciec zginął za to, że ludziom prawdę o życiu mówił. Ponieśliśmy w czasie wojny straszne ofiary, żeby było tak, jak jest, a pan to wszystko niszczy. Niszczy pan byt tylu biedaków dla kieliszka wódki. Pan jest bandyta taki sam jak Wrona. Pan chce litości?

TOŚKA: Stachu, nie unoś się, może ci zaszkodzić.

STASZEK: W szpitalu byłem jedną nogą na tamtym świecie, bo kułakom nie dałem chłopów wyzyskiwać! Mnie pan nie żałował. Idziemy na milicję.

(Krawczyk rzuca się do ucieczki, wpada na Zankowicza)

Scena 14

ZANKOWICZ: Co się tu dzieje? A, jesteś, Staszek?

TOŚKA: To Krawczyk. Ten, o którym Czesiek opowiadał, pamiętacie?

ZANKOWICZ: Skąd wiesz, że to on?

(wchodzi Magda)

Scena 15

MAGDA: Staszek, jesteś.

ZANKOWICZ: Chodźmy do pokoju.

(Zankowicz, Krawczyk, Pietrzakowa — wychodzą)

MAGDA: Mam ci dużo do opowiedzenia. Wszystko gotowe?

STASZEK: Gotowe.

(wchodzi Pietrzak)

Scena 16

JAN: Staszek! Aleś zbidniał! Przyjechałeś w samą porę. Chciałbym z tobą pomówić.

MAGDA: Ale nie teraz. Ja go pierwsza zamówiłam.

(wpada Zajączkowski z lampą)

ZAJĄCZKOWSKI: Jest nafta. I lampę swoją przyniosłem na wszelki wypadek. O, ja im nie daruję!

(do Wojtka)

Wojtek, trzeba ławki znosić, bo już chłopy przed chałupą się zbierają.

(Wojtek, Zajączkowski — wychodzą)

MAGDA: Gdzie oni są?

STASZEK: Zatrzymali się u Glinki. No, ale chodźmy, już czas.

JAN: Na zebraniu zostaniesz?

STASZEK: Nie, ale głosuję za spółdzielnią.

JAN: Tylko za jaką?

(Magda, Staszek wychodzą — wchodzi Zajączkowski z ławką)

Scena 17

ZAJĄCZKOWSKI: Jak ten Wróbel, ścierwo, będzie chciał ze mną na jednej ławce siedzieć, to stanę pod ścianą.

(Wojtek wnosi ławkę, wchodzi Tośka)

TOŚKA: Wojtek.

(Przyzywa go ruchem głowy, Wojtek idzie do pokoju)

(do ojca) Niech już wchodzą.

JAN: *(wychyla się przez okno)* Możecie wchodzić!

(wchodzi Wróbel i chłop I-szy, Wróbel wita się z Pietrzakiem)

Scena 18

WRÓBEL: Jak tam, Pietrzak, w polu?

JAN: Ano dobrze. Jak ci robotnicy przyjechali, to robota poleciała jak z bata. Mieli na jutro zwózkę skończyć, że to niby 22-go, wielkie święto, ale drągów do wozów zabrakło i trzeba będzie dopiero w poniedziałek zwieźć resztę.

WRÓBEL: Widzicie, jak wasza Samopomoc pomaga? Zamknięta. Trzeba było przyjść do mnie, to bym drągi dał. Jeszcze nikt od Wróbla z niczym nie odszedł.

JAN: Halina Nowakówna była u Dembka, ale powiedział, że nie ma, a ona widziała, że leżały pod stodołą. On się uparł i nie dał.

(wchodzi Wypych)

Scena 19

WRÓBEL: O... witamy! Jak tam, Wypych, po podróży? W porządku, co?

ZAJĄCZKOWSKI: Jasiek, chodź, przeniesiemy tę wodę do kąta.

(Jan idzie mu pomagać)

WRÓBEL: Wypych, słuchajcie, wszystko się zmieniło. Wróciliście dzisiaj po południu, a wieczorem już zebranie. Kto mógł przewidzieć, że oni tak prędko zbiorą tylu członków. Robiliśmy wszystko, żeby do waszego przyjazdu wstrzymać zapisy, ale nie daliśmy rady. W ciągu tego tygodnia liczba członków podwoiła się. Teraz założenie spółdzielni zależy od was, od tego, co powiecie na zebraniu.

WYPYCH: Ale ja mam dopiero jutro opowiadać co i jak.

WRÓBEL: Ja już to załatwię, że będziecie mówili dzisiaj. Moja głowa. Pamiętajcie, Wypych, spokojnie, bez entuzjazmu i musicie dodać, że wam się wydaje, że u nas będzie trudniej jak tam, bo tam Rosja, a tu Polska. Chłopi zrozumieją, że wy to tylko tak politycznie mówicie, a co innego myślicie. Był u mnie dzisiaj jeden z naszych i kazał wam to powtórzyć. Od tego, jak wystąpicie na zebraniu, zależy wasze życie, zgoda?

WYPYCH: Zgoda.

WRÓBEL: Z Pietrzakową skończymy. Drugi raz nie ucieknie. Słyszeliście o tym, co się stało. Więc pamiętajcie. A... Jeszcze jedno. Ja wam tę łąkę taniej policzę. Będziemy sąsiadami. Jeden drugiemu musi pomagać. Jak przyjdą nasze czasy, wtedy się rozliczymy.

(Wchodzi Maliszewski i Wilkanowski)

Scena 20

WILKANOWSKI: A, jest nasz podróżnik. Piękna ta Ukraina, co, panie Wypych?

ZAJĄCZKOWSKI: Nasza Trzebownica będzie taka sama.

WILKANOWSKI: Na pewno, panie Zajączkowski, na pewno!

WRÓBEL: No, panie Maliszewski. Niech pan pamięta, teraz urazy na bok. Musimy wpierw mieć spółdzielnię, a potem możemy się kłócić. Ja swoje błędy zrozumiałem. Obróbki za siewnik panu daruję. Tak jak mówiliśmy. Teraz ważna jest tylko spółdzielnia. Zależy mi na niej tak jak wam. Ale chcę, żeby było jak najlepiej. No, zgoda?

MALISZEWSKI: Jeszcze niezupełnie...

WRÓBEL: Już się wam przysiągłem. Zresztą sami się przekonacie. Wiem, że was trochę skrzywdziłem. Wybaczcie mi. Ja chcę zmazać swoje winy i doprowadzić do spółdzielni pierwszego typu. No, pamiętajcie. Macie pierwsi zacząć.

(wchodzi Skoczeń i chłop IV, witają się z Janem)

JAN: Trochę u nas ciasno, ale się jakoś pomieścimy.

(Skoczeń przechodzi koło Wróbla)

WRÓBEL: Panie Skoczeń! Nie ma się co gniewać. Teraz wszyscy będziemy w jednej spółdzielni. Wieś musi w zgodzie żyć!

SKOCZEŃ: Ja, panie Wróbel, z wami nigdy w zgodzie nie będę.

(Wilkanowski pije wodę)

ZAJĄCZKOWSKI: Zostaw pan sobie tę wodę na później, przyda się.

WILKANOWSKI: *(podchodzi do Wróbla)*. Słyszałeś pan, jak mi przygadał?

WRÓBEL: E... Jest się czym przejmować. Pamiętajcie, Wilkanowski! Ja będę zawsze najpierw gadał, a wy dopiero po mnie. I ostrożnie, tak jak mówiliśmy. Teraz jest albo, albo.

WILKANOWSKI: *(woła na głos)* Panowie, panowie! Po zebraniu zapraszam wszystkich do mnie! Oblejemy spółdzielnię! Ja stawiam!

ZAJĄCZKOWSKI: My za I-szy typ nie będziemy pili.

WILKANOWSKI: Będziemy, będziemy. Wypijemy za naszą kochaną spółdzielnię! Za naszą polską wieś, za Trzebownicę!

ZAJĄCZKOWSKI: *(do Jana)*. Jasiek, jak ty podniesiesz rękę za I-szym typem, to amen z nami, żebyś wiedział!

(wchodzi Antek Wróbel i Zygmunt Dembek)

Scena 21

DEMBEK: *(do Wróbla)* Staszek wrócił!

WRÓBEL: Nic nam już nie zrobi!

DEMBEK: Ale trzeba na niego uważać. To podejrzane, że go tu nie ma.

WRÓBEL: Nie bój się!

(wchodzi Jarząbek)

Scena 22

JARZĄBEK: *(do Wróbla)* No, to możemy być spokojni. Zgody nie będzie, bo Pietrzakowa i Świszcz na pewno nie ustąpią. A jak Wypych?

WRÓBEL: W porządku. Jestem o zebranie spokojny.

(Z pokoju wychodzi Pietrzakowa i Zankowicz, przychodzi Świszcz, rozmawiają w trójkę na boku)

TOŚKA: To zaczniemy!

ZAJĄCZKOWSKI: No, siadajcie, chłopy!

(Zajączkowskiemu wypada miejsce obok Wróbla. Staje pod ścianą)

Scena 23

PIETRZAKOWA: W imieniu grupy założycieli spółdzielni produkcyjnej naszej wsi, otwieram walne zebranie członków i kandydatów. Porządek dzienny:

1) wybór przewodniczącego,
2) zagajenie sekretarza gromadzkiej organizacji PZPR — tow. Świszcza,
3) uchwalenie statutu i nazwy spółdzielni,
4) wolne wnioski.

Czy ma kto coś w sprawie porządku? Nikt? Porządek dzienny przyjęto. Przystępujemy do 1-go punktu: wybór przewodniczącego. Proszę zgłaszać kandydatów.

WILKANOWSKI: Pan Wróbel!

WRÓBEL: Ja myślę, że na przewodniczącego powinniśmy wybrać kogoś, kto dla spółdzielni najwięcej zrobił i do kogo wszyscy mają zaufanie. Proponuję Pietrzakową!

(wszyscy biją brawa).

ZAJĄCZKOWSKI: Niech żyje Pietrzakowa!

TOŚKA: Dziękuję. Jako przewodnicząca proszę tow. Świszcza o zabranie głosu.

ŚWISZCZ: Obywatele i towarzysze! Mamy na tym zebraniu zdecydować ostatecznie, czy w naszej wsi będzie spółdzielnia, czy nie. Wszyscy wiemy, co ona dla nas oznacza i dlatego myślę, że dojdziemy do porozumienia. Niezgoda— to nasza klęska i zwycięstwo wroga. Ja myślę, żeście wszyscy widzieli i zrozumieli, do czego doprowadza wspólna praca. Wystarczyło, że dostaliśmy z ośrodka maszynowego dwa traktory, że przyjechała do nas brygada robotnicza, a żniwa i zwózkę ukończyliśmy dwa razy szybciej niż dotąd. W spółdzielni wszystko będzie zorganizowane jeszcze lepiej. Spółdzielnia otworzy przed naszą wsią wielką przyszłość. W Planie 6-letnim przewidujemy budowę 15-tu nowych budynków gospodarczych, elektryfikację wsi, zwiększenie stanu bydła, zaprowadzenie plantacji roślin przemysłowych, założenie dwustu uli. Będziemy dążyli do pełnego zmechanizowania naszej pracy. Wybudujemy przedszkola i żłobki.

ZAJĄCZKOWSKI: Słyszycie. chłopy! Niech żyje spółdzielnia!

ŚWISZCZ: Na razie ogólnie. Państwo przyrzekło nam pomoc. Skończy się nasza bieda i niedola. Wszystko jest w naszych rękach i nie możemy dopuścić do tego, żeby nasza wieś została w tyle za innymi i była nadal tak zacofana jak teraz. O tym, jaką drogę wybierzemy, naprzód czy do tyłu, zdecyduje dzisiejsze zebranie. Sami sobie wybierzemy swój los, nędzę czy dobrobyt. Albo nadal będziemy na łasce bogaczy i zgodzimy się na wyzysk, albo zaczniemy nowe życie bez strachu o przednówek, o kawałek chleba. Chyba nikt z nas nie chce dalej takiego życia, jakie mieliśmy przed wojną.

(Zajączkowski zaczyna bić brawo)

Tak się składa, że jutro jest szósta rocznica PKWN, rocznica powstania Polski Ludowej, naszej Polski, Polski chłopów i robotników. Dobrze by było, żebyśmy mogli jutro pokazać chłopom z innych wsi, że nie jesteśmy gorsi od nich.

(wszyscy biją brawa)

TOŚKA: Przechodzimy teraz do trzeciego punktu. Uchwalenie statutu i nazwy spółdzielni. Zgłoszonych kandydatów do spółdzielni jest dziewiętnastu. Czy

ktoś ze zgłoszonych wycofuje się? Nikt? To znaczy, że wszyscy zebrani chcą, żeby w naszej wsi powstała spółdzielnia.

(Wróbel podnosi rękę)

TOŚKA: Proszę.

WRÓBEL: Spółdzielnia musi być i nie ma co gadać, bo to dla dobra wsi. Cały miesiąc na nią czekamy i nie możemy się teraz cofać. Ale ja uważam, że dobrze by było, gdyby Wypych powiedział nam coś o kołchozach. To nam ułatwi omawianie statutu. I lepiej wszystko zrozumiemy. Ja wiem, że Wypych ma o tym dopiero jutro mówić, ale sprawa jest tak ważna, że można by to przełożyć na dzisiaj.

TOŚKA: Dlaczegoście nic podali tego do porządku dziennego?

WRÓBEL: Ja się tam na formalnościach nie znam. Jak nie można — to nie. Chciałem tylko dla dobra nas wszystkich.

WILKANOWSKI: Pan Wróbel ma rację. Jutro będzie dla całej wsi, a teraz powinno być dla nas.

MALISZEWSKI: Wypycha dobrze znamy. Jego słowo dużo znaczy.

CHŁOP I: Po mojemu — to Wróbel dobrze mówi. Tyleśmy czekali na Wypycha, nikt z nim jeszcze nie gadał, bo dopiero przyjechał, ciężko będzie wytrzymać.

TOŚKA: Tego w porządku nie ma. Będziemy omawiali sprawę spółdzielni i każdy może się wypowiedzieć. Jeśli Wypych zabierze głos i coś nam o kołchozie powie, to go chętnie posłuchamy. Ale osobnego sprawozdania nie będziemy robili, bo to nam zbyt dużo czasu zajmie, a mamy tu jeszcze wiele spraw do załatwienia.

ZAJĄCZKOWSKI: Nafty nie zabraknie.

WYPYCH: Jeśli Wróbel i inni chcą, to im mogę krótko opowiedzieć. Pozwolicie, Pietrzakowa?

TOŚKA: Dobrze. Ale tylko o rzeczach najważniejszych.

ZAJĄCZKOWSKI: Józek, pamiętaj!

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin!

TOŚKA: Mówcie, Wypych!

WYPYCH: Otóż kołchozy, to nie propaganda, a prawda!

ZAJĄCZKOWSKI: Józek!

WYPYCH: Mnie się nawet nie śniło, że chłopi mogą tak żyć, że mogą być takie wsie i taka gospodarka. Żyto i pszenica tam u nich na dwa metry. Człowieka nie widać. Ja się nie mogłem napatrzeć. A przecie sam gospodarować umiem i nie łatwo mnie oszukać. To, co widziałem, tego się nie da opowiedzieć. A powiem wam, że jechałem nieufny i źle do kołchozów nastawiony.

WILKANOWSKI: A dużo ich widzieliście, panie Wypych?

WYPYCH: Dużo. Wy mnie, panie Wilkanowski, nie mówcie bajek, że oni mają tam tylko parę kołchozów pokazowych. Bo to jest tak: w tym miesiącu obok naszej delegacji z Polski, a było nas ze trzysta osób, przyjechały jeszcze inne wycieczki zagraniczne, ze trzy albo cztery. Wszystkich podzielili na małe grupki i każdą taką grupkę wysłali do innego kołchozu. Każdej grupce pokazali z dziesięć kołchozów. Tak wziąć na oko, tych pokazowych było chyba ze dwieście.

WILKANOWSKI: A reszty nie widzieliście?

WYPYCH: Jak mogłem widzieć? Czy wy rozum macie? Musiałbym cały rok w Rosji siedzieć i tylko po kołchozach jeździć, żeby wszystkie zobaczyć i pana Wilkanowskiego przekonać.

ZAJĄCZKOWSKI: Daj mu, Józek!

WYPYCH: To, co się u nas o kołchozach mówiło, to kłamstwo! Jak tym chłopom na Ukrainie o tym powiedziałem, to się tylko dobrze uśmieli. Wszędzie mnie puścili, wszędzie łaziłem, wszędzie zaglądałem, żeby wszystko na własne oczy zobaczyć i wszystkiego dotknąć. Ci, co ze mną na wycieczce byli, też się do kołchozów przekonali, chociaż i im gadali, że to tylko propaganda. A wam, na swój chłopski rozum powiem tak: jak u nas będzie taka pokazowa spółdzielnia, to złapiemy Pana Boga za nogi. To, co teraz u nas jest, to tylko wstyd dla wsi. Sam spółdzielni nie chciałem, ale teraz tego, który przeciwko spółdzielni będzie gadał, nie chcę znać, bo to wróg.

ZAJĄCZKOWSKI: Józek, niech cię nie znam! Przebaczam ci!

WILKANOWSKI: Pan Wypych mówi, że tam jest dwieście kołchozów...

WRÓBEL: Ja proszę o głos! To, co nam powiedział Wypych, musi być prawda, bo Wypycha znamy i wierzymy, że by nas nie oszukał.

ZAJĄCZKOWSKI: Brawo, Wypych!

TOŚKA: Proszę o spokój!

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin, cielaku!

WRÓBEL: Ale nam to niewiele pomoże. Jutro go o wszystko dokładnie wypytamy. Jak tam ziemię obrabiają, jaka hodowla, w ogóle jaka gospodarka, bo może nie wszystko da się u nas zaprowadzić. Tam jest Rosja, Ukraina, a tu Polska, Trzebownica. Musimy zająć się swoimi sprawami.

WILKANOWSKI: Musimy, panie Wróbel!

TOŚKA: Przejdziemy teraz do omówienia statutu spółdzielni produkcyjnej III-go typu.

WRÓBEL: Maliszewski prosi o głos.

MALISZEWSKI: *(podnosi rękę)* Ja uważam, że III-ci typ nie jest dobry. Dla naszej wsi będzie lepiej, jak wybierzemy I-szy typ.

ZAJĄCZKOWSKI: Nie zgadzam się. To będzie kułacka spółdzielnia!

ZAJĄCZKOWSKA: Dobrze, Marcin!

TOŚKA: Spokój! Teraz Maliszewski mówi. Mówcie dalej.

MALISZEWSKI: Skończyłem.

TOŚKA: Zaraz. Chcecie, żebyśmy mieli spółdzielnię I-go typu. Zapiszcie to, Skoczeń, jako wniosek. Ponieważ mamy tu grupę założycieli spółdzielni III-go typu, do której i wy należycie, a o innym statucie nie było dotąd mowy, to musicie nam powiedzieć, dlaczego wolicie I-szy typ.

JAN: Właśnie!

WILKANOWSKI: Ja to może lepiej wytłumaczę.

TOŚKA: Wniosek postawił Maliszewski i on go musi uzasadnić.

MALISZEWSKI: Niech kto inny za mnie mówi. Może Wróbel.

TOŚKA: Wróbel swoje na pewno powie. Wyście zaczęli mówić o I-szym typie, to dokończcie.

ZAJĄCZKOWSKI: Gadaj, jakżeś taki mądry!

MALISZEWSKI: Ja tam uczony nie jestem.

ZAJĄCZKOWSKA: Cielak jesteś!

MALISZEWSKI: To wam powiem. III-ci typ jest gorszy, bo trzeba długo czekać, nim co z tego będzie. Człowiek nigdzie ruszyć się nie może. Cały dzień w robocie. Dochód mały, a do dzielenia dużo.

ZAJĄCZKOWSKI: Ja proszę o głos!

TOŚKA: Skończyliście?

MALISZEWSKI: Tak.

TOŚKA: *(do Zajączkowskiego)* Mówcie!

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin! Nie wygłup się.

ZAJĄCZKOWSKI: Mania, nie przerywaj. Maliszewski teraz tak gada, bo go kułacy nakręcili. Pewnie mu Wróbel odróbki darował. Mnie też chciał ziemniaki i kaszę przebaczyć, żebym tylko ludzi przeciwko spółdzielni buntował. Wróbel groził mi sądem, ale ja się ich nie zląkłem i tyłek im pokazałem. A Maliszewski albo honoru nie ma, albo tyłka! Tak, to się Wróblowi wygrażał, od kułaków im wymyślał, a teraz sam kułakiem został!

MALISZEWSKI: Tylko nie kułak!

TOŚKA: Spokój!

WRÓBEL: Proszę o głos.

WILKANOWSKI: Pan Wróbel chce mówić. Cicho!

TOŚKA: Mówcie!

WRÓBEL: Maliszewski chce dobrze dla wsi. Ja go popieram. Zajączkowskiemu nie odpowiem, bo się z byle kim nie będę zadawał.

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin, słyszysz?

WRÓBEL: Wszyscy wiedzą, że Zajączkowski we wsi pierwszy plotkarz.

ZAJĄCZKOWSKI: A ty pierwszy kułak.

ZAJĄCZKOWSKA: Dobrze.

TOŚKA: Spokój.

WRÓBEL: W I-szym typie chłop jest wolny, nie potrzebuje od rana do nocy harować, może sobie łąkę i inwentarz zostawić, nikt go do roboty nie nagania, byle swoją włożoną ziemię obrobił. Razem będziemy robić tę pracę na tym polu, na jakie się sami zgodzimy. A poza tym lepiej zacząć od początku. Jak zobaczymy, że jest dobrze, to za dwa lata przejdziemy na drugi typ, a potem na trzeci. Nie zaczynajmy od końca. Najważniejsze, żeby była spółdzielnia taka, w której wszystkim będzie dobrze.

SKOCZEŃ: Ja Wróblowi nie wierzę, że chce spółdzielni. On tylko tak gada, a w duchu się modli, żebyśmy nie doszli do zgody, bo nie będzie miał kogo wyzyskiwać.

WILKANOWSKI: Panie Wróbel, to obelga!

ZAJĄCZKOWSKA: Dobrze, Skoczeń!

TOŚKA: Spokój!

WRÓBEL: Skoczeń ma do mnie złość, dlatego tak na mnie nalatuje. Wszyscy wiedzą, że nikogo nie wyzyskuję, a całej wsi pomagam.

SKOCZEŃ: Za odróbki!

WRÓBEL: Nie ma się co kłócić, tu idzie o spółdzielnię!

CHŁOP I: Cicho, Skoczeń!

TOŚKA: Wróbel słusznie mówi, że I-szy typ jest dobry. Ma rację. Tu się nie ma co licytować, który typ jest lepszy: I-szy czy III-ci. Tu chodzi o co innego. Wszyscy wiemy, że III-ci typ jest najbardziej rozwiniętym typem spółdzielni. Tu o wynagrodzeniu decyduje nie wkład ziemi czy inwentarza, ale praca. Każdy za swoją pracę otrzymuje odpowiednią zapłatę, bez względu na to, czy ma ziemię, czy nie. Byle pracował jak należy. Ja nie mówię, że mamy mieć w Polsce od razu tylko spółdzielnie III-go typu. Wybór zależy od nas, od tego, jak jesteśmy uświadomieni, jaką gospodarkę uważamy za najlepszą dla siebie, jak zdecyduje większość. My I-go typu nie chcemy teraz dlatego, że ci, którzy głosują z bogaczami, uważali wczoraj na zebraniu, że dla nas najlepszy będzie III-ci typ. Czytaliśmy razem statut i wszystko się dokładnie omawiało, nikt nie miał zastrzeżeń, wszyscy jednogłośnie powiedzieli, że chcą mieć tylko III-ci typ. Ale dziś was kułacy zbałamucili. Znowu was ogłupili. Udają, że chcą założyć spółdzielnię po to tylko, żeby rozbić naszą zgodę. To jeszcze jeden podstęp. A wyście im uwierzyli. Ja uważam, że jak wczoraj wszyscy opowiedzieli się za III-cim typem i odrzucili I i II, to nie możemy teraz pozwolić, żeby nam bogacze psuli całą robotę, żeby utrącali to, czego chce większość. Kułacy robią wszystko, żeby w naszej wsi nie powstała spółdzielnia.

ZAJĄCZKOWSKI: Święte słowa!

WILKANOWSKI: Nam też o Trzebownicę chodzi. Prawda, panie Wróbel?

SKOCZEŃ: Żeby było z kogo zdzierać!

ZAJĄCZKOWSKA: I kradzioną sól po podwójnej cenie sprzedawać.

WRÓBEL: Ja proponuję, żeby zacząć głosowanie. Wy uważacie, że III-ci typ jest lepszy, my że I-szy. Będzie ten, który wybierze większość.

ZAJĄCZKOWSKI: Ja za III-cim.

WILKANOWSKI: Ja za I-szym.

ZAJĄCZKOWSKI: Józek, ty za III-cim!

TOŚKA: Spokój! Dobrze. Zrobimy głosowanie. Będziemy głosowali przez podniesienie ręki. Kto za trzecim typem?

ZAJĄCZKOWSKI: Józek, ręce do góry!

TOŚKA: Proszę podnieść ręce.

(ręce podnoszą: Świszcz, Tośka, Jan, Wypych, Zajączkowski, Zajączkowska, Skoczeń, chłop III i chłop IV)

Razem z Wojtkiem 10. Kto za I-szym typem?

(ręce podnoszą: Wróbel, Antek Wróbel, Dembek, Wilkanowski, Jarząbek, chłop I, chłop II, chłop V, chłop VI, ostatni podnosi Maliszewski)

TOŚKA: 10 głosów. Więc: za I-szym typem głosuje 10-ciu kandydatów i za III-cim 10-ciu, to znaczy, że spółdzielni nie będzie, bo jedni nie zgodzą się na III-ci typ, a drudzy na I-szy.

(cisza)

No, widzicie, Maliszewski, do czegoście doprowadzili. Spółdzielni w naszej wsi nie będzie. A o to chodziło naszym wrogom. Zrobili wszystko, żeby zgody nie było! Wiedzieli, że my nie ustąpimy z III-go typu i wszystko się rozbije. Pamiętacie, jakeście do mnie przyszli po radę? Teraz jesteście za swoimi wrogami, przeciwko nam. Dobrze. Niech was dalej wyzyskują. Żyjcie w biedzie i strachu o kawałek chleba. Jak wolicie zależeć od bogaczy, zamiast być wolnym i spokojnym o przednówek, to trzymajcie z nimi!

ZAJĄCZKOWSKI: Świnia!

ZAJĄCZKOWSKA: Cielak!

MALISZEWSKI: Pietrzakowa, ja nie myślałem, że to tak się stanie, że może przez to nie być spółdzielni. Słuchajcie, ja się powieszę, jak spółdzielni nie będzie! Moja wina! Moja wina! Dałem się kułakom ogłupić. Dobrze mi tak! Ludzie, przebaczcie mi! Ja inaczej chciałem, lepiej! Ja głosuję za III-cim typem. Michał! Stasiek! Musicie głosować za III-cim typem, bo tylko na swoją zgubę idziemy. Jeszcze raz głosujemy. Jeszcze raz, Pietrzakowa! Jak przegramy, to tego nie przeżyję!

(cisza)

ZAJĄCZKOWSKA: Głosujmy!

ZAJĄCZKOWSKI, JAN i WYPYCH: Głosujmy!

TOŚKA: Dobrze, będziemy głosowali jeszcze raz!

WRÓBEL: Już głosowanie było!

WILKANOWSKI: To sprzeczne ze statutem.

TOŚKA: Nie, nie sprzeczne. Głosujmy. Proszę, kto za trzecim typem?

(liczy głosy)

12 głosów. Z taką małą ilością ziemi i członków nie poprowadzimy spółdzielni jak należy i tylko całą sprawę popsujemy.

I-szy typ też nie powstanie, bo ma bez nas za mało członków do zgłoszonej ilości ziemi. Sami jej nie obrobią, a pracy najemnej nie może być w żadnym typie. My się do nich nie przyłączymy. Wiemy, kto to jest Wróbel czy Jarząbek. Poczekamy ze spółdzielnią, aż zmądrzejecie.

MALISZEWSKI: Stasiek, ratuj mnie. Stasiek, wszystko dla ciebie zrobię. Stasiek, słyszysz? Rany Boskie, co ja narobiłem!

TOŚKA: Jak Walczak i Urbański znów do nas przystąpią, tak jak wczoraj to mówili, to będziemy mieli pewność, że się nasza spółdzielnia rozwinie. Bez nich nie damy rady.

MALISZEWSKI: Chłopy, co wy robicie?! Zmiłujcie się! Bogdan, przecież wczoraj byliśmy razem! Nie wierz Wróblowi! Pamiętasz, jak z ciebie za te pożyczone pieniądze procenty zdzierał? Ledwo się wyciągnąłeś. Czy wy sumienia nie macie?

TOŚKA: Wobec tego spółdzielni nie będzie.

MALISZEWSKI: Moja wina, moja wina.

WYPYCH: Bogacze was okłamują. Oni specjalnie doprowadzili do tego, żeby spółdzielni nie było. Pietrzakowa prawdę mówi. Im nie zależy ani na pierwszym, ani na trzecim typie.

WILKANOWSKI: Będziesz jutro gadać!

TOŚKA: Mówcie, Wypych!

WYPYCH: Ja chciałem się zapytać Pietrzaka, jak naprawdę było. Dlaczego nie pojechał na Ukrainę?

WRÓBEL: To nic nie ma do spółdzielni. Musimy kończyć zebranie!

WYPYCH: Niech się wam, Wróbel, tak nie śpieszy. To, co chcę powiedzieć, bardzo wiele wyjaśni!

ZAJĄCZKOWSKI: Mów, Jasiek!

JAN: Wstydzę się, ale powiem, bo widzę, jak jest. Ja się po prostu bałem jechać, bo mnie Wilkanowski nastraszył, że mi nikt we wsi ręki nie poda, że

przeze mnie kołchoz założą, ludzie mnie przeklną, a może i gorzej ze mną będzie.

WILKANOWSKI: Ja? Ja tak mówiłem? To kłamstwo! Panie Wróbel, powiedz im pan, że to nieprawda!

WYPYCH: A mnie Wróbel, jak miałem jechać, zawołał do siebie i powiedział, że Pietrzakowi zabronili rewolwerem jechać na Ukrainę i że mnie zabiją, jak ich nie będę słuchał.

WRÓBEL: Łże!

WYPYCH: Kazał mi po powrocie opowiadać ludziom w cztery oczy, że tam jest źle i żeby do spółdzielni nie wstępowali.

ZAJĄCZKOWSKI: A, bandyta!

WYPYCH: Pojechałem na Ukrainę, zobaczyłem kołchozy, rozmawiałem z Rosjanami, potem dużo gadałem z naszymi chłopami i zrozumiałem, o co Wróblowi i Wilkanowskiemu chodziło. Wracałem do domu i nie wiedziałem, co mam robić. Bałem się, że mnie zabiją, a nie mogłem przecież ludziom kłamać, bo by mnie Pan Bóg ciężko skarał i nie mógłbym w domu żonie i dzieciom spojrzeć w oczy. W dodatku myśmy sobie w delegacji z innymi chłopami przyrzekli, że wrócimy do domu, powiemy prawdę i przez to przyśpieszymy założenie spółdzielni. Przyjechałem i poleciałem do księdza. Powiedziałem mu wszystko jak na spowiedzi. Ksiądz mi kazał prawdę mówić.

ZAJĄCZKOWSKA: A to dranie!

WILKANOWSKI: Wypych kłamie! Ja życie dla spółdzielni oddam!

ZAJĄCZKOWSKI: Oddasz, oddasz, łobuzie!

TOŚKA: Spokój!

WRÓBEL: Wypych tak mówi, bo mu łąki nie chciałem sprzedać. Od bogaczy mi wymyśla, a sam chciałby nim zostać.

WYPYCH: Teraz nie chcę!

WRÓBEL: Bo wam łąki nie dam.

WYPYCH: Słuchajcie, ja mogę w kościele przed krzyżem przysiąc, że prawdę mówiłem.

WILKANOWSKI: Kuligowa i Fijałkowska też się na wszystko zaklinały, że cud u nas był.

ZAJĄCZKOWSKA: Sameś go zrobił. Genowefo!

ZAJĄCZKOWSKI: Dobra, Mania!

TOŚKA: Spokój!

WRÓBEL: Wypychowi nikt nie uwierzy, bo mnie wszyscy znają i wiedzą, że sam za spółdzielnią chodziłem.

WILKANOWSKI: Pan Wróbel chodził. Ja sam widziałem.

WRÓBEL: Wypych na to, że ja go nastraszyłem, świadków nie ma.

WYPYCH: Mam! Wilkanowskiego!

WILKANOWSKI: Ja? Ja nic nie słyszałem. A nawet jeśli słyszałem, to sam nic nie mówiłem, a w ogóle... Ja wszystko robię dla dobra wsi.

JAN: Wy lepiej, Wilkanowski, siedźcie cicho, bo się wam Wrona przyśni.

WILKANOWSKI: Co? Jaka Wrona?

JAN: Ta, co ją wczoraj w stawie wyłowili.

WILKANOWSKI: Nie rozumiem.

WRÓBEL: Teraz mamy zebranie w sprawie spółdzielni, potem będziecie się kłócić. Głosujemy jeszcze raz i albo zakładamy I-szy typ, albo idziemy do domu.

JAN: Nie śpieszcie się tak!

ZAJĄCZKOWSKI: Jasiek, gadaj o Wronie!

WILKANOWSKI: Protestuję!

GŁOSY: Niech mówi! Mów!

TOŚKA: Jak zaczęliście, to dokończcie.

JAN: Tydzień temu był napad na Tośkę. To Wrona chciał ją do studni wrzucić!

ZAJĄCZKOWSKI: Wrona?

JAN: Tak! Za to, że Tośka za spółdzielnią chodziła i ludzi do niej namawiała. Wrona wcale sam do stawu nie wpadł, jak mówi Wilkanowski. bo on go sam tam wepchnął!

(Wilkanowski zrywa się, Wróbel go łapie za rękę)

WRÓBEL: Siedź!

JAN: Widział to Józek Wróblów, bo wieczorami siatki na ryby na stawie zakłada. Bał się komu o tym powiedzieć. Dopiero jak Wronę wyłowili. przyleciał na milicję.

(cisza)

WRÓBEL: To, co Pietrzak mówi, to są jakieś bajki. Józek jest przecież pomylony i nie można słuchać tego, co baje. Zresztą wszystko się wyjaśni na milicji. To Wilkanowskiego sprawa, a nie nasza: nam idzie o spółdzielnię. Co nas obchodzi Wilkanowski? On tu obcy, obejdzie się spółdzielnia bez niego.

WILKANOWSKI: Panie Wróbel!

(Dembek sadza go na ławie)

WRÓBEL: Wypych mówi, że ja spółdzielni nie chcę i tylko tak gadam, żeby chłopów pokłócić i do zgody nie dopuścić. Tak. Początkowo nie chciałem, ale się zastanowiłem i zrozumiałem, co to dla nas spółdzielnia. Ja wam pokażę, że prawdę mówię. Głosuję za III-cim typem i myślę, że wszyscy, którzy wpierw głosowali za I-szym typem, pójdą za mną, bo wieś nasza musi mieć spółdzielnię, a nie będzie jej bez zgody. Kto za spółdzielnią III-go typu?

TOŚKA: Spokój, Wróbel! Ja jestem przewodniczącą, a nie wy!

ZAJĄCZKOWSKI: Ja razem z Wróblem nie będę!

TOŚKA: Walczak, Urbański! Wyście też podnieśli rękę. To znaczy, że jesteście za nami. Proszę, jeszcze raz głosujemy. Kto za III-cim typem?

(wszyscy podnoszą ręce)

Więc wszyscy opowiedzieli się za spółdzielnią trzeciego typu.

ZAJĄCZKOWSKI: Hurra! Jasiek! Józiek! Niech żyje spółdzielnia!

TOŚKA: Spokój! Teraz możemy założyć spółdzielnię, ale Wróbla, Wilkanowskiego, Dembka i Jarząbka nie przyjmiemy.

WRÓBEL: Dlaczego?

TOŚKA: Bo według statutu do spółdzielni kułaków przyjmować nie możemy. Na tym zebraniu wszyscy was poznali. O to nam chodziło.

WRÓBEL: Jakto, nie przyjmiecie nas do spółdzielni? Przecież my wam dobrowolnie oddajemy swoją ziemię i inwentarz.

TOŚKA: Wyście się na spółdzielnię zgodzili dlatego, żeście się zlękli sprawy Wrony. Od początku robiliście wszystko, żeby zgody nie było, żeby do spółdzielni nie dopuścić, aleście przewidywali swoją klęskę i na wszelki wypadek przygotowaliście sobie już odwet. Planowaliście zrobić w naszej spółdzielni taki sam sabotaż jak w Gostyniu.

WRÓBEL: O czym, Pietrzakowa, mówicie?

TOŚKA: Zaraz wam wyjaśnię. Znacie Krawczyka?

WRÓBEL: Krawczyka?

TOŚKA: Przypomnijcie sobie, traktorzysta z bitkowskiego SOM-u.

WRÓBEL: Nie znam takiego.

(z pokoju wychodzi Wojtek z Krawczykiem)

KRAWCZYK: Nie poznajecie mnie, panie Wróbel?

WRÓBEL: Wy tu?

KRAWCZYK: Tak, panie Wróbel! Jeszcze żyję! I wcale się na tamten świat nie śpieszę!

TOŚKA: Opowiedzcie to wszystkim.

KRAWCZYK: Wróbel chciał mnie za to zabić, że mu odmówiłem zrobienia w waszej spółdzielni sabotażu traktorem, jak w Gostyniu. Tam wsunąłem za głęboko pług i wywaliłem ziemię jałową na wierzch. Dlatego takie marne żyto. Wróbel i inni puszczali potem, że to traktory ziemię niszczą i spółdzielcza gospodarka do niczego. To samo chciał i tu zrobić.

ZAJĄCZKOWSKI: A bandyta!

ZAJĄCZKOWSKA: Do więzienia z nim!

SKOCZEŃ: Kułak!

MALISZEWSKI: Precz z nimi!

JAN: Wynocha!

(gwar i zamieszanie. Wróbel wstaje z wściekłością, reszta kułaków za nim)

ZAJĄCZKOWSKI: Tfu!

ZAJĄCZKOWSKA: Bodaj w was piorun trzasł!

MALISZEWSKI: Żebyście do chałupy nie doszli!

(słychać dwa strzały, wszyscy się zrywają)

ZANKOWICZ: Spokojnie! Nie wychodzić z domu!

ZAJĄCZKOWSKA: Jezus, Maria!

(wchodzi Staszek i Magda)

STASZEK: Już po wszystkim! Dembka chciała milicja aresztować, ale on wyjął rewolwer i zaczął się ostrzeliwać. Uciekał, ale go trafili. Dembek był dowódcą bandy, która grasowała w sąsiednim powiecie. To on się nazywał „Orzeł".

(poruszenie)

Trudno go było złapać, bo był bardzo ostrożny. Wreszcie nasi wykryli, że Dembek chowa broń u starego Mazurka.

Znaleźliśmy tam cały magazyn amunicji, automat, pistolety, karabiny, granaty i listę działaczy naszego powiatu.

(poruszenie)

U Kudelskiego w młynie był punkt porozumiewawczy bandy Dembka. Pod pozorem przewożenia zboża do młyna dostarczano Dembkowi meldunków i rozkazów. Dlatego tak kułacy zabiegali o to, żeby młyn dostał Kudelski, a nie Osiński. Poza tym znaleziono u Kudelskiego składy mąki przeznaczonej dla bandy Dembka. Mąkę tę kradł Kudelski, bo was oszukiwał na wadze i przemiałach.

ZAJĄCZKOWSKA: Jezus, Maria! Co się u nas działo!

MALISZEWSKI: A ja chciałem z nimi spółdzielnię zrobić!

WYPYCH: Dzięki Bogu, że księdza posłuchałem!

ZAJĄCZKOWSKI: Ja się na nich pierwszy poznałem!

(wchodzi Czesiek Kamiński)

CZESIEK: Tam czekają na pana Krawczyka.

(Krawczyk wychodzi)

ZANKOWICZ: Towarzysze. Teraz poznaliście waszych dobroczyńców. To wyzyskiwacze i bandyci. Specjalnie pozwoliliśmy im zostać na zebraniu, żeby ich zdemaskować na waszych oczach. Słyszeliście, co robili, żeby nie dopuścić do założenia spółdzielni. A wyście, Maliszewski, głosowali za nimi; zapomnieliście, jak wam Mazurek za rower do Gostynia kazał cały dzień buraki obrabiać. A wam, Urbański, Wróbel nie pozwolił wypożyczyć siewnika z SOM-u za tanie pieniądze i musieliście jego siewnik wziąć i dwa razy tyle zapłacić. Zlękliście się Wróbla,

bo wam groził, że się na was odegra. Było tak? Widzicie. A zawsze waszego przyjaciela udawał.

ZAJĄCZKOWSKA: To ciemnota, te chłopy.

ZANKOWICZ: Kułacy chcieli zamordować Pietrzakową, bo mówiła wam prawdę, bo otwierała wam oczy na ich draństwa, ale Pietrzakowa się nie ulękła i dzięki temu mamy spółdzielnię.

ZAJĄCZKOWSKI: Niech żyje Pietrzakowa!

ZANKOWICZ: Wygraliśmy dopiero pierwszą bitwę. Chociaż wróg nie będzie teraz uzbrojony w nóż czy rewolwer, to walka będzie nie mniej zacięta i niebezpieczna. Jednych wrogów poznaliście dzisiaj, ale musimy strzec się i tych, co się maskują, a trudno nam będzie rozpoznać wroga. Kułacy nie poddali się i będą nam szkodzić dalej z ukrycia. Zostali jeszcze tacy jak Staniszewski i Michalak, którzy będą udawać waszych przyjaciół, żeby się wcisnąć do spółdzielni na różne stanowiska i rozbijać nam pracę. Tak kułacy zrobili w Jackowicach. Musimy być czujni i ostrożni. Nie myślcie, że jak Wróbel został aresztowany, to walka skończona. Teraz, towarzysze, musicie się zabrać do organizowania waszej spółdzielni. Każdy dzień jest drogi. To, o czym mówił towarzysz Świszcz na początku, te wasze plany na przyszłość, muszą być bezwzględnie wykonane. Tylko w ten sposób zabezpieczymy swoją przyszłość. Tylko naszą pracą możemy znieść wyzysk i przemoc. Towarzysz Bierut powiedział, że nasza codzienna, żmudna praca — to walka klasowa z wyzyskiem i zdziczeniem, to walka o lepszy świat, o nowe, wolne życie prostego człowieka. Taka walka toczy się teraz na całym świecie i wy, tu, w Trzebownicy, na terenie waszej spółdzielni, waszej wsi, będziecie mieli swój odcinek frontu. I każdy z was musi walczyć na swoim posterunku i czuć się odpowiedzialnym. Nie tylko Pietrzakowa, ale i wy, Zajączkowski, wy, Wypych, wy, Maliszewski. Wszyscy musicie zakasać rękawy i zabrać się do roboty. Zobaczycie, Wypych, że będziecie mieli taką wieś, jaką oglądaliście tam, na Ukrainie. Nauczycie się tak samo gospodarować jak oni. Wszystko zależy od was. Wrócę do Rzeszowa i powiem robotnikom, tym, którzy pomagali wam przy żniwach w sprzęcie zboża, że nie są sami, że wy im pomożecie w wykonaniu naszego Planu 6-letniego, który ma nam wszystkim dać dobrobyt. Oni na was bardzo liczą. Będą dumni, że pokonaliście kułaków i przystąpiliście do zakładania spółdzielni produkcyjnej. Oni dadzą wam traktory i maszyny, przyjdą do was z pomocą i radą, a wy przez planową gospodarkę w waszej spółdzielni ułatwicie im pracę i walkę o lepsze jutro. Razem wybudujemy taką Polskę, w której wszyscy ludzie pracy będą wolni, równi i bogaci. Jako delegat Komitetu Wojewódzkiego PZPR i w imieniu naszych rzeszowskich robotników, życzę wam, aby wasza spółdzielnia spełniła wasze i nasze marzenia.

(wszyscy biją brawa)

ZAJĄCZKOWSKI: Ja chciałem powiedzieć panu Zankowiczowi, że my tych wszystkich robotników pokochaliśmy jak swoich. To przecież też chłopi, tylko że mieszkają w mieście. Niech im pan powie, żeby przyjechali do nas pomagać nam w spółdzielni, a jak będzie trzeba, to my się ze wsi zbierzemy i pojedziemy do nich do fabryki pomagać im piłować.

JAN: Brawo, Marcin!

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin, niech cię nie znam!

TOŚKA: A teraz, jak już mamy naszą spółdzielnię, to musimy wybrać dla niej nazwę. Kto co proponuje?

ZAJĄCZKOWSKI: Ja uważam, że powinniśmy ją nazwać od Pietrzakowej.

TOŚKA: Nie. Tu chodzi o co innego. Ta spółdzielnia, to było nasze wielkie, wspólne zwycięstwo nad kułakami. I musimy to w nazwie upamiętnić.

ZANKOWICZ: Właśnie, wasza spółdzielnia powstała w ogniu zaciętej walki klasowej, i proponuję nazwać ją „Zwycięstwo".

(brawa)

ZAJĄCZKOWSKI: Niech żyje „Zwycięstwo"! Jasiek, Józek! Dajcie pyska!

ZAJĄCZKOWSKA: Pietrzakowa, bo się pobeczę....

MALISZEWSKI: Jezus, Maria! I pomyśleć, że przeze mnie mogło by nie być „Zwycięstwa". Marcin, nie gniewaj się!

ZAJĄCZKOWSKI: Niech ci będzie! Co robić, jak ciemny jesteś!

ZAJĄCZKOWSKA: Lecę do księdza!

(wszyscy wstają)

ZAJĄCZKOWSKI: Zaraz, czekajcie! Ja jeszcze nie skończyłem! Pietrzakowa! Stójcie chłopy!

TOŚKA: Cóż się stało?

ZAJĄCZKOWSKI: Ja mam wniosek.

TOŚKA: Jaki?

ZAJĄCZKOWSKI: Tylko się ze mnie nie śmiejcie!

TOŚKA: No?

ZAJĄCZKOWSKI: Ale w razie czego — to będzie wasza wina, Pietrzakowa, bo wyście mnie to wszystko opowiadali.

TOŚKA: Mówcie!

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin, jak teraz co głupiego powiesz na sam koniec, to będziesz dziś sam kozę doił!

ZAJĄCZKOWSKI: Ale! Już mówię, tylko powietrza nabiorę!

ZAJĄCZKOWSKA: Marcin! Gadaj! O kogo idzie?

ZAJĄCZKOWSKI: O Bieruta!

ZAJĄCZKOWSKA: Jezus, Maria! Hyzia dostał!

JAN: Marcin, coś ty powiedział?

MALISZEWSKI: To przecież prezydent.

ZAJĄCZKOWSKI: A tak, powiedziałem. Ja wiem, że on prezydent, ale myśmy go wybrali, a Pietrzakowa mówi, że on taki sam robotnik jak ci, co do nas z Rzeszowa przyjechali i że jego nasza wieś obchodzi. Ja uważam, że jak mu o naszej spółdzielni napiszemy, to się bardzo ucieszy, bo sam przecież przed wojną zakładał spółdzielnie. A jak wy nie chcecie, to ja mu od siebie napiszę, zobaczycie, że mi jeszcze odpowie i będziecie chcieli, żebym wam ten list pokazał, a ja go sobie w ramki oprawię, powieszę nad łóżkiem i nikogo do chałupy nie wpuszczę.

ZAJĄCZKOWSKA: Co on gada? Do reszty mi chłop zwariował! Do prezydenta chce krzyżykami pisać.

ZAJĄCZKOWSKI: Cicho, głupia babo! Ciemna jesteś, brak ci uświadomienia!

ZANKOWICZ: Macie, Zajączkowski, rację. Wasz wniosek jest bardzo dobry. Prezydent Bierut na pewno się ucieszy z waszej spółdzielni, z waszego zwycięstwa nad kułakami, z tego, że rozpoczynacie wreszcie nowe życie. Jutro na zebraniu ułożymy sobie wszystko, co mu chcecie powiedzieć i wyślemy list do Warszawy.

(wszyscy biją brawa)

ZAJĄCZKOWSKI: Słuchajcie, chłopy! Nasza spółdzielnia musi być najlepsza w Polsce. Jak będziemy pierwsi, wtedy nas prezydent Bierut poprosi do Warszawy i będzie z nami rozmawiał o naszym „Zwycięstwie". Żebym jutra nie doczekał, jak któremu popuszczę. Słyszycie? Musimy mieć najlepszą spółdzielnię!

JAN: Brawo, Marcin! Musimy!

(brawa)

ZAJĄCZKOWSKI: *(kłania się)* Widzisz, Mania, ja już jestem uświadomiony obywatel. Tylko się jeszcze pisać nauczę.

Kurtyna

KONIEC

Janusz Warmiński

BARBARA RAFAŁOWSKA

PROZA PAWLENKI

Miejscem toczącej się akcji w powieści Pawlenki pt. „Szczęście" jest Jałta. Jałta w kilka miesięcy przed, po i w czasie konferencji. To miejsce i czas stało się punktem węzłowym powieści, rozstrzygnęło w pewnym sensie o jej zawartości i kompozycji. Sprawy wojny i zaplecza stają się zagadnieniami na przemian pierwszoplanowymi, przeplatają się ze sobą w życiu bohaterów, wyciskają swe piętno na ich stosunku do teraźniejszości i ich marzeniach o jutrze. Ale nie tylko to. Wybór tego właśnie momentu historycznego zobowiązał pisarza do skonfrontowania dwóch światów — świata kapitalizmu i socjalizmu, zarówno w postaciach przywódców jak i szeregowych obywateli, pozwolił w tym właśnie momencie historycznym dojrzeć i wykryć to, czego potwierdzeniem stała się przyszłość.

Kiedy bohater powieści, inwalida wojenny, pułkownik Woropajew, „który jak wrak zatopionego okrętu wyrzucony na brzeg morza", znalazł się na zburzonej przystani, widzi przed sobą „nieme molo, kilka niemieckich bunkrów, sterczących na miejscu gwarnych pałacyków i przy brzegu resztki barki desantowej". W wędrówce przez „wymarłe miasto", przechodzi obok „martwych domów stojących milcząco po bokach" i kieruje się do komitetu partii, który również uderza swą ciszą, kopcącymi kagankami na stołach, pustymi, odrapanymi pokojami.

Te dwa obrazy: inwalidy-miasta i inwalidy-człowieka są punktem wyjścia akcji powieści, która wychodząc z momentu groźnej, narzucającej się czytelnikowi martwoty, staje się coraz bardziej dynamiczna: jest walką człowieka o siebie, o przezwyciężenie inwalidztwa zarówno fizycznego jak i duchowego, jest walką o miasto i otaczające je kołchozy, walką o starcie z oblicza ziemi — faszyzmu, walką o jutro świata (Jałta).

Te wszystkie momenty znajdują swe odzwierciedlenie w dziejach pułkownika Woropajewa, w jego przełamywaniu w sobie i otoczeniu dążności do odpoczynku, spokojnego życia inwalidy na zapleczu, emeryta pięknej, bogatej przeszłości. Kontemplacja nie może stać się jego udziałem, bo zaznał rozkoszy walki z faszyzmem i problem „szczęścia", które jest leitmotiwem powieści Pawlenki, problem, który staje również przed innymi bohaterami, nie da się zamknąć w czterech ścianach zacisznego pokoju ani w odrestaurowanym pięknym domu na dumnej skale nad morzem. „Orle gniazdo" urzekające pięknem nie potrafi zamknąć w swych ścianach tego „który nigdy nie będzie tak szczęśliwy jak wtedy, kiedy bił się w szeregach armii walczącej o jutro świata" — właśnie w szeregach, czując więź z każdym i ze wszystkimi. Żywiołem żołnierzy komunizmu jest walka, walka nawet na zapleczu, nawet wte-

dy, kiedy milknie szczęk broni. Jest to walka o socjalizm, o nowe normy współżycia, o podstawy moralności jednostki, walka o nowego człowieka. Dlatego postać człowieka w walce stała się czołową postacią literatury radzieckiej, a postawa bojowa charakteryzuje tych wszystkich, których udziałem jest przeobrażanie oblicza świata. I dlatego pułkownik Woropajew, który tak łatwo mógłby się znaleźć na marginesie życia — w momencie kiedy udało mu się poruszyć ludzi, poprowadzić do walki o urodzaj na ziemi przesiąkniętej krwią bojowników takich jak kubańscy kozacy, Opanas, partyzantka Ksenia — doznał po raz pierwszy od powrotu z frontu tego podniecenia i radości, które czynią człowieka szczęśliwym. I tak, jak kiedyś „znajdował swoje szczęście w tym stałym wznoszeniu się i wyrastaniu, tak teraz postanowił zejść z powrotem w dół, ku źródłom życia i sił ludzkich". A chociaż stworzone przez niego szturmowe oddziały kołchozowe wywołują sprzeciw jako metoda — są usprawiedliwione jako pierwszy krok, który zespolił w jedną całość, zorganizował rozproszone pragnienia ludzi, którzy tak jak Woropajew szukają szczęścia, pozostawiwszy na Kubaniu domy w ruinach i stratowane zboże. I tak jak dla niego pragnienie znalezienia własnego kąta łączy się ściśle z budowaniem nowego życia na nowej ziemi, tak wzruszający moment przydzielania przesiedleńcom kubańskim nowych domów staje się dla nich momentem nowego startu walki o szczęście. Dom, rodzina, na nowo zdobyta przystań życia, to jedna jego strona; druga — to zwarty szereg ludzi, którzy nocą przy świetle pochodni zaczynają swą walkę o kołchoz — o przyszłość. „Księżyc wyłonił się spośród oblegających go chmur i oświetlił wzgórze pokryte winnymi krzewami. Grupy szturmowe zagłębiły w ziemię łopaty i motyki". Szczęście staje się udziałem Woropajewa i staje się udziałem tych wszystkich, którzy nie zaznali snu i tak jak on rozpoczynali nowe życie. W postawie ofensywnej, w twórczym, świadomym wykuwaniu przyszłości widzi Pawlenko szczęście jednostki i szczęście zespołu, a harmonia ich poczynań rodzi siłę, która potrafi przeciwstawić się wojnie i zwyciężyć wojnę. Wszyscy bohaterowie Pawlenki nie chcą i nie potrafią „wylegiwać się w życiu",„dojrzewają wskutek samej bliskości wielkich wydarzeń", jak Rybalczenko, który przyjechał szukać cichej przystani a stał się przewodniczącym kołchozu, jak Lena Zurina, Ania Stupina, Natalia Padniebiesko i wielu innych. Ludziom Pawlenki pochłoniętym pracą, odczuwającym rozkosz i piękno budowania, obce jest uczucie zbyteczności, bo wiedzą, że są potrzebni innym, jak inni są im potrzebni. Zarówno w czasie spokojnego budownictwa jak i w czasie wojny stanowią l u d jeden i niepodzielny. T a l u d o w o ś ć, n i e p o d z i e l n o ś ć a r m i i wykarczowującej faszyzm i budującej komunizm jest szczególnie podkreślana w książce Pawlenki, a słowa Woropajewa: „Zwyciężyliśmy. My i wy. Zwyciężyliśmy dlatego, że walczyli wszyscy, mali i wielcy. Było w nas jedno pragnienie, pomnożone przez dwieście milionów serc" — są wykładnikiem przeżyć, które stały się nie tylko jego udziałem i nie tylko po odniesionym zwycięstwie. Dzieje Opanasa, mo-

ment wyruszenia stanicy kubańskiej na front, podkreśla ten właśnie charakter ludowy wojny, w której ludy stopiły się w jeden lud. „Siadali na koń siwobrodzi dziadowie, młodzieńcy, dziewczęta, ludzie w rogowych okularach i półbucikach; oddział ruszył przy wtórze pieśni i okrzyków stanicy. Za wygonem ogłuszyły ich powitalne uderzenia młotów o kowadła. Dziesięciu kowali, uzbrojonych w wielkie i małe młoty wybijało skomplikowany rytm, kowalski hymn pożegnalny dla odjeżdżających." Ich pieśnią powitalną jest również huk młotów wykuwających nową przyszłość kołchozów, i znowu spośród tych, którzy wrócili z frontu, nie brak nikogo. Lud walczył i lud buduje, inicjatywa Woropajewa udziesięciokrotnia się i ustokrotnia, jak udziesięciokrotnia się i ustokrotnia wola budowania każdego człowieka z szeregu. Wychodząc od jednostki, malując obraz losów jednostkowych — Pawlenko potrafił oddać patos ludowego czynu w całym jego emocjonalnym napięciu i sile, potrafił uwypuklić to, co można by nazwać krwiobiegiem całego radzieckiego życia: nieustanne zawęźlanie się inicjatywy jednostki, inicjatywy dołów z zaleceniami i dyrektywami partii. Ruch czerkasowski wymieniony przez Pawlenkę, tak jak wszystkie inne „ruchy" jest tego wyrazem. To podejmowanie każdej twórczej inicjatywy jest podłożem wiary Woropajewów w siebie, w świat, który chcą i potrafią budować, tak jak podłożem degradacji moralnej „panów w cywilu" (Pristley) jest świadomość swej bezużyteczności, zbędności, świadomość, że nie ma odpowiedzi na dręczące pytanie: „I cóż dalej?" jak i nie ma odpowiedzi na marzenie o lepszym, doskonalszym świecie. I jeżeli konferencja jałtańska stała się w książce Pawlenki momentem węzłowym, to właśnie dlatego, że pozwala ona pokazać autorowi różnicę dwóch systemów: kapitalizmu i socjalizmu. Konferencja ta, przedzgonne hitleryzmu, miała być obroną człowieka, miała położyć kres faszyzmowi. Tak ujmuje Pawlenko koncepcję jej narodzin. Stanąwszy na tym gruncie, pokazuje proces rozwoju, wykrywa sprzeczności anglo-amerykańskie, wyciąga wnioski na razie jeszcze niezupełnie odkrytych kart. Bohaterowie powieści te karty odkrywają. Wynika z nich, że pobity faszyzm hitlerowski zostawił swego następcę, że „faszyzm amerykański będzie najgorętszym obrońcą kapitalizmu w jego najstraszliwszej postaci". Książka Pawlenki wdziera się w życie, rozsupłowuje zagadnienie jeszcze trwające, a abstrakcyjne pojęcia różnic ustrojowych konkretyzują się, nabierają ciała i krwi w postaciach bohaterów. Z obrazu tych postaci (Woropajew — Harris, Harris — Szirokogorow) z ich charakterystyki wynika zasadnicza różnica: cyniczny sceptycyzm zabłąkanego w sprzecznościach, których rozwikłać nie potrafi — pirata i handlarza — przedstawiciela ginącej klasy i ginącego ustroju i poczucie celowości życia człowieka socjalizmu, powiązanego każdą swą myślą i każdym czynem z całością, kontrolującego siebie właśnie przez tę całość. Jeżeli wprowadza Pawlenko jako bohatera postać Stalina — to właśnie dlatego, że Stalin jest żywym uosobieniem tego najgłębszego powiązania wszystkiego ze wszystkim, że losy kołchozów pod Jałtą

ujmuje jako równie ważne jak przebieg konferencji, że ludzie, Woropajewowie, są równie ważni jak konferencja, która ma zadecydować o obliczu świata, że rozmowa z ogrodnikiem na temat przełamywania starych nawyków hodowli roślin jest równie ważna jak rozmowy, które mają dotyczyć spraw międzynarodowych; że nie ma ogniwa w życiu radzieckim, które znaleźć się może poza zasięgiem widzenia partii, a więc nie ma sytuacji, w której człowiek nie byłby ośrodkiem jej zainteresowania. Obraz Stalina „najbardziej ludzkiego z ludzi" jest w książce Pawlenki uosobieniem socjalistycznego humanizmu — „najbardziej harmonijnego zespolenia cech charakteru bolszewika i człowieka". Dlatego, jak mówi Sejfulina, „tam gdzie postać Stalina nie ukazuje się bezpośrednio, świadectwem jego obecności jest bolszewicki hart ideowy, natchniona praca, miłość do Stalina i niezachwiana wiara w niego pozytywnych bohaterów powieści". Szczęściem pozytywnych bohaterów jest dorastanie do tego wzoru. Szczęściem jest świadomość, że „lud jest niewyczerpanym źródłem siły, siły, która zdolna jest przetworzyć to, co możliwe w to, co konieczne, która zdolna jest marzenia wcielić w rzeczywistość, tworzyć nowe formy dla nowej kultury" (Gorki). Szczęściem jest świadomość, że w „przedniej straży ludzkości stanął człowiek radziecki", że od niego wyjdzie zwycięstwo nad „godziną barbarzyńców dnia dzisiejszego. Godziną Ameryki. Godziną gwałtu, rozpasania, trwonienia sił, geszefciarstwa, bluffu, obżarstwa. Godziną głupoty, chamstwa, zamętu". (Aimé Césaire — Rozprawa z kolonializmem).

Obraz dwóch światów skonkretyzowany, pokazany przez ludzi, przez dynamikę, nieustanny rozwój charakteru człowieka w ustroju socjalistycznym, skostnienie i cynizm charakteru przedstawicieli burżuazji znajduje swe odzwierciedlenie również w obrazach wiedeńskich. Kompozycyjnie — pierwszoplanowe postaci bohaterów cz. I-ej książki ustępują miejsca drugoplanowym, w szczególności Goriewa staje na miejscu Woropajewa. I tak jak tam na kontraście stanęły charaktery Woropajew — Harris, tak tutaj na kontraście stanęły charaktery: Goriewoi i przedstawicieli wielkiej burżuazji oraz mieszczuchów wiedeńskich. Cyniczny sceptycyzm czy sceptyczny cynizm Harrisa nabrał nowej treści, ucieleśnił się w postaciach „handlarzy truciznę złudzeń, dalekich od życia, pragnących łatwych sukcesów i wielkich radości" i prawdziwych handlarzy specyfików reklamowanych w czasie wielkiej wędrówki wojennej ludów — poszukiwaczy złota i kupców, fabrykantów matactw, zyskownego handlu, małych, broniących swego sklepiku ludzi. Przeciwieństwa dwóch światów zresztą nie są uproszczone. Pawlenko buduje postaci swych bohaterów pozytywnych podkreślając ich słabość, słabostki, momenty wahań i nawet załamań. Tylko, że chwile zniechęcenia do siebie, pragnienie zamknięcia się w sobie, czasami fałszywie pojęta ambicja, czasami pewna doza aktorstwa, nieprzekonywające i zbędne zestawianie swego stanu duchowego z życiem ptaków i roślin podkreślają jeszcze mocniej to, co można by nazwać siłą kierunkową charakteru bohatera. Na tych właśnie „odstępstwach", „lirycznych west-

chnieniach" zbudowana jest wielość i rozmaitość postaci pozytywnych bohaterów występujących w książce. Jednostronność, skrzywienie wyciskające swe piętno na wszystkich innych cechach charakteru ujmuje Pawlenko często w jednym słowie, nie zawsze odautorskim ale zawsze odpowiadającym, syntetyzującym ten sposób bycia, który został pokazany w akcji (Korytow — gadatliwy administrator, Bojaryszkin — urzędnik. Akcja zaś zbudowana na osi kompozycyjnej zaplecze-front, front-zaplecze daje autorowi możliwości odmalowania nasyconego wszystkimi barwami — obrazu ludzi, przekroju ich chwil minionych i toczących się obecnie, chwil powiązanych najściślej nie tylko przez postaci bohaterów lecz nastrój, którego emocjonalność jest wykładnikiem tego szczególnego liryzmu, który charakteryzuje prozę Pawlenki. Jest to liryzm dynamiczny, całkowicie wtopiony w akcję, gdzie opis przyrody staje się ogniwem przeżyć duchowych bohatera, właśnie ogniwem przeżyć nie celem samym dla siebie. I tak właśnie pojęta funkcja przyrody w powieści, wtopienie jej w akcję, uczynienie z niej nie odskoczni dla impresjonistycznych wyznań autora, lecz elementu uosobiającego dynamikę przemian pozwala autorowi nie tylko oddać całą specyficzność i odmienność krajobrazu lecz pokazać go również jako funkcję twórczych poczynań człowieka socjalizmu. Dlatego Pawlenki „Stepowe słońce", którego tytuł już z góry nastawia czytelnika na możliwość roztopienia się w opisach jest tak odmienny nie tylko od obrazu Czechowa („W stepie"), ale również od obrazu Gorkiego („Step"). „Stepowe słońce" widziane oczyma dziecka, to odkryty przez nie świat czarów, świat, w którym każdy element prozaicznej pracy jest piękny, tajemniczy: „Ale jakże tu można spać, kiedy tak przyjemnie płonie ognisko wśród nocy najciemniejszej z ciemnych, w głębi której jakby w oddalonej pieczarze porusza się ognisty kontur kombajnu." Każdy element pokazany jest od strony głębokiej, wewnętrznej harmonii z całością, celowości, konkretyzującej się w każdym posunięciu i każdej dyrektywie.

Metody pracy oparte na wyraźnym podziale funkcji i harmonii, współdziałania, pokazane na „trójkach" dziecięcych, na łączącym te trójki współzawodnictwie — czynią z tego dziecięcego świata miniaturę obrazu pracy rzeczywistości radzieckiej w ogóle. Obrazy narzędzi pokazane od strony piękna wykonywanej przez nie pracy, kierowanej i służącej człowiekowi, pokazanie ludzi przy maszynie, wszystko to, realistyczne w każdym swym szczególe, spowija aura poezji, która w tym świecie najrzeczywistszym z rzeczywistych odkrywa fantastyczny świat piękna.

Ten świat — to świat nowej rzeczywistości radzieckiej, twórczej, wspólnej, radosnej, kierowanej przez partię, komsomoł pracy ludzi wsi i ludzi miasta, rzeczywistości, w której rośnie, dojrzewa i rozwija się dziecko. Droga tego dziecka od chwili wkroczenia „na ten ich step", aż do momentu opuszczenia go po kilku tygodniach z uczuciem, że zostawia tam „wszystkich swoich", to obraz tej głębokiej więzi, która łączy ludzi radzieckich, twórców nowej moral-

ności. Radość dzieci związana z zebraniem urodzaju, marzenia ich „o wodach podziemnych, o lasach, które ochronią step przed wichrami i burzą" — to ogniwa radzieckiego życia — linia kierunkowa rozwoju, jego wytyczne i tempo. Tytuł „Stepowe słońcę" jest wyrazem zasadniczego nastroju, „słonecznej pracy", a opowieść o momencie zbierania urodzaju, o sposobie bycia ludzi — staje się przekrojem całokształtu życia, jego dynamiki i rytmu. Marzenia Woropajewa stają się nową realną rzeczywistością, a w promieniach „Stepowego słońca" ukazuje się obraz „Szczęścia".

Barbara Rafałowska

ADAM MAUERSBERGER

Władysław Mickiewicz, Andrzej Towiański i inni

To już dwadzieścia lat, jak weszły do języka polskiego nowe wówczas wyrazy: brązownik, brązować, zakłamany, odbrązowiać, odkłamać, odełgać. Dają one wcale niezłe pojęcie o ferworze, w którym zabrakło słów i trzeba było je wymyślić, o rewizjonizmie, którym boleśnie i nie na żarty została dotknięta nasza tradycyjna historia literatury — widać, że po raz pierwszy — bo trzeba było w tej walce zastosować nowe terminy i posłać je na front, jak posyła się nową broń.

Była to wojna o Mickiewicza, który wydał się Boyowi-Żeleńskiemu przez syna poety, Władysława Mickiewicza, i przez historyków literatury, zakłamanych brązowników — zabrązowany, więc Boy robił wszystko, co było w jego mocy, żeby Mickiewicza odbrązowiać i odkłamać.

Mickiewicz charakteryzowany superlatywami, pozbawiony z kolei wszystkiego, co nie było superlatywem, stał się niezrozumiały; eskamotowano przy tym jego poglądy socjalistyczne, zaciemniano działalność wojskową. Przedstawiano towianizm jako doskonalenie się wewnętrzne. Komentarze szkolne dokonały reszty, na poezję znieczulały nas od dziecka. Boy wiedział, że szerzy się kult, ale że jednocześnie szerzy się zobojętnienie. Czyta się na klęczkach, ale raczej się klęczy, aniżeli czyta. Fabrykowano przyczynki i przypiski, ale mimo uchwały sejmowej pełnego wydania pism Mickiewicza wciąż jeszcze nie było. W tej sytuacji trybuna Boya — „Wiadomości Literackie" — dokonała zbiorowej edycji dzieł Mickiewicza z przedmową Boya. Boy starał się Mickiewiczowi przywrócić cechy ludzkie i dlatego tę przedmowę i kampanię polemiczną na łamach „Wiadomości", zebraną później w oddzielnym tomiku „Brązownicy", uważać należy za akcję mającą na celu zbliżenie Mickiewicza do ludzi współczesnych. Zbliżyć literaturę, wielką literaturę, do ludzi współczesnych — to przecież życie Boya.

Teraz, pod koniec Roku Mickiewiczowskiego, wydano na nowo „Brązowników" i studia pisane w okresie lwowskim. Uzupełniono je kilku rozproszonymi felietonami i recenzjami teatralnymi i zebrano pod wspólnym tytułem: „Boy o Mickiewiczu". Tak się wydaje klasyków! Bo zwycięstwo Boya-obrazoburcy, na którego za życia wylewano kubły pomyj, jest ugruntowane. Dowodem tego życiorysy Mickiewicza pióra poety Jastruna czy fachowego historyka literatury — Szypera, który pisze o Boyu z szacunkiem nie do pomyślenia w czasach przedwojennych. Ale unikajmy nieporozumień. Boy walczył z przesądami dotychczasowej nauki. Wytknął co grubsze zabobony — o czym niżej — i naprowadził na drogi przyszłego rewizjonizmu. Gdy dziś czytamy tę polemikę, wydaje się ona rozwlekła, pełna powtórzeń, nawet dowcipy i cytaty

co dosadniejsze powtarzają się po kilka razy. I nic w tym dziwnego, bo każdy felieton jest rozprawą z brązownikiem, a nie przyczynkiem do rozprawki.

Boy trafnie zwrócił uwagę, że wyjazd do Rosji wydobył Mickiewicza z głębokiej prowincji na szeroki świat bujnego życia i poezji. Ale główną uwagę Boy skupił na niszczącym wpływie Towiańskiego i na brązowniczej, niszczycielskiej działalności syna poety, Władysława Mickiewicza. Trzeba przyjrzeć się tym obu sprawom. Nie tylko, jak przedstawiają się dziś, po dwudziestu latach, osiągnięte wówczas wyniki, ale przede wszystkim możliwościom dalszych poszukiwań w kierunkach wskazanych przez Boya.

Co się tyczy Władysława Mickiewicza, to rzeczywiście ten człowiek miernego umysłu i nieprzyjemnego usposobienia swe bardzo długie życie przeznaczył na zbieranie wszelkich wiadomości o Mickiewiczu i rękopisów poety. Był wydawcą czterotomowego wyboru listów, autorem czterotomowego „Żywotu", dwutomowego „Współudziału A. Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego" oraz książki „Legion Mickiewicza". Wziął on sobie chyba do serca słowa swego ojca, że w „Panu Tadeuszu" trzeba było podnieść nastrój o pół tonu, Władysław bowiem wszystko, co chciał narodowi przekazać o Mickiewiczu, starał się za wszelka cenę podnieść o te pół tonu. Dlatego też mógł pisać do niego Artur Wołyński: „...bo cię ludzie obwiniają, że dokumenta fałszujesz przez obcinanie i przerabianie ustępów, które ci się nie podobają; że dokumenty, pożyczone do odpisania, zatrzymujesz, a właścicielowi oddajesz udatne facsimilia z nadwyrężonym tekstem; że w swoich publikacjach naciągasz jedne fakta, inne zupełnie pomijasz milczeniem." Za pośrednictwem swej siostry Władysław wydobył od Bełzy „na jeden dzień", „pod słowem" korespondencję Mickiewicza z Ksawerą Dejbel i odtąd wieść o korespondencji tej przepadła. Zniszczył, ile mógł. A więc połowę pamiętnika Zofii Szymanowskiej, poza tym zniszczył zapewnę wiele dokumentów, o których nie wiadomo, że istniały. To udowodnił Boy. Ale bez większego trudu każdy może, ile chce, dorzucić nowych obciążających dowodów. Wystarczy wziąć do ręki tom „Rozmów" Mickiewicza w niedokończonym, przedwojennym wydaniu sejmowym i czytać komentarze wydawcy. Okaże się wówczas, że znaczna część rozmów, i to rozmowy najważniejsze, znana jest tylko w wersji podanej przez Władysława Mickiewicza. Dotyczy to przede wszystkim rozmów prowadzonych przez Malewskiego, Domejkę, A. Chodźkę, J. B. Zaleskiego, Januszkiewicza, Wrotnowskiego, Biergiella. Czytajmy więc te przypiski: Malewski „pierwszy w ogóle uznał, że warto, że należy notować treść rozmów z Mickiewiczem, wyrażone w nich poglądy literackie, zdania o książkach, o ludziach itp.; sam dorywczo prowadził notaty takie przez trzy lata 1827—9.... Rękopis Malewskiego przeszedł z kolei w posiadanie Władysława Mickiewicza, który go ogłosił... Autograf notat nie dochował się do dzisiaj".

Wrotnowski „treść rozmów prowadzonych z poetą zapisywał przez czas długi, ale rękopis ten uległ zniszczeniu. Zachowały się w Muzeum Mickiewicza w Paryżu dwie zaledwie jego zapiski".

Domejko notował rozmowy w okresie pisania „Pana Tadeusza". „Prowadził szczegółowy dziennik, który pod koniec życia autora zaginął czy został zniszczony."

Aleksander Chodźko „notował rozmowy w latach 1843—52. Oryginalne notatki Chodźki dochowały się w drobnej zaledwie części, zawartość ich znamy przeważnie z odpisów. Lwią część zapisanych przez Chodźkę myśli, zdań, wywodów ogłosił Władysław Mickiewicz".

Te zaś, które ogłosił kto inny, dość często w wydaniu sejmowym zaopatrzone są w przypisek, iż Władysław Mickiewicz kwestionuje ich wiarygodność. Natomiast spreparowanym przez siebie rozmowom wyrabiał świadectwa autentyczności, kiedy pisał następujące słowa: „Zaleski, Domejko, Biergiell zachowali taką cześć dla Adama, że w opowiadaniach o nim wszelkie dodatki i upiększenia uważaliby za rodzaj świętokradztwa."

Aby choć w drobnej mierze zdać sobie sprawę z rozmiarów szkody wyrządzonej przez Władysława Mickiewicza, można dla przykładu porównać dwie rzeczy Malewskiego: jedną wydaną przez Władysława Mickiewicza, drugą przez Henryka Mościckiego.

Pierwsza to listy z Petersburga, irytujące poczciwą, płaską czołobitnością „przed Adamem", prymitywnością intelektualną i mizerną polszczyzną, druga to „Dziennik więzienny", olśniewający świetną polszczyzną, językiem „mickiewiczowskim" refleksyjnością, skalą przeżyć i asocjacjami lektury. Od razu widać, który z tych dwóch Malewskich jest wyjałowiony, a który autentyczny i na tej wileńskiej prowincji zna cztery główne europejskie języki i poznał się na „Odzie do młodości", „bo znał literaturę niemiecką".

Podnosząc Mickiewicza o pół tonu wyżej musiał Władysław niszczyć rękopisy Malewskiego i drukować poprzerabiane przez siebie, bo przecież Malewski o swym koledze uniwersyteckim nie mógł pisać z zakłamaną rewerencją brązownika. Kto wie, czy i niejedna refleksja Malewskiego nie figuruje dziś w ustach Mickiewicza. Żeby podnieść o pół tonu wyżej, trzeba było ogłupić Malewskiego (przykład ten dałoby się rozszerzyć; można by sporządzić antologię wierszy para-mickiewiczowskich), trzeba było dokonać tego kosztem środowiska, wyrwać poetę ze społeczeństwa. Tym sposobem brązownictwo dzisiaj jest czymś monstrualniejszym, aniżeli się to wydawało Boyowi: jest idealistyczną koncepcją pojmowania literatury, gdy Boy w brązownictwie widział tylko nonsens, ciemnotę, nieznajomość życia i nieumiejętność smakowania życia. Możliwe, iż te zarzuty są na wyrost, ale żeby przekonać się, co nie zostało sfałszowane, trzeba posprawdzać wszystko, trzeba Władysławowi patrzeć na ręce po śmierci, skoro tego nie robiono za życia. Ostatecznie mamy prawo tracić cierpliwość, skoro § 187 Kodeksu Karnego postanawia: „Kto w celu użycia za autentyczny podrabia lub przerabia dokument, albo podrobionego lub przerobionego dokumentu za autentyczny używa, podlega karze więzienia do lat 5." Nie stosuje się tego paragrafu do dokumentów kultury. Boy nie szedł tak daleko nawet wówczas, gdy mówił pół-serio. Ubolewał tylko nad zestawieniem

w jednej osobie kustosza i syna. Jako syn „nie podlega naszym sądom", „jako syn, powtarzam, był w swoim prawie i nie myślę go o to winić." To podwójne stanowisko jest dziś niedopuszczalne. Sprzeczność wyrażona w tym poglądzie Boya była i dawniej nie do utrzymania i pozorną obiektywnością służyła przywilejowi rodziny, godząc w dobro powszechne. Szkodnik Władysław całe życie zbierał hołdy, co Boya niesłusznie zadziwia, bo jakże mógł Władysław stawać przed sądem, skoro sam Boy ogłasza drukiem: „był w swoim prawie". A skoro „był w swoim prawie", to gdzie było miejsce Boya?

— Pod pręgierzem.

W ustroju demokracji ludowej i socjalizmu rodzina korzysta z praw spadkowych, korzysta z opieki i należnego szacunku w przekonaniu, iż pośrednio przyczyniła się do twórczości, więc po śmierci twórcy nie staje się eskamatorem, miernikiem, przeciwnie — ciąży na niej chyba obowiązek przechowania nienaruszonej puścizny. Nie jest przecież właścicielem twórczości. Pojęcia te nie dla wszystkich, nawet dzisiaj, są oczywiste. Przytoczę jeden przykład współczesnego brązownictwa. Prof. Adolf Chybiński wydał w 1949 r. obszerną biografię Mieczysława Karłowicza. Chociaż pisze na wstępie: „Nie było dążeniem moim ani szczególne podkreślenie t.zw. dodatnich cech, ani tendencyjne usuwanie w cień t.zw. ujemnych cech w postaci M. Karłowicza. Dążyłem według wszelkiej możności do tego, aby postać Karłowicza nie stała się w przyszłości przedmiotem „odbrązowiania", lecz już na następnej stronie konstatuje Chybiński, że zachowało się 500 listów pisanych przez Karłowicza, jednocześnie zaś „zdziwić może niewielka ilość (8) listów pisanych przez różne osoby do M. Karłowicza. Niestety bardzo wielki zbiór listów wielu osób korespondujących z artystą, jaki znajdował się w jego posiadaniu w r. 1909, już nie istnieje. Całą tę korespondencję zniszczyła ś.p. Irena Karłowiczowa, nie chcąc nikogo wtajemniczać w prywatne sprawy Mieczysława, jakkolwiek niejeden list zawierał z wszelką pewnością szczegóły znaczenia ogólniejszego, ważne przyczynki do historii nowszej muzyki w Polsce". A jak brzmi dedykacja książki: „Pamięci mej Matki i pamięci Ireny Karłowiczowej, matki Mieczysława". A więc Prof. i Dr dedykuje swe dzieło komuś, kto jego pracy i nauce w ogóle wyrządził niepowetowaną szkodę. Chybiński niewątpliwie zdaje sobie z tego sprawę, ale nad interes własny człowieka nauki i interes kultury przedkłada światopogląd, wedle którego miłość własna spadkobierców obracać może twórczość i życie artysty na swój użytek, bo „Mieczyś" jest dla rodziny. Wedle tego światopoglądu twórczość właściwie nie istnieje, istnieje własność prywatna. I właściciel kartki papieru może ją sprzedać, może to, co na niej nagryzmolone, oddać w dzierżawę — a może i zniszczyć.

Oto w jaki sposób ubrązowiono Boya! Prof. Chybiński woła: Nie jestem „brązownikiem"! A jednocześnie składa hołd niszczeniu dokumentów.

*
* *

Ta brązownicza koncepcja, podnosząc Mickiewicza o pół tonu wyżej, o ileż tonów podnieść musiała Towianskiego! Rzeczywiście nie można powiedzieć, żeby mistrz Andrzej nie dość „był w tonie". Boy jako lekarz wiedział, że mistycyzm łączy się bardzo łatwo z erotomanią, że różne praktyki i całowania po nogach nie mają nic wspólnego z doskonaleniem się wewnętrznym.

W tym, że Towiański odwiódł Mickiewicza od pisania, dopatrzył się zręczności carskiego szpiega, w Ksawerze Dejbel — wtyczki Towiańskiego w dom Mickiewicza.

To była interpretacja towianizmu diametralnie przeciwna tej, w którą wzwyczajano człowieka od dziecka i której pod ciśnieniem autorytetu ulegano skromnie. Powszechnie starano się wejść w rodzaj myślenia i mówienia towiańczyków, oczywiście w sposób tendencyjnie bezkrytyczny.

Przecież o sceptycyzmie, zresztą kameralnym sceptycyzmie, Józefa Ujejskiego mało kto wiedział.

Aby się przekonać, do jakiego stopnia bezpodstawna była apoteoza towianizmu, wystarczy przeczytać wstęp do XI tomu wydania sejmowego. Okaże się, że to, co jest podane jako aport towianizmu, jest najcięższym jego oskarżeniem. Towiański po to wmawiał w swoich uczni, że w poprzednich wcieleniach byli apostołami a Mickiewicz jednym z proroków, żeby ich wszystkich pozbawić własnej woli władzą Ducha Świętego, za którego się podawał. Gdy Mickiewicz zaczął mu zanadto brykać, szantażował go. Towiański miewa wizje, więc cóż dziwnego, że widział Mickiewicza w postaci jakiegoś nieszczęśliwego zwierzęcia, a nawet w postaci wody morskiej, ziemi. Towiański był Mistrzem i Panem, a oni braćmi i sługami, trzymanymi dla pewności i regułą zakonną, i karnością wojskową. Szerzył pogardę dla rozumowania i refleksji, a jednocześnie zaprowadził całodzienne milczenie. Nazwał to wzniośle — Postem Nowego Zakonu. Proszę sobie wyobrazić stan psychiczny uzyskany tego rodzaju zabiegiem. Aby nie dopuścić do żadnej działalności społecznej i politycznej, nazwał realizacją nie przejawianie działalności. Nazwał realizacją jakieś demonstracje duchowe, polegające na tym, że towiańczycy w szyku wojskowym szli wprawdzie pośród demonstrującego tłumu w rocznicę Rewolucji Lipcowej, ale nie wolno było im nic mówić. Natężali się. Mieli demonstracji swej nie nadawać nawet „pozorów rozruchu politycznego, próby rewolucji. Duchem sprężonym, napięciem uczuć, siła niematerialną mają uderzać na lud, pomagać braciom Francuzom". Ponieważ nic z tego uderzenia nie wynikło, komentator wydania sejmowego pisze: „Beznadziejność svtuacji polegała na tym, że istotnej przyczyny zła nie można było wcale usunąć, bo leżała poza Kołem. Przyczyna była przeciągająca się zwłoka w nadejściu zapowiedzianych wypadków wielkich." Czyli według komentatora winne są wypadki, skoro nie potwierdzają przepowiedni Towiańskiego.

To wymaganie, żeby demonstracja duchowa nie przybrała choćby „pozorów rozruchu politycznego, próby rewolucji" nie może przejść mimo uszu. Odsłania ono bowiem już świadome antyrewolucyjne cele politycznej organizacji pod nazwą: „Koło Sprawy Bożej w Paryżu." Pomaganie braciom Francuzom to znaczy: niełączenie się z nurtem rewolucyjnym tłumu demonstrującego w rocznicę rewolucji. Pojawienie się towiańczyków w szyku wojskowym mimo karykaturalnego, ponuro-groteskowego charakteru tej soldateski, o czym za chwilę — miało być jednak ekspedycją militarną przeciwko tłumowi, rzuceniem wojska, podzielonego na małe oddziałki po siedmiu ludzi pod dowództwem stróżów. Organizacja wojskowa towiańczyków ma więc charakter reakcyjny. Służy ona do trzymania sług i braci w systemie reakcyjnym, karnością wojskową. Oto jak wyglądać miała ta ekspedycja wedle ówczesnego ODB i Rozkładu Nabożeństw jednocześnie:

„Koło podzieli się na dwa oddziały:
Pierwszy oddział: Siódemki: 1, 3, 5, 7.
Drugi oddział: Siódemki: 2, 4, 8 i Francuzi.
Od 12 do 1-szej pierwszy oddział zbierze się w kościele St. Louis d'Antin, drugi u Ś-tej Magdaleny. Od 1-szej do 4-ej czas wolny. O 4-ej pierwszy i drugi oddział zbiorą się jak wprzódy i udadzą się do Hotelu Inwalidów: powinni być na miejscu pół do 6-tej. Pierwszy oddział zajmie 1-szy dziedziniec zewnętrzny; drugi — dziedziniec wewnętrzny. Główny punkt zebrania się: pod statuą Napoleona. Od 6-tej do 7-ej czas modlitwy. Po 7-ej zostawia się każdemu wolność przepędzenia reszty dnia w miejscu, jakie mu się podoba, zawsze w pełnym tonie. O 10-tej Stróże zbiorą się u brata Adama dla zdania sprawy.
Bracia Francuzi dowodzą jednym i drugim oddziałem. Bracia Francuzi w podobnej służbie mają pierwszeństwo."

Aby w pełni docenić ten dokument, trzeba sobie przypomnieć, że emigranci to byli ludzie, którzy, nawet jeśli nie byli zawodowymi wojskowymi, w czasie Powstania służyli w regularnym wojsku. Swoiście pojęta przez Towiańskiego realizacja wojska to zaprzepaszczanie elementarnych pojęć o wojsku w ogóle. Towiański zamętem pojęć i tworzeniem własnego, opacznego wojska godził w sam główny postępowy cel emigracji: walkę o wolność „waszą i naszą".

Post Nowego Zakonu — to post od myślenia i od działania.

Wiemy już teraz, czym jest doskonalenie się wewnętrzne.

Od propagowanego przez towianizm doskonalenia się wewnętrznego, od zrzeczenia się przez brata i sługę, hr. Bibersteina - Pilchowskiego, własnej woli i majątku na rzecz Mistrza i Pana, od formalnego zapisania się aktem rejentalnym Towiańskiemu w poddaństwo — prowadziła już tegoż samego Pilchowskiego prosta droga do porzucenia narodowości, do przyjęcia amnestii, prawosławia i poddaństwa carskiego. Inny brat, płk. Kamieński, odbył tylko połowę tej drogi, ale do celu doszedł brat Mierzwiński a zwłaszcza brat Staniszewski: po prostu

został kapitanem - sprawnikiem. To nie były, jak o tym czytamy w przedmowie, „przykre przypadki", a nieuchronne konsekwencje. Ideologia i organizacja rozwijały się systematycznie, dopingowane wizjami, cudownym pojawieniem się cara Aleksandra I błagającego o przebaczenie. Stąd już jeden krok do modłów za cara. Zanim więc nadejdzie z wyroków Opatrzności czas odwrócenia kary, trzeba, żeby według myśli bożej Polacy zostali wiernymi poddanymi cara Mikołaja I. Jak wiadomo, winy Aleksandra I były polityczne. Konstytucją i ustrojem parlamentarnym obudził nadzieje postępu, po czym przystąpił do represji. Cóż z tego, iż to wybaczenie ma być ćwiczeniem duchowym, skoro prowadzi do politycznego celu — do wiernopoddańczej uległości wobec Mikołaja?

Rzuciwszy okiem na oszukańczy proceder zamiany imion „Aleksander — Mikołaj", którym Towiański pomaga sobie w rozumowaniu, czytajmy dalej wstęp do XI tomu wydania sejmowego.

> „Co zaś w tym najważniejsze: Towiański stawiał sprawę tak, iż spełnienia owego aktu skruchy nie wymagał od całego narodu: wystarczy — zdaniem jego — jeśli go spełni cząstka narodu i ciężki krzyż tego zadania nakładał właśnie na Pierwszy Zastęp. Przez przyjęcie go i wytrzymanie do końca spełni Koło wobec narodu rolę zbawczą: ofiarą swą odkupi go, odwróci karę bożą — niewolę. „Skoro pewna liczba Polaków — pisał on o tym później nieco — liczba koniecznie potrzebna do przechylenia szali przeznaczeń Polski, przyjmie tę prawdę, złoży z niej owoc na polu przeznaczonym — zgładzi się wówczas tym chrześcijaństwem Polaków grzech Polski, twardość i dumę wewnętrzną, zakreśli się dla narodu męczeńskiego kierunek łaskawy i otworzy się niebo przeznaczone." Co więcej, widzimy, że w tym punkcie przewija się i u Towiańskiego pojęcie o Chrystusowej ofierze Polski; i on używa tu porównania z męką krzyżową na Golgocie. Przez ciasną bramę tej jednej ofiary z buty narodowej, ale i boleści patriotycznej, wejdzie Polska na pole swej europejskiej myśli przodowniczej. „Innymi słowy, kto by miał podjąć się tej ofiary i wytrzymać ją do końca, przybliży nie tylko godzinę wolności Polski, ale także wprowadzi ją na wyżyny mesjanicznego posłannictwa."

Innymi słowy — teraz my zapytajmy — jakiż sens polityczny ukrywał się za jego dymną zasłoną, za tymi uniesieniami mesjanicznego posłannictwa? Cóż to w języku politycznym znaczy, że tego aktu skruchy nie wymagał Towiański od całego narodu, że wystarczy cząstka narodu a mianowicie Pierwszy Zastęp? Dlaczego tylko Pierwszy Zastęp?

Ale to jest cała historia. Towiański działa konsekwentnie. Po zakończeniu wojny, gdy powstańcy jeszcze w mundurach przechodzili granicę, gdy rzucał się w oczy wojskowy charakter emigracji, Towiański szuka przywódców emigracyjnych rozglądając się wśród generałów. Ostatni wódz naczelny, gen. Rybiński, ma skłonności mistyczne i metafizyczne. Jeśli Towiański sam się z nim nie spotykał przy wirują-

cym stoliku, na seansach spirytystycznych w domu Zofii Komierowskiej, to trafiał tam przez Mickiewicza, Leonarda Chodźkę, zresztą trafić do Rybińskiego nie było trudno. Ale Towiański go nie szukał, bo trzeźwo się orientował: Rybiński nic nie znaczył w czasie Powstania i w czasie swych ostatnich 33 lat życia w Paryżu. Nie szukał także Chłopickiego, Radziwiłła, ale za to trzy lata poświęcił w Dreźnie na opanowanie Skrzyneckiego, który z wojny 30 roku wyniósł imię wielkiego wojownika. Gdyby nie generałowa, Jan Skrzynecki by uwierzył, że jest Janem Ewangelistą. Towiański za pośrednictwem Mickiewicza pozyskiwać będzie Dwernickiego, który ze wszystkich generałów jest chyba najpopularniejszy wśród żołnierzy i który stanie na czele Komitetu Emigracji Polskiej zwanego powszechnie Komitetem Dwernickiego. „Chuchanie, rękami magnetycznymi machanie" nie dało oczekiwanego rezultatu.

Towiański opanować chciał oba główne kierunki polityczne emigracji: postępowy i wsteczny. Uderzył w przywódców: Lelewela i Czartoryskiego. Zdarzył się wówczas w ich życiu niewytłumaczony wypadek: w jednej i tej samej sprawie byli jednakowego zdania.

Lelewel użył Towiańskiego jako zabawki. Ułożył sobie nawet taki sposób posłużenia się nim: wspomnieć o Napoleonie, admirować misję Towiańskiego, wówczas Towiański będzie dziwy prawił. Przyznawał jednak, iż Towiański wnosi jedną rzecz pozytywną: zbiór litografii wileńskich, i te polecał Chodźce. Myślał, że nie ma nad czym głowy łamać, chociaż „smutna nasza kolej, jeśli nasza dobra sprawa szarlatańst w potrzebuje". Obawiał się, że „machinacje" Towiańskiego pociągną za sobą „konsekwencje zdrożne". No i nie omylił się.

Do Czartoryskiego trafia Towiański przez posły. Na imieniny. W dzień Bożego Narodzenia 1842 r. brat Januszkiewicz klęka w kościele Św. Rocha przed Czartoryskim, wzywa go głośno, by się ukorzył przed Panem, i wręcza pismo o Sprawie. Książę, jak to książę, „oddał dzięki za pochwały, ale od wiary w Towiańskiego się wymówił".

Do kierowników Towarzystwa Demokratycznego zwraca się ciągle niedawny ich towarzysz, brat Seweryn Goszczyński, do wojewody Ostrowskiego trafia Mickiewicz. Mickiewicz wśród polskiego zakonu Zmartwychwstańców stara się zwerbować księży Kajsiewicza i Duńskiego. „Był projekt — pisze komentator — żeby pracę taką podjąć zbiorowo i systematycznie. Brat Siegfried wniósł, aby uderzyć Kołem na wszystkie partie emigracyjne przez ich władze... Każda siódemka towiańczyków powinna sobie wybrać jedno stronnictwo dla obwieszczenia słowa Bożego."

Towiański działa konsekwentnie. Aby unicestwić Wielką Emigrację — trzeba najpierw unicestwić jej aktyw polityczny, skompromitować jej przywódców.

Prasy prowadzącej walkę społeczną, stronnictw politycznych, organizacyj społecznych, przywódców politycznych i wojskowych Towiański nie opanował, bo go z odrazą odepchnęły. Ale opanował Mickiewicza, którego wpływ powinien z latami wzrastać, nie dlatego, że Mic-

kiewicz przeszedł dopiero czterdziestkę, ale dlatego, że w miarę przedłużania się emigracji jej kierownictwo polityczne było w warunkach coraz trudniejszych, ponieważ zachodnio-europejski system reakcyjny wzmagał się w latach poprzedzających wybuch Wiosny Ludów i w tym właśnie okresie artyści i pisarze mogli zdziałać najwięcej.

Towiański wytypował sobie takich ludzi, których skompromitowanie powinno by załamać emigrantów. Charakterystyczne, że nie zabiega np. o Chopina, którego twórczość jest rewolucyjna, narodowa, czerpie siłę z elementów ludowych, charakterystyczne, bo Chopin nie jest działaczem emigracyjnym. Przeciwnie, obraca się w towarzystwie kosmopolitycznym, drapie się po drabince feudalnej: „bo zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej czy austriackiej słyszano, zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont protegowała" — pisał Chopin.

„Jakto — wołał do Chopina Mickiewicz — zamiast rozwijać w sobie ten dar poruszania dusz, ty paradujesz na Faubourg Saint-Germain? Mógłbyś porywać tłumy, a trud sobie zadajesz łaskotania nerwów arystokratycznych."

Im więcej się unosił — opowiada to zdarzenie naoczny świadek — tym bardziej się Chopin tulił, kurczył, nie wydając głosu. Wreszcie Mickiewicz zamilkł, a Chopin rozpoczął nieśmiało grać ludowe pieśni.

W Kole Sprawy Bożej jest i Mickiewicz, i Słowacki. Jest więcej jeszcze pisarzy, bo Antoni Górecki, Seweryn Goszczyński, jest i historyk Wrotnowski, autor książki o Powstaniu, redaktor „Dziennika Narodowego", którego redakcji zrzekł się po przystąpieniu do towiańszczyzny. Jest tłumacz Szafarzyka, Bońkowski, jest najczynniejszy na emigracji wydawca i księgarz, Januszkiewicz. Oto i cały proces wydawniczy w ręku mistrza, który uczy: „trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę". Oto odpowiedź na pytanie, czemu w Kole ludzie znani — to głównie literaci. To także odpowiedź, czemu wystarczało Towiańskiemu skompromitowanie nie całego narodu, a tylko Pierwszego Zastępu.

W tych właśnie złych czasach powszechnej depresji poprzedzającej Wiosnę Ludów, w czasach najmowania Polaków do wojen ekspedycyjnych — pisarze mogli działać budująco głęboko humanistyczną twórczością wiary w człowieka, mogli walczyć satyrą z ustrojem, który niebawem miał się okazać rupieciarnią.

Towiański w tych dniach najcięższych pozbawił nas ludzi postępu: Mickiewicza, Słowackiego i innych. Słowacki wyzwolił się pierwszy z niewoli Towiańskiego. Mickiewicza wyzwoliła Wiosna Ludów i Mickiewicz wraz z wojskiem poszedł do Włoch. Najznakomitszy dziś znawca dziejów Wielkiej Rewolucji — Adam Lewak — stwierdza, iż przez pewien czas zwolennicy nauki Towiańskiego okazali się najliczniejszą grupą emigracyjną. To dowodzi stopnia przygnębienia i kredytu udzielonego Mickiewiczowi. Ogół emigracyjny otrząsnął się z Towiańszczyzny — pomimo wpływu Mickiewicza.

Rolę, którą Towiański wyznaczył Mickiewiczowi, rząd carski i reakcja zapisały Towiańskiemu na jego dobro.

W każdym razie idealistyczna polonistyka nie może twierdzić, że szanowany przez nią towianizm oceniał Mickiewicza ze stanowiska estetyzującego. Nie chodziło o artystę, niezwykłej jak na Polaka rangi. Towiański zlikwidował Mickiewicza jako poetę, który był zawsze pisarzem politycznym i to bardzo niebezpiecznym, skoro np. za życia Nowosilcowa i tych z „Salonu Warszawskiego" potrafił ich wszystkich uwiecznić w sztuce teatralnej. Towiański zlikwidował Mickiewicza jako uczonego, dla którego, wbrew naciskom carskiej ambasady, stworzono ze względów politycznych katedrę historii Słowian w Kollegium Francuskim i który ze względów politycznych ją objął. Na koniec, kiedy Towiański opanował całkowicie Mickiewicza, kiedy pozbawił go krytycyzmu, nakazując wierzyć, zabraniając rozumować, wtedy Mistrz przystępuje do ostatecznej likwidacji Mickiewicza, któremu ani w głowie się opierać. Oczywiście, że odebrano Mickiewiczowi katedrę ze względów politycznych, ale nie tyle chodziło o treść, co o to, że Mickiewicz nie trzymał się kursu i wykład przemienił w nastrojowe sceny, w manifestacje, które nawet w opisie zwolenników, np. Goszczyńskiego, dowodzą, że Mickiewicz stał się pośmiewiskiem. Jest zresztą zamknięty w zaczarowanym Kole Sprawy Bożej, pośród ludzi spowiadających się sobie i szpiegujących się nawzajem. Towiański, jak wiemy, wytypowanych przez siebie ludzi wykolejał moralnie, umysłowo, psychicznie, społecznie, wyrzucał ich z pracy zarobkowej a w wypadku Pilchowskiego wchodził w posiadanie jego majątku. W każdym wypadku opanowywał całkowicie swe ofiary, które też całkowicie były na jego łasce. W takim środowisku Mickiewicz jest na równi pochyłej. Musi się stoczyć jak Pilchowski i Staniszewski. Wszyscy ci towiańczycy, mówiąc językiem dzisiejszej techniki służby wywiadowczej, byli już ustawieni. Wystarczyło ich dozorować z zagranicy, bo przecież Towiański był już wysiedlony przez rząd francuski z granic państwa, oczywiście pomimo protestów i interwencyj carskiego ambasadora w Paryżu. Byli już ustawieni — obstawiał ich Pilchowski, którego pozycja — to wiemy z komentarzy do wydania sejmowego — znacznie wzrosła od chwili, gdy zrzekł się swej woli i majątku na rzecz Towiańskiego. Probował nawet „zamachu stanu", aby podporządkować sobie Mickiewicza, stał się człowiekiem bardzo miarodajnym, zaufanym i pewnym, co charakterystyczne — bezkarnie zdefraudował pieniądze, co jeszcze charakterystyczniejsze i ważne — miał sobie powierzoną w dalszym ciągu sprawę „służby z Mikołajem I". „Przyprowadzenie wszystkich braci do spółki z bratem Pilchowskim jest dziś główną naszą czynnością — czytamy w ustnym rozkazie dziennym do stróżów siódemek. — Brat Pilchowski jest to adiutant, przysłany od generała do utworzenia oddziału wyborowego. Wejście do tego oddziału jest tylko przez spółkę z bratem Pilchowskim, uznaną i zaświadczoną od niego".

A oto dwa akta „urzędowe" organizujące podporządkowanie się towiańczyków Mikołajowi, do czego byli oni już wezwani w rocznicę Powstania:

I

z 11 lutego 1845 r.

„Każdy z braci Stróżów jest wezwany do dania na piśmie bratu Sewerynowi na dzień 16 bm. stanu duchowego braci ze swojej Siódemki pod względem usposobienia ich do pełnej powinności chrześcijańskiej w Komunii z Chrystusem i z bratem w duchu, ciele i czynie, co razem będzie miarą ich spółki w widzeniu (do której Mistrz wzywa), tudzież wykazaniem stopnia ich połączenia się z bratem Sewerynem w prawdzie przez Pana podanej, a w dniu 29 listopada w nowym tonie na zebraniu Koła braciom przedstawionej i coraz mocniej rozświetlonej.

Przypomina się Stróżom, że każdy z nich jest odpowiedzialny za braci swojej Siódemki."

II

z 12 lutego 1845 r.

„Stróż jest jedynym organem, przez który łaska dla ojczyzny wydzielona zejść na brata może.

Główna i jedyna praca: postawić wszystkich braci na stopniu czystości i mocy, na jakim brat Pilchowski zostaje.

Brat Pilchowski wyjeżdża wkrótce do Mistrza, gdzie zda szczególną sprawę o stanie każdego brata, dlatego Stróże przed 16-tym odbędą ostatnią pracę ze swoimi braćmi i raport o ich stanie duchowym złożą na piśmie, które przed 16 ym złożą bratu Adamowi. Raport ten ma być w jak najkrótszych wyrazach...

... Pilchowski jest dziś dlatego naszym wzorem, że całego siebie oddał Mistrzowi. Dociągajmy się do tego wzoru, bo może później wyższy będzie postawiony i trudniejszy do dojścia.

Dojść do stopnia czystości i mocy itd. Czystość mieliśmy w pewnych chwilach sprawy — roztopieni duchem Mistrza, ale nie mieliśmy mocy. Nie dosyć być mocnym w chwilach egzaltacji, trzeba tonąć w tej mocy, jak tego daje nam wzór brat Pilchowski."

*

* *

Niespodziewane wydarzenie! Książę Mirski ogłasza manifestacyjną prośbę o amnestię. Zawiadamia o swym przejściu na prawosławie i wzywa emigrantów, by poszli jego śladem.

Mirski towiańczykiem nie był, ale mówił, że zmierza do tego samego celu co Towiański.

Towiański odpowiada prowokacją. Towiańczycy pierwsi organizują akcję protestacyjną przeciw Mirskiemu. Było to ich pierwsze polityczne wystąpienie w ogóle. Koło Sprawy Bożej, które, jak słyszeliśmy, miało tylko „siłą niematerialną uderzać na lud" i unikać choćby pozorów zajmowania się polityką, miało tym sposobem znaleźć się między polskimi stronnictwami politycznymi.

Towiański starał się tym sposobem wyrobić sobie dowody polskości. Dywersyjne cele tego rodzaju manewru — są wyraźne.

Posiedzenie zwołane przez towiańczyków się nie udało, lecz co ważniejsze, projekty polityczne Towiańskiego, pomimo iż uległy odroczeniu, po akcie Mirskiego wzbudzić musiały czujność nawet wśród braci. Wypowiedział posłuszeństwo Słowacki, chociaż mówiąc słowami innego polonisty, Konstantego Wojciechowskiego — pod wpływem Towiańskiego „w usposobieniu poety zaszła zmiana bardzo korzystna; duma, żądza sławy znikły. Słowacki stał się pokornym i cichym, wyrzekł się próżności i szczęścia szukał w wierze i modlitwie". Zbuntował się brat płk. Kamieński. Towiański wycofał się znowu. Znowu okazał się przebiegłym graczem, jak zawsze, jak i później, kiedy np., udając się do Rzymu dla widzenia papieża, zaprzestał ataków na kler. Cofnął się i to, co on, i to, co komentator nazywa „złem" — zwyciężyło.

Prasa emigracyjna, uderzając nadal, dobijała towiańczyków. Sekta rozpada się. Proces rozkładu trwał jeszcze długo. Sekta była skompromitowana i afera Towiańskiego się nie udała.

Zaczęło się od tego, że Towiański pociągał za firankę i odsłaniał chorągiew z wyobrażeniem Chrystusa, uchylał drugą — odsłaniał Napoleona. A skończyło się na tym, że każdy już gołym okiem widział, że pod płaszczykiem religijnym ukrywa Towiański polityczną aferę.

Nie odwołując się do zasobów, zawartych w dobrych dziesięciu tomach do afery Towiańskiego, można by jeszcze z tego jednego tomu, na który wciąż się powołuję, a właściwie z przedmowy wynoszącej pod niebiosa Mistrza i Pana, wydobyć znacznie więcej obciążających dowodów przeciwko Towiańskiemu. Wszakże metody jego działalności dość wyraźnie się już zarysowały. Nie pozostawiają wątpliwości. Towiański idzie zawsze po linii skrajnie obskuranckiego światopoglądu. Można powiedzieć: że na to, aby w połowie XIX wieku — w czasach, gdy rozszerzały się poglądy naukowe na świat, a Marks precyzował swą teorię — szerzyć tak gruby zabobon — trzeba być mistrzem. Nic też dziwnego, że Towiański służył możliwie najciemniejszym interesom politycznym reakcji. Gdy Mickiewicz, wyzwolony z niewoli towiańskiej, ruszył do Włoch, odetchnął, walczył o wyzwolenie, znalazł się w jednej linii z Mazzinim, Towiański znowu ujawnił swe prawdziwe oblicze kosmopolitycznego reakcjonisty.

Jasne jest, że było to stanowisko antynarodowe, że służył interesom caratu, pełnił funkcję dywersanta, prowokatora, szpiega głębokiego wywiadu, agenta inspiracyjnego.

Czyż pracę agenta głębokiej inspiracji można pojąć głębiej? Towiański opanował Mickiewicza, który przecież miał „rząd dusz".

Towiańskiego nie określa to, że podawał się za Ducha Świętego, lecz jego funkcja społeczna, a była to funkcja — najdokładniej — obcego agenta.

Czy Judasz oddał pieniądze, czy ich nie brał wcale, był albo nie był na liście ambasady czy III oddziału Kancelarii Carskiej, nie to decy-

dowało o skutkach społecznych jego roboty, dla której był przez władze carskie popierany.

Nie na darmo za naszych czasów był proces Doboszyńskiego, na którym prokurator, świadkowie i obrońca udowodnili, że kierownictwo polityczne i wojskowe Polski przedwrześniowej było w dyspozycji niemieckiego wywiadu. Nie na darmo odbywają się dzisiaj w krajach demokracji ludowej procesy odsłaniające robotę szpiegowską. Nie na darmo w Polsce przedwrześniowej stworzono warunki polityczne, w których poloniści w Towiańskim widzieli Ducha Świętego, ale nie widzieli szpiega; do tego stopnia była czujność ich uśpiona.

I nie ma w tym żadnego wstydu, że nam postać zimnego, chytrego szarlatana, wpijającego w ludzi wzrok długo i bezmyślnie, wydaje się dziś obrzydliwa i zbrodnicza.

Kiedy odmawia jałmużny mówiąc: „Kto Boga w sercu nosi, ten od ludzi nic nie potrzebuje", kiedy zapowiada szczęśliwy powrót do kraju i nieszczęśliwi emigranci rzucają posady i sprzedają graty, kiedy uczy się jeździć konno, żeby upodobnić się do Napoleona, a wybierając konia mówi: „to koń, którego Napoleon dosiadał pod Austerlitz", kiedy łączy się ze skazanym na pięć lat za oszustwo i nadużycie zaufania, Vintrasem, fabrykantem cudów krwawiących hostii, który to proceder zorganizował sobie Vintras dla poratowania swej źle prosperującej papierni, kiedy popiera Naundorfa, podającego się za Ludwika XVII, kiedy głosi — wedle Brücknera — wcale postępowe zasady o podniesieniu kobiet, o życiu rodzinnym — a naprawdę organizuje instytucje wspólności kobiet, a pułkownikowi Kamieńskiemu wręcza grubą laskę mówiąc: „daję ci moc, nieposłuszną żonę do uległości tym kijem przyprowadzić" — kiedy rzekomo propagować ma zniesienie niewolnictwa ludu, a przyjmuje w poddaństwo Pilchowskiego, faktycznie zaś wszystkich towiańczyków — to nie ulega wątpliwości, że spóźnioną niestety, bo datującą się z 9 sierpnia 1949 r. charakterystykę Towiańskiego, przynosi dopiero to jedynie celowe i skuteczne ujęcie jego osoby, które znajdujemy w artykule 9 dekretu o ochronie wolności sumienia i wyznania:

> Kto, nadużywając wolności wyznania w celu osiągnięcia korzyści osobistej, majątkowej lub innej, wyzyskuje łatwowierność ludzką przez szerzenie fałszywych wiadomości lub wprowadza w błąd inne osoby przez oszukańcze lub podstępne czynności, podlega karze więzienia (od 6 miesięcy do 15 lat).

To oczywiście niezależnie od sprawy o szpiegostwo. Chociaż łączenie się z oszustami uprawiającymi szarlatanerię pozbawioną politycznych ambicji, tylko dla korzyści pieniężnej, idzie po linii metod prowokatorskich. Sprawa Vintrasa służyła wielkiej reklamiarskiej aferze Towiańskiego jako jeszcze jedna dymna zasłona. Bo w tego rodzaju aferach inspiracyjnych jest bardzo ważne, żeby z innej, obcej organizacji, z francuskiej organizacji Dzieła Miłosierdzia uzyskać potwierdzenie własnej działalności.

Francuskie Dzieło Miłosierdzia pełniło tę funkcję przy Kole Sprawy Bożej.

Tym sposobem kamuflowano polityczny cel Towiańskiego i osłaniano polityczny sens stosowanych przez niego metod: opanowanie emigracji poprzez głęboką inspirację polityczną.

To wszystko nie są rzeczy nowe. Napomykano o nich co nieco od czasów Boya. Ale obszernie i na gorąco pisali ci, których to dotykało do żywego, to znaczy ludzie Wielkiej Emigracji. Podnosili głos w gazetach lat 1841—1846. Są to rzeczy dotąd nieprzedrukowane.

Oto próbki.

Współcześni nie bagatelizowali sprawy i nie klajstrowali, nie zamazywali politycznego sensu imprezy Towiańskiego. Sprawę towiańszczyzny precyzowali i podawali do publicznej wiadomości.

„Demokrata Polski" w artykule „Towiański i jego sekta" pisał 9 czerwca 1842 r.

> „Kwestie polityczne i socjalne mogą emigrację różnić, mogą ją dzielić, ale nie porzuci ich dla czysto-abstrakcyjnych pojęć lub czczych rozpraw o duchu."
>
> „To wszystko jednak, co emigrację od dróg praktycznych odwodzi, jest szkodliwe i zgubne, bo obłąkiwa umysł i czyni go niezdatnym do posług dla kraju.
>
> Z drugiej strony przymioty, cechujące masę, nie koniecznie zdobią wszystkie jej indywidua. Życie tułacze jest przykre, oddalenie od kraju truje wszystkie chwile, tęsknota obsiadająca serce odbiera siły umysłu i niejeden w tych ciężkich próbach upada. Były to okoliczności do przewidzenia łatwe. Na nich car spekulację zakładał, kiedy po kilkakrotnie ofiarowywał amnestię — na nich spekuluje Towiański, kiedy się za posłannika bożego ogłosił."

W tym samym artykule „Demokrata Polski", cytował słowa Towiańskiego dla ostrzeżenia towiańczyków i pobudzenia czujności ogółu emigrantów:

> „Mówiono Towiańskiemu, iż nie brakuje nam zapału, energii, gotowości do poświęcenia się, ale bez czynów nie zbawimy Polski — cóż więc czynić wskazuje, jaką wytyka drogę? Aby mnie zrozumieć, odpowiedział, trzeba przede wszystkim wierzyć w Najświętszą Pannę Niepokalanego Poczęcia, ona jest Królową Polski i naszym politycznym wodzem — w jednym ręku trzyma Mikołaja, w drugim Polskę, — jeżeli w moc Najświętszej Panny uwierzymy, skruszy Mikołaja, a zbawi Polskę, itp."

Z przeciwnego krańca politycznego konserwatywny „Trzeci Maj" przestrzegał:

> „Aby ta wiara w proroka nie stała się tak zgubną, jak wiara w przepowiednią ratunku od aniołów, dana przez jakiegoś fanatyka, gdy Turcy z jednej strony dobywali stolicy Greków, a ci nie spieszyli za szlachetnym cesarzem na wały miasta, ale na moście czekali przepowiedzianego anioła. Cesarz zginął, miasto zostało zdobyte,

zwolennicy proroka skryli się w kościele św. Zofii i tam zostali przez Turków w pień wycięci."

„Po tym artykule wszyscy towiańczycy wrzeli gniewem na mnie — wspomina w swych pamiętnikach redaktor tego pisma, Budzyński — byli tacy, którzy odgrażali się zrzucić mnie z okna, jeśli gdzie przydybią."

Centrystyczny „Orzeł Biały" (20.X.1841) w negatywnym wobec Towiańskiego stanowisku konserwatystów widział nieszczerość, krętactwo i oportunizm:

„Tułactwo narodowe oddawna ocenia wartość widoków i intencji monarchistów... I oblicza smutne korzyści dla ojczystej sprawy z całej owej błotem egoizmu oszpeconej roboty. Nie poddawalibyśmy ją uwadze nawet czytelnika, gdyby wśród nieczystych, nienarodowych dążności nie objawiła się intryga nikczemna, sromotna, powołująca tułactwo do czujnej ostrożności. Koteria katolicka ogłosiła przez swoje proroki rychły powrót do ojczyzny — nakazuje skruchę i pobożne modły, obsiada kościoły... Ufamy w rozsądek, przywiązanie do sprawy i energię poczciwej Emigracji... „Trzeci Maj" zapytany przez swoje korespondenty, co znaczą rozsiewane nikczemne wieści i proroctwa, odpowiada dwuznacznie, prawi o objawieniu zmieszanym z szanownym dla nas imieniem, każe nawet takie przeczucia szanować. Dla nas wszelki prorok, choćby i Pan Mickiewicz otoczony całą czeredą podproroków, choćby z najlepszymi imionami, jest zgrają nędznej lub podejrzanej intrygi. Czyli komedia pokrywa się mistycyzmem katolickiego natchnienia, czyli służy za narzędzie podejrzanego wpływu nieprzyjaciół Polski. Szalbierstwem jest niegodnym, zasługującym na czujność."

Samego Towiańskiego starano się rozgryźć i rozpracować. „Orzeł Biały" w artykule „Andrzej Towiański i jego Biesiada" pisał 31.V.1843:

„W postępowaniu samego mistrza dostrzegamy zanadto zimnej rachuby, iżbyśmy uwierzyli w fanatyczne natchnienie; jednakże przypisujemy jeszcze jego baśnie nieszczęśliwemu, niepojętemu obłąkaniu. Inaczej musielibyśmy przypuścić, że on może być niższym duchem prowadzącym ciemną kolumnę."

„Towiański przybył do Paryża za paszportem moskiewskim" — informował „Noworocznik Demokratyczny" z 1843 r. W albumie demokratycznego „Pszonki" (1845) czytamy:

„Nie pierwszy raz zjawia się Towiański zagranicą ze swemi proroctwami; powiedzieliśmy już, że jeszcze w roku 1834 prorokował do spółki z żydem Albrechtem w Dreźnie, i są na to żyjące między nami dowody. Gut był tam także podonczas, jako doktor przy Sulistrowskim, siostrzeńcu Erywańskiego-Paszkiewicza. Moskale wiedzieli o wszystkich Towiańskiego robotach, to wszakże nie przeszkodziło mu wrócić z Drezna do Wilna, siedzieć tam przez lat kilka spokojnie, nawet jeździć do Petersburga, i znowu, za moskiewskim paszportem, wyjechać do Niemiec i Francyi następnie."

Tamże:

„Kto po trzynastu latach ostał się na swojej rejencji i pod opieką moskiewską, ten snać nie miał udziału w powstaniu. Kto po apostolstwach Wołowiczów, Zawiszów i Konarskich ssie dziś jeszcze krew biednych chłopów i przedaje ich na rekrutów Mikołajowi, ten się nie puszcza na emigrantkę kałamaszką, dla satysfakcji poetów."

„Rzecz z tego powodu taki obrót wzięła — pisał „Pszonka" — że Towiański jest po prostu dudami, które sprawił Albrecht, nastroił Mickiewicz, a gra na nich — nie wiadomo kto jeszcze."

„Dziennik Narodowy" 1.III.1845 r.:

„Towiański udał się do Emigracji, spodziewając się wśród niej znaleźć lepsze powodzenie swym naukom, bo liczył nie tylko na możność wolniejszego opowiadania w krajach wolności, ale także na rozerwanie emigrantów i znękane ich nieszczęściami umysły. Ten tylko cel naznaczamy chwilowo przybyciu Towiańskiego do Emigracji, nie wspominając już o jego misji jako agenta moskiewskiego, za którego jest prawie powszechnie uważany, przysłanego na jej zgubę, na zdyskredytowanie najznakomitszych jej członków, a następnie na przyprowadzenie wszystkich do stóp Mikołaja. Cóżkolwiekbądź, Towiański po przybyciu swem do Tułactwa, udawał się naprzód do ludzi mających jakiekolwiek wśród braci znaczenie, chcąc ich naprzód dostroić do swego tonu, ale odepchnięty, znalazł przyjęcie u Mickiewicza. Trzeba wiedzieć, że Towiański w swych nauczaniach starał się trafiać w słabą stronę tego, którego chciał nawrócić, łechtał w nich ducha złego, którego uważał za panującego w Kandydacie. Mickiewicza złym duchem była nieporównana duma, w tę Towiański uderzył, tę połechtał i wnet zrobił zeń ślepego swego zwolennika, a raczej asocjanta i współmistrza. Jakoż odtąd Mickiewicz nie gadał jak tonem rozkazującym, twierdzącym, wszystkowiednym; Towiańskiego doktrynę wziął w swą opiekę i swem imieniem zyskał dla niej wielu ludzi."

„Dziennik Narodowy" 3.VI.1843 r.:

„Nauka fatalizmu, czyszczenia ducha jest nauką znaną w dziejach ludzkości; u pogan miała licznych stronników. Nauka ta, jak nam dzieje ludzkie pokazują, prowadzi do stagnacji, nareszcie do upadku społeczeństwa: uderzający tego przykład mamy dziś na Wschodzie. Ważnym środkiem Towiańskiego wiary jest tak nazwane łechtanie ducha to jest przemawianie wprost do słabości człowieka: doktryna najniemoralniejsza, bo nie uznawa wolną wolę człowieka, robi go mimowolnym narzędziem obcego wpływu."

To łechtanie ducha potraktujmy rozwojowo. Zatem cytata na tę okoliczność:

„Zanim armie przystąpią do operacji, jest rzeczą niezbędną, żeby naród nieprzyjacielski był zdemoralizowany i ażeby był przygotowany psychicznie do bierności i kapitulacji — powiedział Hitler...

— Panika, konflikt, niezdecydowanie, to będą nasi sprzymierzeńcy. — Hitler uważał za stosowne wszędzie mieć swoich agentów... którzy będą usypiać czujność przeciwnika za pomocą podstępu i oszustwa... — Nasza strategia — pouczał Hitler — będzie polegać na tym, aby rozsadzić wroga od wewnątrz!

Ja już sam organizuję swoją służbę dyplomatyczną. Kazałem sporządzić kartotekę wszystkich wpływowych ludzi na świecie, co do których mamy otrzymać dane, czy biorą pieniądze, jak można ich podejść, lub w inny sposób: czy jest ambitny, jakie ma skłonności erotyczne, jaki typ kobiet mu się podoba, czy jest homoseksualistą. Właśnie ludziom wpływowym tej kategorii należy udzielać dużo uwagi, bo tylko takich można trzymać mocno na uwięzi. Trzeba sprawdzić, czy taki człowiek wpływowy nie ukrywa czegoś ze swojej przeszłości i czy nie podda się łatwo szantażowi. W ten sposób zabezpieczymy sobie swoje wpływy, zdobędziemy ludzi, zmusimy ich do pracy dla siebie i zabezpieczymy przesączanie ideologii do tych krajów. Potrzebne mi są sukcesy za pomocą korupcji klas rządzących. Owoce tej pracy będę zbierał w czasie przyszłej wojny, bo nikt inny nie zdobędzie się na tego rodzaju metodę."

Wysoki Sądzie, ludzie wpływowi są mu potrzebni! Jemu tzn. i Hitlerowi, i Towiańskiemu. Mowa obrończa adwokata Maślanki w procesie Doboszyńskiego staje się przemówieniem oskarżyciela publicznego w sprawie Towiańskiego.

A teraz jak współcześni zapatrywali się na skutki towianizmu: oceniając „Biesiadę" jako tkaninę tysiąca niedorzeczności bez porządku i logiki („Noworocznik Demokratyczny") stwierdzali niedwuznacznie, iż:

„słowa Mickiewicza w Kollegium Francuskim utraciły powagę, a rzucane tu i ówdzie niektóre prawdy giną wśród mnóstwa niedorzeczności; z tego to powodu musieliśmy zaniechać dalszego rozbioru prelekcji jako nieużytecznej pracy" —

konkludował „Demokrata Polski" 9.VI.1842, a satyryczny „Pszonka" zamieszczał regularnie parodie tych prelekcji.

„Ubolewać jedynie należy — pisał „Noworocznik Demokratyczny" — iż w liczbie uwiedzionych znajdują się ludzie, którzy zdolnościami swymi mogliby sprawie ojczystej niejedną oddać przysługę. Teraz są oni dla niej może na zawsze straceni."

„Jak długo jeszcze potrwa smutna farsa proroków?" — woła „Dziennik Narodowy".

Sprawa Pilchowskiego nie była dla współczesnych tajemnicą i nie przeszła bez echa.

Dowiedziano się o niej z listu otwartego, który ogłosił płk. Kamieński, ustępując z Koła Sprawy Bożej. Z obszernego listu zacytujemy następujące fragmenty.

Najpierw, jak to było w Kole:

„Po pierwszej Epoce, którą ja Polsko-Słowiańską nazwę, nastąpił drugi zakres — przyszli urzędnicy — zaczęto mówić, że liczba sług

Pańskich skompletowana, że już nikt z emigrantów do pierwszego koła przyjętym być nie może, że łaska Pańska zamknięta; co później zmodyfikowano, a nawet nie dotrzymano — stykanie się z drugimi zaczęto uważać za złe i szkodliwe dla ducha sprawy, zerwano zupełnie wszystkie związki z familią, znajomymi i krewnymi. — Jeżeli który zza koła śmiał przyjść do dawnego towarzysza i przyjaciela, a gdy najmniejszą pokazał wątpliwość, nie starano się go przekonać, lecz mu drzwi pokazywano — słowem odpychając i oddalając się od wszystkich, w sobie samych ścisnęliśmy się i zamknęli; nie własnym popędem, lecz prawie nakazem.

Nastąpiły owacje, całowania w nogi, wywyższania jednych braci, a zniżania i upokarzania drugich, nastąpiła hierarchia duchowa niczym nie poparta, która na przemiany zmieniała się tak, że przyszło do tego, iż potrzeba było powściągnąć gwałtownie i niepoprawnie wyzwalających się i kazano im ludźmi zostać.

Z tego wszystkiego urosła wieża Babelu i gdy nikt zrozumieć się nie mógł, wtedy nie mogąc iść w górę, spadliście aż do wielkiego monarchy Mikołaja i to w dzień 29 listopada, jakby naigrawanie się z krwi polskiej. — Jakże Adam śmie mówić, że go oszukać można, lecz Pilchowskiego, który w kole Mikołaja jest żywym reprezentantem, nikt nie oszuka, a ja przez Adama do koła wchodząc miałem najwyższą wiarę, że on nie może i nie powinien być oszukany."

I zakończenie:

„Zatem kompletnie zrywam i staję jawnie waszym przeciwnikiem i gdyby mi zginąć przyszło, to w przekonaniu, że nie dla jakiegoś Nabuhodonozora lub Baltazara, lecz dla Boga mojego i cierpiących mych braci Polaków. — Jeżeli szczerość jest waszym przewodnikiem, to pismo niniejsze, czyli manifest, braciom zakomunikować winni jesteście, może w nich odezwą się duchy polskie, które poczują straszne niebezpieczeństwo nad ich głowami i Polskę, matkę swą, podejściem zabić nie pozwolą.

Paryż, dnia 16 lutego 1845 r.

(podpisano) *Mikołaj Kamieński*
dawny dowódca legii litewsko-ruskiej
i pułku 7 hułanów."

„Nie wszystko w tem piśmie jest zrozumiałe — pisał „Dziennik Narodowy" ogłaszając list Kamieńskiego „do Urzędu" — bo pisane było do urzędu koła świadomego rzeczy i w języku mu właściwym; wszakże to, co zrozumieć możemy, jest haniebne i zgubne, dowodzące, że pogłoski, które niedawno się rozbiegły, nie były próżnemi. Co istotnie znaczyć mogą wyrazy: spadliście aż do wielkiego monarchy Mikołaja i to w dzień 29 listopada, jakby naigrywanie się z krwi polskiej? Co znaczy koło Mikołaja?"

A teraz reakcja na postępek Pilchowskiego.

Artykuł pod tytułem „Seweryn Pilchowski renegat" w „Dzienniku Narodowym" 5.IX.1846:

„Hańby Pilchowskiego nie będziem rozciągać do jego byłych wspólników..., bo wiemy, że wszędzie mogą się znaleźć nikczemnicy. Lecz jeżeli oddzielamy ich od Pilchowskiego w jego haniebnym kroku, to nie oddzielamy w naukach, które go do tego kroku doprowadziły. Pilchowski był konsekwentny, posunął naukę towiańszczyzny do ostatecznych jej wyników i jeżeli komu, to Mickiewiczowi najmniej można go potępiać. Utrzymywać przez tyle lat swoich uczniów w stanie nienaturalnym, w stanie odurzenia... wszczepiać w ich umysły niewolę, ślepe poddanie się... i dziwić się później, że jedni uczciwsi poszli do domu wariatów, a drudzy logiczniejsi poszli do schizmy i cara, płakać nad jednymi, a przeklinać drugich, trzeba było raczej przewidzieć podobne następstwa, usłuchać rad i próśb rodaków, wrócić do pojęć i uczuć wspólnych ogółowi Polaków i nie wieść opornie i pysznie tylu nieszczęśliwych do rozpaczy, obłąkania i spodlenia. ...Teraz, kiedy towiańszczyzna zdyskredytowana i odosobniona, obowiązkiem jest jej przywódców, którzy potępiają krok Pilchowskiego, strzec innych, aby nie poszli jego śladem. Obowiązek ten ciąży głównie na Mickiewiczu, bo on był główną przyczyną złego... Niech się przejmie uczuciami czysto narodowymi, które ożywiają ogół tułactwa, niech wezwie wszystkich swych współwyznawców do podobnego kroku, a mamy nadzieję, że ci, którzy mieli w nim ufność idąc do błędu, wrócą za nim z takąż ufnością do prawdy. Mickiewicz odzyska jeszcze wśród braci dawne znaczenie i zasłuży na większy aniżeli kiedy szacunek, bo okaże się prawdziwie wyższym uznając swój błąd, spowiadając się zeń publicznie i poprawiając się.

Co zaś do Towiańskiego, tego człowieka tajemniczego, z którym wiemy, że zerwał Mickiewicz i inni; on raz opuszczony od Mickiewicza zejdzie ze sceny do reszty i wróci na pewno skąd przybył zaszkodziwszy bez wątpienia Emigracji, ale nie mogąc wśród niej spełnić zupełnie swej misji. Zamiary jego czy tych, których on jest może i niewinnym narzędziem, rozbiły się o uczucia polskie i zdrowy sąd Tułactwa. („Dziennik Narodowy" 5.IX.1846).

„Ileż boleści uczułem w piersi mojej — ja — pisze w swych wspomnieniach Budzyński — który Seweryna Pilchowskiego z lat moich dziecięcych znałem, ceniłem jego duszę, jego poświęcenie. Przyszło mi przeklinać człowieka, który uderzył w silną stronę emigracji i przyszedł unicestwić ludzi cennych czy to inteligencją, czy to siłą charakteru. O Towiańskim w całej prasie współczesnej nie znajdziemy jednego odezwania, w którym dopatrzeć by się można było choćby pozorów zewnętrznych odznak szacunku. Pisano o nim jak wyżej. O adeptach zaś z lekceważeniem.

„Jednego dnia brat mój Wincenty spostrzegł go wychodzącego z Siegfriedem z cukierni, gdzie pił limonadę i jadł cukierki z ciasteczkami — „Powiedz mi — zapytał — czym wasz Mesjasz różni się od dawnych proroków? Święty Jan jadł szarańczę. Chrystus pił żółć, a on, jak widzę, woli limonadę i ciasteczka." — „Nie dziwcie się — odpowiedział Siegfried — tamten był Chrystus cierpiący, a ten triumfujący." Cóż było rozmawiać z takiemi półgłówkami."

Nie tylko satyryczny „Pszonka“ zamieszczał dowcipy ośmieszające Mickiewicza, bo w czasach towianizmu trudno było pisać o Mickiewiczu z czcią i miłością, do której Poeta dawniej dawał powody. Władysław Mickiewicz był podobno demokratycznych przekonań, ale znalazł się w kłopocie, bo prasa demokratyczna atakowała najsilniej Mickiewicza za towianizm.

W tej opresji Władysław zawiesił na kołku swe przekonania demokratyczne, bo przede wszystkim był brązownikiem.

Zataił głosy prasy, wspomniał tylko o kalumniach. Chcąc wykręcić się sianem, próbcwał wykręcić się „Ibusiem“. Natomiast brązując Mickiewicza, musiał brązować Towiańskiego, czyli tego, który Mickiewicza zdyskredytował i ośmieszył. Nie było innego wyjścia. Kominek w Muzeum Mickiewiczowskim dymił — Władysław palić musiał rękopisy i broszury — ale nie mógł spalić prasy emigracyjnej — i ta pozostała. Dla nikogo nie będzie niespodzianką, że Władysław jej nie przedrukował.

A kogoż dziwi, że komentarze do wydania sejmowego są stronnicze i wszystkie idealizujące Towiańskiego, że w podręczniku Literatury Polskiej M. Kriedl mówi o „kojącym i podnoszącym“ wpływie na Mickiewicza, stwierdza kategorycznie: Towiański „żył w absolutnej zgodzie ze swoimi zasadami“.

Brückner w Dziejach Kultury Polskiej: Towiański „zawsze na każdym stanowisku wzbudzał pełny szacunek i podziw swym postępowaniem, swym życiem, będącym jakby urzeczywistnieniem ewangelicznego ideału... Ci, którzy przyglądali się jego życiu, widzieli w nim jakąś świętość, i ta świętość widniała także z jego oblicza“ itd. itd...

Ignorancja czy zaślepienie?

Oczywiście, że nasi poloniści biorą świętoszka za świętego! Dla brązownika to jest to samo.

Przy tym, jeśli Mickiewicz całował po nogach Towiańskiego, to co mają robić syn Mickiewicza, brązownicy i profesorowie uniwersytetów?

Polski Tartuffe wpijał swe przenikające spojrzenia, jadł ciasteczka i popijał limonadą — to miało go upodobnić do Chrystusa triumfującego.

Pokazał się w niebieskich konserwach, w długim, brązowym surducie, skromnie zapiętym pod szyję, w palonych botfortach — wydał się podobny do Napoleona. Uwierzono w jego misję i zgodnym chórem naszych polonistów — uderzając w brąz — kanonizowano.

Adam Mauersberger

JEDNA ZIMA W DEBRECZYNIE

Hejże, Debreczynie,
Jakże cię nie wspomnieć!...
Chociaż w twoich murach
Wycierpiałem wiele,
Gdy nas czas rozdzielił,
Mile cię wspominam.

Chociaż nie papista
Miałem posty ścisłe.
Bogów mądre są rozkazy:
Człowiek zęby z kości ma,
Gdybym zęby miał z żelaza,
Zjadłaby je rdza.

Potem w środku zimy
Zgasły w piecu dymy,
Już nie miałem słomy,
Spałem w zimnym domu.
Płaszcz wkładając swój wytarty
Tak jak cygan mogłem rzec,
Gdy jak namiot rozpiął sieć:
„Oj, na dworze zimne wiatry."

Albo jak zabawnie
Wiersz pisałem dawniej
— Palce mi kostniały z chłodu,
Miałem ja na to sposoby:
Brałem wówczas faję małą,
Zapaloną już,
Na niej palce zaciskałem,
Aż ustąpił mróz.

Pocieszałem się w tej nędzy,
Że cierpiałem niegdyś więcej.

NIEUDANY PLAN

A gdy wracałem do domu,
Układałem plany,
Jak zawołam do mej matki
Dawno niewidzianej.

Co miłego najpierw powiem,
Jej niezmiennie bliski?
Gdy wyciągnie ramię — znane
Jeszcze od kołyski.

I mijały różne myśli,
Wciąż w piękniejszych lotach,
I zdawało się: czas stanął,
Chociaż wóz turkotał.

Wpadłem do mej izby małej...
Matka biegnie znowu...
U jej warg bez słów zawisłem
Jak na drzewie owoc.

Przełożył **Aleksander Rymkiewicz**

POETA I OBYWATEL

OBYWATEL: *(wchodzi)*
Znowu samotny i surowy
Leży — i znowu nic nie pisze.
POETA: Dodaj, że tęskni, ledwie dysze —
I będziesz portret miał gotowy.
OBYWATEL: Wspaniały portret! Szlachetności
W nim ani śladu — mówię szczerze! —
Tylko brzydota bezmyślności.
Leżeć potrafi byle zwierzę....
POETA: Więc cóż?
OBYWATEL: Nic, patrzeć nieprzyjemnie...
POETA: To sobie idź!
OBYWATEL: Bierz przykład ze mnie!
Wstydź się! Pogardę ledwie tłumię.
Wiesz, jakie czasy dziś nastały:
Kto obowiązek swój rozumie,
Kto jest rzetelny, szczery, śmiały,
Ten, kto ma siłę, celność, talent,
Nie może w takich czasach spać...
POETA: Przypuśćmy, że mam dość tych zalet,
Lecz muszę cel wszystkiego znać.
OBYWATEL: Ot, i powiedział! Słuchaj, stary,
Ty śpisz, a w tobie tkwi potęga.
Zbudź się i śmiało grom przywary!
POETA: Wiem: „Sięgaj tam, gdzie wzrok nie sięga!"
Jestem jak ranny ptak. Nie zgrzytaj
Więc na mnie. I tak jestem struty.
(bierze książkę)
Wybawca Puszkin! Masz — przeczytaj
I przestań robić mi wyrzuty!
OBYWATEL: *(czyta)*
„Nie dla ziemskiego upojenia,
Nie dla prywaty, nie dla bitwy,

Na świat przyszliśmy dla natchnienia,
Dla słodkich dźwięków i modlitwy."

POETA: *(z zachwytem)*
Niedoścignione, cudne dźwięki!
Przysięgam — gdybym Muzie mojej
Zwierzał najskrytsze niepokoje,
Nie wziąłbym pióra już do ręki!

OBYWATEL: Tak, piękne dźwięki... Istne cuda!
I jak zbawienna jest ich siła,
Jeżeli nawet senna nuda
Duszę poety opuściła.
Prawdziwa, czysta, złota ruda!
Dzielę twój zachwyt niepośledni,
Lecz twoje wiersze, ranny ptaku,
Bardziej przypadły mi do smaku.

POETA: Duch Pana Boga chwali wszelki!
Przestań, doprawdy! Nie pleć bredni!
To — według ciebie — jestem wielki?
Więc stawiasz nad Puszkina — mnie?
No, proszę, mów!

OBYWATEL: Co to, to nie!
Twe poemata są bezmyślne,
Twoje elegie niewymyślne,
Satyry bez ostrego końca,
Zamiast na ziemi, bujasz w niebie,
Twój wiersz jest nudny. Widać ciebie
Jak gwiazdę, kiedy nie ma słońca.
W posępnej nocy, której teraz
My dożywamy bojaźliwie,
W której zwierz najodważniej szperał,
A człowiek błąkał się lękliwie —
Tyś płomyk mocno w ręku ściskał,
Lecz niebu się nie podobało,
Żeby ludowi, choć nieśmiało
W mroku wskazując drogę — błyskał,
Drżał jak iskierka wędrująca,
Co ledwie świeci swym migotem.
Oby się już doczekał słońca
I zginął w jego blasku złotym!

Nie, tyś nie Puszkin. Lecz dopóki
Blask słońca przesłaniają kruki,
Spać z twym talentem — wielki wstyd.
A jeszcze większy w czas goryczy
Opiewać łąki, śpiew słowiczy
I z ukochaną złoty świt.

Burza się czai. Jeszcze tkliwie
Łagodna fala trąca ciszę,
I wietrzyk sennie, pieszczotliwie
Zaledwie żaglem zakołysze —
Statek posuwa się bez szmeru,
Spokojne serca pasażerów.
Wtem — grom. I żagiel się napina,
Burza rwie sprzęty, maszty zgina.
Nie pora teraz w szachy grać,
Albo beztroskie pieśni piać!
Psy, co instynktem przecie żyją,
Na burzę jak na alarm wyją.
Tak trzeba, i pies każdy wie to...
A ty co robiłbyś, poeto?
Czyżbyś w kajucie oddalonej
Dźwiękami liry swej natchnionej
Napełniał słodko leniów uszy
I gruchotanie burzy głuszył?

Choćbyś był wierny powołaniu,
Zali ojczyźnie przez to lżej,
Gdzie każdy się adorowaniu
Oddaje — lecz osoby swej?
Niewielu może się pochwalić:
Ojczyźnie mojej byłem wierny.
Boże im szczęść! A pozostali?
Życie ich puste, cel mizerny.
Jedni — złodzieje i szakale,
Inny znów — śpiewak salonowy,
A jeszcze inni... to mądrale,
Ich specjalnością są rozmowy.
Własną osobę osłaniając,

Siedzą bezczynnie, tak gadając:
„Za niepoprawne ludzi plemię
Nie chcemy ginąć my — rozumni.
Czekamy, aż ich czas odmieni,
Lecz nie szkodzimy. Z tego — dumni."
Wyniosły umysł chowa chytrze
Sobkowskie myśli, te najskrytsze,
Lecz, miły bracie, razem ze mną
Przejrzyj tę logikę nikczemną.
Niechaj cię losy tych nie zwodzą,
Co muszą w pustych słowach żyć,
Nie przystań do tych, co nie szkodzą,
Gdy możesz pożytecznym być!

Nie będzie dobry syn przed światem
Na matki obojętny jęki,
Nie będzie prawy obywatel
Znosił ojczyzny swojej męki.
O, nie masz większej dlań udręki...
Idź w ogień za ojczyzny chwałę,
Za miłość, przekonania stałe...
Idź i umieraj nienagannie!
Bo wiedz, że gmach najmocniej stoi,
Gdy krew serdeczna cegły spoi.
A ty, heroldzie prawd odwiecznych,
Poeto, wysłanniku nieba,
Nie myśl, że ten, co nie ma chleba,
Nie wart jest twoich pieśni wieszczych!
Nie myśl, że człowiek już nie kocha,
Że umarł Bóg w człowieczej duszy
I że, gdy pierś wierząca szlocha,
Głos egoizmu ją zagłuszy!
Obywatelem bądź i służ
Sztuce dla bliźnich szczęśliwości,
Swój geniusz na ołtarzu złóż
Ogarniającej świat miłości!
I jeśli wielkie masz talenty,
Na pokaz je wystawiaj śmiele:
Ich życiodajny blask i święty

Sam się objawi w twoim dziele.
Widzisz — najtwardszych zwał kamieni
Robotnik w złomków stos przemieni,
Spod jego młota ogień błyska,
Na wszystkie strony iskrą pryska!

POETA: Skończyłeś? Alem się wynudził!
Skąd nam do wyżyn — powiedz — takich!
Sięgnąłeś gdzieś pomiędzy ptaki.
By uczyć innych — trzeba ludzi
Z horyzontami, nie — spod klosza,
A my z duszyczką bojaźliwą,
Egoistyczną i leniwą —
Nie warci złamanego grosza.
Ażeby sławy nie uroczyć,
Boimy się z gościńca zboczyć.
Każdy utartą kroczy drogą.
Gdy się ześliznie jedną nogą,
Już po nim. Tak, tak jest, niestety.
O, jakiż nędzny los poety!
Szczęśliwy mój obywatelu,
Muzie nieznany od kołyski!
Tyś panem czynów swoich wszystkich,
Do szlachetnego zmierzasz celu,
I sukces wieńczy twoje kroki...

OBYWATEL: Lekceważące tak wyroki
Ferujesz o swym ideale.
Czy aż tak źle jest? Wielkie nieba!
Poetą można nie być wcale,
Lecz być obywatelem — trzeba.
A obywatel — cóż takiego?
Godny syn kraju ojczystego.
Ach, mamy kupców dość, kadetów,
Mieszczan i mdłych zjadaczy chleba,
Szlachty i nawet dość poetów —
Obywateli nam potrzeba!
Gdzież oni? Któż nie senatorem,
Czy bohaterem na wyraju,
Twórcą, przewódcą, plantatorem! —
Obywatelem kto w tym kraju?

Gdzie-żeś? Odezwij się! — Ni głosu.
Poeta też się nie odzywa —
Nie zna postaci swojej losu.
Lecz jeśli jest pomiędzy nami,
Gorzkimi się zalewa łzami...
I tyś go z sobą porównywał!
Gdy huczy burza piorunowa
I jasną wolność w chmury chowa,
Poeta krzyczy i przeklina,
A obywatel nasz bez słowa
Pod ciężkie jarzmo szyję zgina.
Kiedyż? Lecz milczę... Jak niewielu
Dotąd wśród nas obywateli
Wielkich znalazło się. A znasz ty
Los ich? — Uklęknij! Pomyśl trochę!
Śmieszne są twoich rojeń baszty,
A twoje pieśni jakże płoche!
Wyrok twój wielce jest krzywdzący —
Oto mój sprawiedliwy apel:
Szczęśliw poeta paplający,
Nieszczęsny niemy obywatel!

POETA: Nie trudno dobić na tym świecie,
Kogo dobijać nie należy.
Masz rację — łatwiej żyć poecie,
Bo w wolnym słowie ulga leży.
Czy piłem z jej krynicy czystej?
W czasach młodości mojej mglistej,
Posępnej, trudnej i leniwej,
A mówiąc nieco bardziej szumnie —
Gdy Pegaz mój był zapalczywy,
Nie róże-m wplatał, lecz pokrzywy
W kudły rozwianej jego grzywy
I Parnas porzucałem dumnie.
Bez wstrętu szedłem, bez bojaźni
Do więzień i na miejsca kaźni,
Poznałem szpital, sąd rzetelnie.
Nie powiem ci, co w nich widziałem...
Nienawidziłem, och, śmiertelnie!
I — klnę się — mocno też kochałem!

Pieśni mych usłyszawszy dźwięki,
Orzekli: — Czarne to kalumnie.
Więc wypuściłem pióro z ręki,
Nie chcąc za młodu spocząć w trumnie.
Cóż miałem robić? Nierozważnie
Zwalać na innych winę całą.
Gdyby choć walka rozgorzała,
Biłbym się chętnie i odważnie.
Lecz... ginąć, ginąć... no, i kiedy!
Ja miałem lat dwadzieścia wtedy!
Toń życia chytrze mnie wciągała,
Jak grzywa morskich fal spieniona,
Miłość łagodnie przyrzekała
Słodkie uśmiechy i ramiona —
Dusza cofnęła się strwożona...
Prawdy nie kryję więc przed światem,
Choćby to nie wiem jak bolało,
I schylam głowę z czcią, nieśmiało,
Gdy słyszę: Oto obywatel.
Daremnym gniewem i płomieniem
Jeszcze do dziś pierś moja płonie,
I jestem rad, gdy czyjeś dłonie
Cisną i trafią mnie kamieniem.
Czemuś naruszył, mój biedaku,
Powinność świętą dla człowieka?
Cierpiący syn chorego wieku,
Z życia daninę wziąłeś jaką?
Och, gdyby znali życie moje,
I moją miłość, i wzruszenia!...
Posępny, pełen rozdrażnienia,
Nad grobem pochylony stoję...

Ach, pożegnalną pieśnią była
Pieśń, w której szczera myśl oddycha!
Muza żałośnie twarz skłoniła
I poszła popłakując z cicha.
Rzadko się dziś spotyka ze mną:
Przychodzi czasem chyłkiem, blada,
I pieśni śpiewa mi płomienne,

Do ucha wzniosłe słowa gada.
Do miast i w słońcem step zalany
Wzywają jej natchnione słowa.
Lecz niechaj brzękną gdzieś kajdany,
Zaraz się przerażona chowa.
Ja wcale jej nie unikałem,
Lecz tak się bałem! Tak się bałem!
Gdy bliźni mój naprawdę tonął,
W falach rozpaczy, żalu, smutku,
Ja opiewałem po cichutku
Toń morską, falę jej spienioną.
Biczując drobnych złodziejaszków,
Żeby przysporzyć wielkim chwały,
Zuchwalstwem podziw u chłopaczków
Budziłem, ceniąc ich pochwały.
Dusza zgorzkniałym jadem przeszła,
Wszystkie już w niej wygasły chęci —
Muza na zawsze więc odeszła,
Goryczy pełna i niechęci.
Nic nie pomoże, już za późno —
Próżno wyciągam za nią ręce,
Na próżno wzywam ją, na próżno —
Nigdy jej nie zobaczę więcej.
Muzo, czy jako przypadkowy
Gość mojej duszy się zjawiłaś?
Czy dar poezji wyjątkowy
Na zawsze już jej przeznaczyłaś?
Któż wie? Niestety los surowy
Wszystko w głębokiej skrył ciemności.
W sam raz pasuje wian cierniowy
Do omroczniałej twej piękności.

Przełożył **Leopold Lewin**

ALEKSANDER BAUMGARTEN

LUDZIE NA TORACH

Każdy z nas, mieszkańców Śląska czy Zagłębia, chodząc w rozmaitych porach dnia i nocy ulicami miast czy osiedli, w lecie czy w zimie, podczas deszczu, w śniegu czy błocie, podczas upału czy w mroźne dni zimy, spotyka z pewnością wzdłuż torów tramwajowych niepozornych ludzi w roboczych kombinezonach, pracujących pojedynczo lub grupkami przy szynach. Jedni dziobią jak dzięcioły wzdłuż torów kilofami lub łomami. To brygada torowa sprawdza stan szyn. Inni schyleni nad blaszanymi pokrywami między torami badają uważnie ich stan lub otworzywszy potężnym kluczem stalowe wieko zapuszczają przemyślnie jakąś tynkturę w ich wnętrze: to dróżnicy obchodzą codziennie od 4-ej rano swoje odcinki torów, sprawdzają stan zwrotnic, nastawni i iglic i konserwują je mieszanką nafty i smarów. Jeszcze inni zapomniawszy o całym świecie wędrują po prostu piechotą wzdłuż szyn i wypatrują uszkodzeń. To obchodowi — zauważywszy na linii uszkodzenie toru, bruku czy pęknięcie szyny, meldują natychmiast o tym kierownikowi danego odcinka. Poza tym każdy z tramwajarzy ma obowiązek niezwłocznie zawiadomić kierownictwo o każdej zauważonej szkodzie.

*

Kierownik, Karol Kasperczyk, jest synem górnika, ma 43 lata i wspaniały, socjalistyczny zapał do pracy. W pracę swoją wgryza się zębami, wszystkiego pilnuje sam: robót drogowych, narad wytwórczych, planów i kursów. Nawet stan pogody mogący wpłynąć na postęp robót na którymś z odcinków drogowych jest przyczyną jego zmartwień. Ten twardy, sękaty człowiek ma zawsze uśmiechniętą twarz i na każdą wyłaniającą się trudność gotową receptę: „musi być — po to ja tu jestem". Kasperczyk z robotnika drogowego w ciągu kilku lat pracy doszedł do swego stanowiska. Z zawodu jest brukarzem—fachowcem. Gdy mówi o swym przedwojennym życiu — drogomistrza — zerka ku mnie co chwila, sprawdzając czy dobrze rozumiem trudności, z jakimi spotykał się w sanacyjnych czasach, on, robociarskie dziecko zaczynające swą karierę życiową na kopalni. Wytrwał tam jednak tylko do 17 roku życia. Później prysnął w świat, który go wyuczył zawodu brukarskiego.

O swoje prawa i o prawa towarzyszy brukarzy dobijał się zaciekle. Jeszcze teraz, gdy o tym mówi, mruży oczy, a jego twarde żylaste ręce mimo woli zaciskają się w pięści.

— Wicie — powiada, patrząc przez zmrużone powieki gdzieś ku onym czasom — tu, w Katowicach właśnie zorganizowałem w 1935 roku związek brukarzy. Tak nieraz zdrowo tłukliśmy się z przedsiębiorcami o poprawę bytu, o ich drański stosunek do ludzi.

— I jakeście z tego wychodzili?

— Ano cóż — szepce po chwili, obgryzając w zamyśleniu koniec nie zapalonego papierosa — ano cóż — powtarza — włóczyliśmy się po sądach a nawet mnie przymkli za to, że nagadałem głupstw panu inspektorowi Mańskiemu z Województwa.

— A później?

— Później? — przeciąga w zamyśleniu, przyglądając się ze zdziwieniem nie zapalonemu papierosowi w swych palcach — pracowałem jakiś czas w Szopienicach, no i... no i... wojna. Poszedłem jak inni na front. Po kilkunastu dniach dostałem się do niewoli. Ale w Jarosławiu zwiałem im — dodaje z błyskiem znanego mi uśmiechu w oczach. — Potem pracowałem pokątnie w Katowicach; tu mnie wymacał Arbeitsamt. Wzięli mnie, jak stałem, wprost z roboty na samochód. Parę dni później byłem już z 12 000 innych mężczyzn w Berlinie. Organisation Todt, znacie to? — spojrzał na moment w moją stronę.

— No, a potem to bywało bardzo różnie. Z Berlina przerzucono nas do południowej Francji, a później do Pas de Calais, na front. Na wybrzeżu wypatrzyłem dogodną chwilę i zdezerterowałem w nocy do Anglików, a 13.XI już byłem w Anglii instruktorem szkolenia polskich saperów.

— W 44-ym?

— Tak. W 44-ym. Niedługo jednak trwała moja instruktorka. Skomunikowałem się przez towarzyszy z robotnikami angielskimi w Glasgow, mieliśmy tam organizację — Polish Democrat— dostawaliśmy w mieście ulotki, które przemycaliśmy do naszych koszar i w nocy pakowaliśmy żołnierzom pod zagłówki. Na tym nas nakryli. Zdążyłem zwiać. W kraju byłem 9 stycznia 1946 roku, a 21 stycznia już zgłosiłem się do pracy w tramwajach, przy wozowni w Szopienicach.

— Dlaczego do tramwajów?

— No jakże — rozruszał się Kasperczyk po raz pierwszy—jakże, człowieku, tam były właśnie potrzebne roboty brukarskie, to jak — miałem stać i patrzeć, ja — brukarz? Fachowiec?

— Więc pracowaliście w Szopienicach?

— I jak jeszcze — roboty tam było do cholery. Ludzi, jak wiecie, po wojnie — mało. No, to rwaliśmy tę robotę nieźle. 1 maja wstąpiłem do partii, od razu też zorganizowaliśmy w piątkę przy zajezdni w Szopienicach podstawową komórkę partyjną. W piątkę, to jest z Geńskowem, Englertem, Świątkiem i Stalą. Nie wszyscy z nich żyją.

Zamyślił się przez chwilę.

— A wiecie, że teraz ta komórka liczy już 110 osób?—ożywił się znowu— Bardzo jestem z tego dumny. Pierwsi rozbudziliśmy tam współzawodnictwo wśród tramwajarzy.

Ten to właśnie Karol Kasperczyk (tytułu naczelnika używa niechętnie) wraz ze swym przyjacielem a moim drugim nauczycielem, Józefem Janochą, również przeniesionym na kierownicze stanowisko z robotnika towarowego, wtajemniczał mnie w abecadło tramwajarskie.

*

Przezroczysty, jakby oszklony dzień. Pierwsze dni marca. Chłodny wiatr ścina sypką łuską kałuże pod nogami, gdy pniemy się w górę ulicy Kościuszki wzdłuż szyn zbiegających się pod czubkiem horyzontu.

— Więc jak mówicie — zwracam się do Kasperczyka idącego obok — wydział wasz dzieli się na rejony?

— Na rejony, rejony na odcinki drogowe, przy których są stale dwie lub trzy brygady robocze — krzyczy mi do ucha czerwony z wysiłku Kasperczyk próbując bezskutecznie zasłonić podbródek kołnierzem mundurowego płaszcza.

Dogania nas Janocha. Dobiegając do nas domyśla się, o czym mówimy, choć wiatr zrywa nam słowa z ust.

— Rejon, to wozownie, warsztaty, torowiska i górna sieć — mówi Janocha lekko zdyszany. — Górna sieć nie należy do nas. Ma swą własną organizację, kierownictwo i kontrolę. Tak jak ruch czy warsztaty. Do nas należy konserwacja torów, oczyszczenie torowisk i zwrotnic.

— Więc — uzupełnia Kasperczyk — konserwacja torów (wymawiał: konzerwacja) wymiana szyn, naprawa i wymiana zwrotnic, czyszczenie torowisk, kontrola torów, nocna wymiana torów.

— Bo widzicie, zniszczone tory można wymieniać tylko w nocy. Między ostatnim wozem nocnym a pierwszym dziennym.

— Jest jeszcze odtrawianie torów, akcja śnieżna, usuwanie szkód górniczych, budowa nowych linii, praca w zajezdni, no i warsztaty zwrotnic — dodaje Janocha.

— Idziemy. Musimy złapać Jarosińskiego i Adamskiego przy pracy.

Maszerujemy pod górę. Janocha znów przed nami. Tylko mu te krótkie nogi migają.

Okazało się jednak, że Jarosiński pracuje znacznie dalej, niż przypuszczali Kasperczyk i Janocha. Gnamy tedy dalej wzdłuż parku Kościuszki. Zimno jak jasny gwint. Kasperczyk poczerwieniał jak rozgniewany indor. Mimo to informuje mnie gniewnie o organizacji pracy odcinka drogowego.

— Musicie wiedzieć, że odcinkiem kieruje zawiadowca (mistrz) przy pomocy podmistrza. Przy odcinku są stale dwie lub trzy brygady robotnicze, z brygadzistami na czele. W każdej brygadzie 10 — 15 ludzi. Do prac specjalnych dochodzą z warsztatów kowale i spawacze. Poza tym są jeszcze brukarze — zobaczycie ich przy robocie. Fajne chłopaki — oszczędzają nam dużo pieniędzy. Przerabiają zużytą kostkę granitową na nową, mniejszą, do powtórnego użytku, zamiast rozbijać ją na żwir do podsypki toru.

*

Dróżnicy — to tyraliera ludzi na torach. Przeważają w niej kobiety. Wczesnym świtem ruszają one na swój front długości kilku kilometrów, by go oczyścić z wieczornego i nocnego brudu, przepatrzeć szyny, skontrolować i naoliwić zwrotnice, sprawdzić, czy w którejś z nich nie pękła iglica (częsta i bardzo niebezpieczna dla ruchu tramwajowego awaria). Jedną z takich dróżniczek spotkałem przy pracy gdzieś koło 5-ej rano pod Szopienicami.

Było to o mroźnym, nieco zamglonym świcie. Maria Klucznik, zasłużona pracownica tramwajów, gdzie pracuje już od 31 lat, nie ma wiele czasu na rozmowy ze mną.

Pracy ma dużo, zżyła się z nią i nie zamieniłaby jej na inną. Gdy to mówi, bure jej oczy sprawdzają pilnie wszystkie szczeliny zwrotnicy, obok której stoimy. Tak, pracy ma dość, ale zna ją dobrze — i wie pan — patrzy mi prosto w oczy — przez te 31 lat jeszcze ani razu nie miałam raportu za jakieś niedopatrzenie.

Patrzę na nią, gdy ostrożnie nachyla się nad iglicą zwrotnicy, by wstrzyknąć między nią a sprężynę uszczelniającą odrobinę smaru z naftą. Dla Marii Klucznik sprawa jest jasna: zwrotnice czyści się po to, żeby iglice przylegały, bo może wóz wyskoczyć.

— Czyszczę ten maras, żeby był porządek. A w zimie trzeba zwrotnice solić, żeby śnieg stajał i spłynął do skrzynki odwadniającej.

— A dużo macie roboty?

— Roboty jest dość. Najważniejsza rzecz — to oblecieć zwrotnice, bo to,

wiecie, jak zegarki, bardzo czułe i delikatne. Łatwo przy nich o szkodę, albo jeszcze gorzej.

— A potem?

A potem Maria Klucznik czyści tory rowkowe. To niełatwa i bardzo żmudna praca, ponad 3 km maszerować wzdłuż szyn i wybierać z nich zbity i zapiekły brud. Tę pracę musi skończyć jak najwcześniej, bo potem zaczynają przejeżdżać samochody i przeszkadzają w pracy. Gdy odchodząc pytam ją, czy ktoś pomaga jej w pracy, jest niemal obrażona. Jak długo żyje, nikt jej nie pomagał, a teraz to by nawet na to nie pozwoliła. Na swoim odcinku jest przecież gospodynią. W gospodarstwie ma 6 zwrotnic i te 3 kilometry toru.

*

Adamski i Jarosiński. Nierozłączona para torowców; zawsze razem, obaj przodownicy pracy, obaj fachowcy w torowej robocie. Jarosiński suchy, wysoki, lekko zgarbiony, flegmatyk. Adamski, krępy, żwawy, niski. Gdy pracują razem, robota pali im się w rękach.

Adamski trzyma młotek przemyślnie, nieco ukośnie, ostrzem na chorej szynie. Jarosiński zgrabnym zamachem spoza ramienia wali drugim młotem, potężnym perlikiem, w tamten młot. Grzmoci coraz prędzej, spod palców Adamskiego pryskają skry.

— Niedobrze — mruczy z desaprobatą Janocha, kiwając przecząco głową.

— Niedobrze pracują? — pytam zdumiony.

— Niedobrze, że razem, trzeba ich rozbić — szepce mi do ucha Kasperczyk. — Oni obaj są na naszych kursach szkoleniowych. Obu ich typujemy na brygadzistów, zdolni, pracowici, pomysłowi — ale zawsze razem. A co będzie, gdy każdy z nich dostanie własną brygadę? Muszą się przyzwyczaić do samodzielnej pracy. Każdy będzie odpowiadał tylko za siebie.

Przystajemy tuż obok nich. Dzwoni nam w uszach od grzmotów perlików. Obchodzi ich tylko jedna sprawa — jak najszybciej usunąć odstający, żelazny pazur, na który może się nadziać wóz jadący ku miastu.

Janocha przykucnął obok Adamskiego. Przesuwają obaj palcami po odstającym, ostrym jak brzytwa, stalowym wiórze, obaj mają miny dzieci medytujących nad chorym kotem. Kasperczyk ustala z Jarosińskim termin wymiany. Da się ją przeprowadzić w dzień, w przerwach między jednym wozem a drugim. W rowku szyny odetną parę metrów wewnętrznej ścianki, pozostanie tylko dno, druga ścianka i grzbiet szyny, po którym ślizga się koło. Jakże tu będą mogły przejeżdżać wozy, zanim wymienią uszkodzoną szynę? Po bruku czy jak? Nie rozumiem.

— Przejedzie, przejedzie — uśmiecha się Kasperczyk. — Jeszcze jak — zobaczycie za chwilę. Przecież grzbiet szyny leży na bruku, więc nie ma obawy, parę dni wytrzyma. Aż do wymiany.

Słyszymy tuż nad uchem niecierpliwy dzwonek 16-tki, nadjeżdżającej od Brynowa i odskakujemy jak oparzeni od szyn. Wóz najechał na zagrożone miejsce. Schyleni w pół podglądamy z niepokojem podwozie tramwaju i koła. Zgrzytnęły trochę na pazurze i przeskoczyły. Oddycham z ulgą. Tramwaj zatrzymał się na przystanku, ale ponieważ nikt nie wysiadł, zadyndał wesoło i ruszył z fantazją w dół ku miastu.

— Widzicie, za parę dni, jakby dróżniczka i obchodzący nie sprawdzili, mógłby właśnie tu wyskoczyć z szyn — kiwa głową Janocha i nagle łapie za młotek.

— Wal! — krzyczy do Jarosińskiego — przykładając młotek do zaznaczonej już przedtem rysy na szynie.

Więc Jarosiński wali perlikiem aż miło. Pazur odstaje coraz bardziej, ale jeszcze trzyma. Patrzymy w dół ku miastu, już od placu Miarki wdrapuje się ku nam nowy wóż. — Psiakrew, nie ma czasu — prędzej!

— Prędzej! — wrzeszczy Janocha. — Widzę, jak bieleją mu palce, zaciśnięte wokół trzonu młota.

Perlik Jarosińskiego dudni jak maszyna. On sam zrzucił czapkę i co chwila zerkając w prawo ku miastu, grzmoci w młot Janochy.

— Prędzej! — krzyczy Kasperczyk i wciska mi w rękę swoją notatkę z ołówkiem, sam zaś odbiera Jarosińskiemu młot i grzmoci, grzmoci.

Adamski luzuje Janochę. Walą teraz krótko i gęsto, jak zagniewane dzięcioły. Pazur już, już wisi na włosku. Tramwaj ruszył z poprzedniego przystanku, za chwilę będzie przy nas. Janocha z Jarosińskim nie patrzą ku miastu, obaj z zaciśniętymi ustami nachylają się nad ruchomym kawałkiem szyny, podając się w kierunku jej ruchu, tak jak to robią bilardziści pochyleni nad stołem i „czarujący" bieg kuli lub kręglarze śledzący własny rzut. Tramwaj jest tuż, tuż. Nagle wszyscy czterej odrzucili narzędzia i chwycili szyny gołymi rękami.

Szarpnięcie w przód, jeszcze jedno w tył i jeszcze w przód — trzask.

Odłamana szyna prysła i została im w rękach, jednym gestem odrzucili ją w tył, obok toru. I znowu nachyliliśmy się, tym razem nad świeżą raną. Żółte pudło tramwaju zasłoniło nam na chwilę hałdy brynowskie, koła przeszły gładko. Kasperczyk spojrzał na mnie i cmoknął mrużąc swoje kocie oczy.

— No — i jak? Zdążyliśmy?

*

Ostatnie deszcze podmyły grunt pod linią brynowską i tor obsunął się na przestrzeni kilkuset metrów. Robota pilna i odpowiedzialna, dlatego wysłano tam właśnie Bartosza z jego brygadą konserwacyjną.

Idziemy raźno w trójkę w kierunku zagrożonego odcinka. Na odkrytej przestrzeni wiatr rozhulał się na dobre. Zimno, choć słońce przebłyskuje co chwila między chmurami. Ziemia jednak podsycha, to nieźle. Droga tym razem obniża się. Z daleka, z góry widzimy sylwetki krzątających się ludzi, rozsypane wzdłuż toru. To chyba brygada Bartosza? Tak, to oni.

Emila Bartosza poznałem właściwie już w zimie 48-go roku. Poznałem go w dziwnych, dla mnie osobiście żenujących warunkach. Bo zważ c e: 17 stopni zimna, noc (godzina 2-ga), ja w ciepłym mieszkaniu, w oknie, patrzę przez odchuchaną szybę na kilkunastu ludzi kręcących się jak szatany w jaskrawym świetle lamp elektrycznych, kaganków i sinawej poświacie acetylenu. Nie rozumiałem, co się dzieje, wiedziałem tylko, że jest mróz, noc a ci ludzie, tam w dole pracują gołymi rękami. Nie mogłem się oprzeć ciekawości. Otworzyłem okno i wtedy właśnie poznałem Bartosza. Dziś wiem, że jest brygadzistą bardzo lubianym przez swoich ludzi, dziś wiem, że jest przodownikiem pracy. W 48-ym roku tego nie wiedziałem — stałem w oknie, cóż mogłem rozumieć? Byłem tylko pisarzem stojącym w oknie.

Dzisiaj jestem przy nich. Chodzę wzdłuż torowiska i przyglądam się robocie. Pracują sprawnie, na tempo

obiety i mężczyźni. Wszędzie widać ospodarskie oko brygadzisty. Organiacja pracy wzorowa. Nie dziwię się, e brygada przoduje we współzawonictwie. W górnej części odcinka tor uż podwyższony, jeden z robotników prawdza tylko poziom. W środkowej artii właśnie podnoszą tor. Robota tu ż kipi. Jedni zsypują dolomit spomięzy szyn, skąd po osypaniu i podnieeniu toru o 15 centymetrów („cenów" — jak się tu powszechnie nazywa centymetry) — rozrzucą znowu drony kamień między podkłady. Nieco alej czterech robotników podnosi ręznymi lewarami szynę, inni już podypują dolomit pod podkłady. Gotowe! eszcze sprawdzić. Nadbiega Bartosz łodzieńczym krokiem, przyklęka, rzykłada wagę wodną, sprawdza poom. — Dobra! Można nakładać szyę. — Kobiety wyrównują podsypkę domitową. Tamci czterej z lewarami już a przedzie. Tutaj można już przykręać wkręty. Poniżej już gotowe do podiesienia szyny, które czyjeś pilne ręce wolniły przedtem z trzymających je krętów i śrub.

— Góra! Góra! — krzyczy Bartosz sam napiera lewarem ręcznym. Już ą obok niego Kasperczyk i Janocha.

— Wicie — przydałyby się katanki — mruczy Bartosz odwracając ku nam spoconą z wysiłku twarz. zapka zjechała mu na czub odsłaniając krótko przystrzyżoną, szpakowatą zuprynę.

— To takie lewarki z korbą — (to waga dla mnie) — jakie mają szoferzy o podnoszenia samochodów — powiada Janocha, składając się przymrużonym okiem do linii szyn, jak żołnierz o strzału. — Będą, będziecie je mieli, uż mamy kilkanaście w warsztatach. Kasperczyk notuje. Wiem, że lewari będą jutro w rękach robotników.

— Tamto siodło cholerne — podnosi się z kolan Janocha— tam najwięcej wywaliło. — Patrzę w kierunku jego wzroku, ale niczego specjalnego nie widzę. Szyny, jak wszędzie, może trochę nierówne.

— Właśnie tam jest 18 centów — podsypiemy. Nie ma strachu. — Bartosz jest spokojny. Odłożył lewar i krzyknął na ludzi.

— Uwaga na tor!

— U w a g a — poszło wołanie po torze, aż do robotnika sprawdzającego zakończony odcinek roboty. Nadjeżdżał wóz do miasta. Dojechał, przedzwonił, przejechał. Już wszyscy znów przy szynach. Motorniczy wychylił się z wozu i machnął ku nim ręką. Tramwajarze znają się wszyscy — sieciowcy z ruchowcami i z ludźmi torów.

26 lat na torach, nie pod dachem — to kawał czasu. Wygarbowały tego Bartosza śląskie pogody na rzemień, zahartowały mrozy i zadymki. Przyglądam mu się spod oka, gdy zwrócony surowym profilem ku wybitym szybkom z okna w poczekalni i wpatrzony w nadjeżdżający tramwaj opowiada mi o swym życiu.

Do pracy tramwajowej zgłosił się 3 sierpnia 1923 r. Przed wojną, tłumaczy mi, kiepsko gospodarowali w tramwajach, dyrekcja w połowie była niemiecka.

— Pamiętam, uważajcie se — klapnął mnie w kolano — na Żołędziu (Załężu) taka robota. Naprzód wpuścili kamień, a jedna kostka kosztowała złoty dwadzieścia. Potem, gdy chcieli założyć szyny, znów musieli ten kamień wyciep. ć! Ile szkody! — machnął z rezygnacją ręką. — Wtedy jednego razu przyjechał na odcinek dyrektor. Zobaczył, że palą, to rozwrzeszczał się do mnie i zakazał mi palić na szychcie a sam fajkę w zębach trzyma. — Tożem sobie zapamiętał, od tego dnia, jak mó-

wiłem, palić nie pozwalam, ale i sam papierosa do gęby podczas pracy nie włożę... Od 27 lat!

— O mnie wiedzom, żem surowy, ale tak musi być, porządek i już. Porządek utrzymuje świat. Nieraz, wicie, chcieli ode mnie różni tacy... kombinatorzy kupić szmelc żelazny, ale ja przy tym pracuję i na to nie pozwolę. Do czegobyśmy doszli, gdybyśmy wszyscy tak zaczęli robić? — Szmelcu nie dam nikomu, bo za szmelc dostajemy nowe szyny. No, to nie ma o czym mówić!

— Tak, tak — trudności jest dosyć, ale gdzie ich nie ma? Po to są, żeby człowiek z nimi walczył. — Ho, ho, życie nic za darmo nie da. A czasem jeszcze... — urywa nagle.

— To było w 47-ym, pod Mysłowicami, jakeśmy zużyte szyny pocięte przez spawaczów zrzucili po wymianie do wozów tramwajowych, tych, wicie, przy torowisku.

Kiwam głową, że wiem, że rozumiem.

— Nie szło tych szyn w nocy odwieźć; potem jeszcze dostałem rozkaz stróża odwołać. Mówię sobie rozkaz— jestem wojakiem. I te szyny zostały przez sobotę. Mówię ja: odwiźcie szyny. — „Nie ma czasu — dopiero w poniedziałek." Dobra.

— W poniedziałek przychodzę rano, patrzę — szyn nie ma. A było ich 16 kawałków po siedem i pół metra. Mało nie zwariowałem wtedy. Jakiś chłopak mi powiedział, że o świcie przyjechała furmanka, jacyś czterej ludzie załadowali na nią szyny i pojechali na Sosnowiec. No i poszło... fiut — gwiznął cienko i przenikliwie. — Co ja się wtedy namartwiłem.

Dowiaduję się kilka ciekawych szczegółów z jego życia. Podczas pierwszej wojny światowej znalazł się w Berlinie. Za lewicową działalność dwukrotnie groziło mu rozstrzelanie. Jako żołnierz był w „Spartacusie". Znał Karola Liebknechta i Różę Luksemburg.

— Podczas ostatniej wojny chcieli mnie hitlerowcy po wkroczeniu na Śląsk wysłać na front, ale uciekłem im do Bogumina. — Choć tam też bomby leciały.

— A po wojnie trafiliście od razu do tramwajów?

— A gdzieżby indziej? — spojrzał z urazą na mnie. — Ja tylko na tym się znam, to gdzie miałbym pracować? Teraz dopiero rozumiem siłę wolności. (Tak to właśnie określił). Niech diabli wezmą kapitalistów, znowu wojny szukają.

— I tak sobie jakoś tę moją brygadę uładziłem. Połowę ludzi mam partyjnych. Pomagają mi bardzo w pracy i organizują ją w brygadzie. Niedawno my sobie z nimi tak uradzili, według mojej kombinacji, żeby nam tak dali do roboty maszynki elektryczne do wiertania otworów w podkładach i do wkrętów. Zaoszczędziłoby to masę pieniędzy i czasu pracy. Przerzuciłoby się drucik na sieć, i motorek chodzi! Przy większych robotach by to szło aż hej! Na kolei mają już do tego motorki, ale benzynowe. A my przecież mamy prąd elektryczny pod ręką!

Wracaliśmy po naszej przydługiej rozmowie tramwajem do miasta. Jeszcze podczas jazdy, gdyśmy stali w dwójkę na platformie wozu, pokazywał mi, jak można słuchem wyczuć dobrą jazdę na dobrze leżących szynach. Powinno się tylko słyszeć sam regularny stuk i nic więcej. Żadnych wstrząsów czy podskoków. Bo jak tory źle leżą, to wóz może wyskoczyć z szyn, a zwłaszcza lżejsza, bo bez motoru, przyczepka. — 27 lat pracuję w tym, to lubię, „jak pociąg równo idzie" — powiada — nadsłuchując rytmu tramwaju. Pantograf huśtając się

w poprzek sieci pod wpływem wstrząsu wozu, może ją zerwać i nieszczęście gotowe. Zwrócił moją uwagę przy tym na to, że słupy sieciowe celowo ustawia się nie w prostej linii, lecz ukośnie, by linia górnej sieci biegła zygzakiem, tak że sieć ślizga się po całej niemal płaszczyźnie kabłąka, a nie wcina się w jednym miejscu w pantograf. W rezultacie bowiem sam kabłąk mógłby tę linię sieciową zerwać.

*

Do Katowic wracałem z Janochą. Gadaliśmy o tej nocnej pracy; trochę o nim samym. Dopiero wtedy dowiedziałem się o nim paru rzeczy. Janocha jest synem hutnika. Ma 33 lata. Przed wojną pracował jako murarz na budowach, zarabiając tylko w sezonie.

Podczas okupacji pracował jako ładowacz na kopalni w Zabrzu, potem w domu noclegowym, a jeszcze później jako murarz, najpierw na budowie, a następnie znów pod ziemią, właśnie w tej kopalni Mysłowice, obok której spędziliśmy tę noc.

Wreszcie okupanci dopadli go. Jako posiadacza 3-ej volkslisty wzięli go do wojska i posłali na front włoski. Nie nawojował się jednak długo; wszystkiego przez 19 i pół godziny. Został ciężko ranny. W czasie kiedy leżał w szpitalu, skończyła się wojna. Ze szpitala oficer łącznikowy Andersa zabrał go do obozu w Forli, skąd po dwóch tygodniach, mając dość tamtejszych stosunków, prysnął wraz z siedmiu kolegami piechotą do kraju. W Katowicach był już w sierpniu 45 roku. Od razu zgłosił się do pracy w hucie „Ferrum", ale musiał przerwać pracę po odnowieniu się rany. Do pracy w tramwajach zgłosił się równo przed czterema laty. Zaczął od oczyszczania terenu przed zajezdnią w parku Kościuszki. Widząc, że ruszyły już w tramwajach roboty budowlane, poprosił o przeniesienie go do tej roboty. Udało mu się.

— Zaczęliśmy wtedy — opowiada — w lecie budować kuźnię przy odcinku dla kowali i warsztatu zwrotnic w Szopienicach. Brakowało nam materiału. Rozbieraliśmy na własną rękę — ciągnie uśmiechając się z zażenowaniem — niemieckie mury ochronne przy budynkach podstacji. Czyściliśmy cegły i z nich zbudowaliśmy kuźnię.

Potem już dyrekcja zwróciła na niego uwagę, widząc jego wysiłki i zapał do pracy. Wykonuje coraz trudniejsze prace: podstacja w Bogucicach (z dokładnie wymierzonymi kanałami kablowymi, rampa do mycia samochodów w załęskim garażu. Sam pracował tu jako murarz i cieśla jednocześnie. Ówczesny technik, Wyspiański, zaproponował mu w imieniu Dyrekcji objęcie kierownictwa całej tramwajowej komórki budowlanej. — Wtedy dopiero zaczęło się — klepnął mnie po kolanie Janocha — cholera! Latałem po wszystkich rejonach, darłem te roboty pazurami. Organizowałem, kontrolowałem i obliczałem roboty. Bez przerwy na rozjazdach albo przy biurku. Normy, premie szacunkowe. Wszystkiego tego uczyłem się sam. Nie było komu pokazać.

— Ale jakoś wylazłem z tego — uśmiechnął się i nagle ziewnął potężnie, aż mu oczy zaszły łzami.

Zapytany o ostatni awans, zbył tę sprawę kilkoma zwykłymi słowami. Po prostu wysunęli go z początkiem ubiegłego roku na referenta przy Wydziale Drogowo - Budowlanym, a potem w sierpniu na referenta inwestycyjnego, gdzie pracuje do chwili obecnej.

Pracy społecznej ma dużo. W r. 46-ym wstąpił do PPR. W następnym roku wybrano go do Rady Zakładowej. W 48-ym został członkiem egze-

kutywy Komitetu Partii, a w wyborach do nowych władz partyjnych został wybrany pierwszym sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Administracji Śląskich Linii Komunikacyjnych.

Janocha ożywia się bardzo, gdy mówi o swej pracy społecznej. Oczywiście roboty ma coraz więcej. Ale to nic. Tor interesuje go bardzo, mimo że jest kalkulatorem. Wiem, że walczy zawsze o dwie rzeczy: o dobrą robotę i o jej dobre skalkulowanie, by pracownik przez nieumiejętną kalkulację nie był poszkodowany.

Wiem, że robotnicy lubią bardzo tego drobnego, żwawego jak fryga kalkulatora, przesiadującego częściej z nimi na torowiskach niż przy biurku. Wiem też, dlaczego go lubią, ale nie powiem mu tego. Nie powiem mu tym bardziej, że w tej chwili wysiada. Pójdzie teraz na dwie godzinki do domu przespać się, i znów do pracy.

— Bywajcie, Józek — potrząsam mocno jego dłonią. — Dziękuję wam!

Janocha jest jakby odrobinę stropiony. Oddala się, potem jeszcze z daleka, z ulicy woła: — Bywaj!

Aleksander Baumgarten

CZYŻBY NAD ENGELSEM?

I

Tytuł „Nad Engelsem" obowiązuje zarówno poetę jak krytyka i rzecz należy traktować z dużą dozą politycznej czujności.

Utwór Wygodzkiego, nawiązujący do pracy Engelsa „Der deutsche Bauernkrieg" („Niemiecka wojna chłopska"), składa się z ośmiu pieśni. Pierwsza pieśń, która wprowadza w nastrój poematu i stanowi wstęp, określający świat poetycki, jaki nam zamierza przedstawić autor, nosi tytuł „Pieśń wagabundów". Zaczyna się, jak następuje:

Tasowała nocka — rajfurka,
tasowała i kładła karty,
ptak nad nocą pogubił piórka
i usnęły zmęczone warty.
Tasowała, kładła pod kolor
na podróże, miłość i pieniądz
i łaziła suka Apollo
koło swoich kwilących szczeniąt.

Ech, ty suko, suko sobacza,
ech, rajfurko, usnęli zbrojni,
jutro pójdą od łopat i taczek
bohatersko ginąć na wojnie.
Rozdaj swe karty i kładź rajfuro,
śmierć nie łatwa w bitewnym polu.
I skowycze zbrojnym do wtóru
suka, którą wabią Apollo.

Ten zasadniczy ton jest utrzymany konsekwentnie przez całą „Pieśń wagabundów". Trzy główne elementy: zbrojnego lumpenproletariatu, nocki—rajfurki i suki Apollo wprowadzają nas w epokę wojen chłopskich w Niemczech. Ten lumpenproletariat zresztą, dla którego noc jest tak blisko związana z rajfurzeniem, jest jednocześnie nosicielem pewnej ideologii politycznej:

Teraz cicho, a jutro w rumor!
Piwa, miodu, upić się setnie,
upić się setnie, upić na umor!
Niech się budzą pany w ratuszu,
niech się budzą junkry i grafy,
kładź rajfurko i hulaj duszo
uwolniona z pęt paragrafów!

I dalej:

Kładź, rajfuro! Jeszcze i jeszcze,
zaraz werblem zbudzi nas dobosz,
my do wiosek z gromem obwieszczeń,
aż się sutanną nakryje proboszcz,
my do zamków, w sale i niech tam!

Następne dwie pieśni, „Pieśń rozgromionych" i „Pieśń króla żebraków", związane są z ruchem, na którego czele stał doświadczony konspirator i uczestnik poprzednich powstań chłopskich, Joss Fritz. Ruch ten przeszedł do historii pod nazwą „biedny Konrad" (der arme Konrad). „Pieśń rozgromionych" przedstawia — prawdopodobnie — końcową fazę tego ruchu, krwawo stłumionego przez feudałów, a więc rzecz dzieje się w drugiej połowie 1514 roku, przed pierwszym wystąpieniem Lutra, które przypada na rok 1517. Do tego szczegółu zresztą jeszcze wrócę.

W konstrukcji całego poematu rzecz wygląda tak, że resztki armii wagabundów, o której była mowa w pierw-

szej pieśni, poszły po rozgromieniu „ze Śląska i Warmii do Francji i do Niderlandów" i dalej „do Ostendy, do Brugii i do Amsterdamu". Po opisie bogactwa miast portowych i zdumienia wagabundów na widok tego przepychu, przedstawia Wygodzki w przedostatniej strofie pieśni stosunek pokonanych do „dziewki, co ciągnie za armią" i do psa — sądzić należy, że do wspomnianej już suki Apollo:

Wróć, dziewko, a my do Ostendy,
do Brugii i do Amsterdamu,
weź psa, bo rzucimy przybłędę
i nocą utopim za tamą.

Ostatnia strofa opisuje jakiś exodus — czy jego zamiar — rozbitków do krajów zamorskich. (Można się domyśleć, że chodzi o odkrytą niedawno Amerykę):

Na morza! Od ziemi i niech tam!
Niech burza i głębia pochłonie
biednego Konrada, jak Knechta,
co głowę swą podniósł i dłonie
na kraje dalekie, na brzegi,
na wody wzburzone i ciemne...

„Pieśń króla żebraków", trzecia z kolei na osiem pieśni poematu, stanowi wraz z poprzednimi więcej niż trzecią część utworu i podtrzymuje złudzenie czytelnika, jakoby trzon sił zbrojnych w wojnach chłopskich stanowili wagabundzi. Królowie żebraków rzeczywiście odegrali w ruchu „biednego Konrada" pewną rolę; Engels pisze o nich w następujący sposób: „Poza wtajemniczonymi emisariuszami, którzy w najróżniejszych przebraniach przebiegali kraj, wykorzystano do podrzędnych poleceń włóczęgów i żebraków. Z królami żebraków był Joss w bezpośrednim kontakcie i podporządkował sobie za ich pośrednictwem liczne zastępy wagabundów. Królowie żebraków odegrali w jego sprzysiężeniu znaczną rolę." Jaką mianowicie, o tym pisze Engels kilka wierszy dalej: „Mieli oni za wynagrodzeniem w wysokości 2 000 guldenów wywołać rozruchy jednocześnie w Alzacji, w Badenii i w Breisgau, stawić się co najmniej w 2 000 chłopa na dzień odpustu w Rosen i oddać się pod komendę Georga Schneidera, byłego kapitana landsknechtów, aby zająć miasto." Byli więc ci królowie żebraków zwykłymi najmitami, służącymi Jossowi za pieniądze. Tymczasem Wygodzki każe swemu królowi żebraków wygłaszać dysertację światopoglądową, przeciwstawiać swoją władzę — władzy królów z bożej łaski:

I tak w królestwie sprawiam urząd
przyziemny — dla nich jadowity,
bo nędzy sprawiedliwie służę,
po równi biednym, głodnym, zbitym.
Niech tamten ma nie z tego świata
władzę, niech go chwalą, sławią.
Jest nędza, która zdusi kata,
są ludzie, co się sami zbawią.

Ostatnie dwa wiersze — to już ideologia Tomasza Muenzera. Wygłasza ją człowiek, działający za pieniądze — i to w roku 1514, podczas gdy pierwsze publiczne wystąpienie Tomasza Muenzera, urodzonego w roku 1498, przypada na rok 1521.

Nie chcę tu bynajmniej atakować Wygodzkiego za anachronizmy; poeta ma do nich prawo, pod warunkiem, że zachowa prawdę o epoce; w tym wypadku chodzi mi szczególnie o prawdę układu klasowego poszczególnych warstw ludności w opisywanym okresie i ich rzeczywistej roli w historii walk klasowych.

Nieścisłości historycznych i chronologicznych popełnia zresztą Wygodzki sporo. Przytoczę tutaj dwa przykłady:

W „Pieśni rozgromionych", w opisie bogactwa Hagi, znajduje się następująca strofa:

A malarz utrwala na płótnie
kobietę, jej piersi, ich powab
i kwiaty, i wino, co w butli,
cygankę i wiedźmę, i sowę,
i chłopa, opoja i lenia,
i księcia w jedwabiach i futrach,
jak gdyby nie znali imienia
Maximiliana i Lutra.

Wspomniałem już, że ruch „biednego Konrada" — to rok 1514. Luter zaś wystąpił po raz pierwszy w roku 1517. Pomijając zresztą okoliczność, że rzeczywiście „nie znali" Lutra, warto by się było zapytać, czy, gdyby go znali, przestaliby pozować do obrazów? Nie bardzo rozumiem, o co Wygodzkiemu chodzi?

Drugi przykład: ta sama „Pieśń rozgromionych". Engels ani słowem nie wspomina o żadnym marszu rozbitych wojsk „biednego Konrada" na Hagę, Ostendę, Brugię i Amsterdam. Tym bardziej nie wspomina o zamiarach emigracji. Pisze jedynie, że „główni przywódcy „biednego Konrada" przedostali się szczęśliwie do Szwajcarii i po większej części wrócili stamtąd po paru latach pojedynczo do domu". Dodajmy, że wrócili po to, by brać udział w następnych walkach, a nie po to, aby, jak pisze Wygodzki, znaleźć na dnie morskim ziemskie noclegi (?) i ziemne spoczynki.

Tę uwagę w nawiasie notuję jedynie po to, aby wskazać, że Wygodzki w sprawach drugorzędnych nie bardzo trzyma się prawdy historycznej.

Jak się natomiast przedstawia sprawa istotna, sprawa roli wagabundów i lumpenproletariatu w wojnach chłopskich? Jak wynika z tekstu pierwszych trzech pieśni poematu, przyznaje Wygodzki wagabundom i żebrakom rolę pierwszorzędną, zarówno organizacyjną jak i ideologiczną.

Engels tę sprawę ujmuje w następujący sposób:

„Lumpenproletariat jest w ogóle zjawiskiem, które, mniej lub więcej rozwinięte, znajdujemy we wszystkich nieomal fazach rozwoju społeczeństwa. Ilość ludzi bez określonego zajęcia i stałego miejsca zamieszkania powiększyła się w tym czasie szczególnie na skutek rozpadu feudalizmu w społeczności, w której każde źródło zarobku było obwarowane niezliczoną ilością przywilejów. We wszystkich krajach na pewnym stopniu rozwoju była liczba tych wagabundów największa w pierwszej połowie szesnastego stulecia. Część tych włóczęgów wstąpiła w czasie wojen do różnych wojsk, część przebiegała, żebrząc, cały kraj, część wreszcie szukała zapewnienia swej egzystencji po miastach, najmując się za dniówkę lub rozglądając się za jakimkolwiek innym zajęciem. Wszystkie te trzy grupy odgrywały pewną rolę w czasie wojen chłopskich: pierwsza w oddziałach książęcych, którym ulegli chłopi, *druga w sprzysiężeniach i bandach chłopskich, gdzie jej demoralizujący wpływ ujawniał się każdej chwili* (podkreślenie moje — W. W.), trzecia w walkach poszczególnych odłamów mieszczaństwa."

Centralną postacią wojen chłopskich w Niemczech był niewątpliwie Tomasz Muenzer. Reprezentował on najbardziej rewolucyjny światopogląd filozoficzny, najbardziej rewolucyjne poglądy polityczno-społeczne; wszystkie jego myśli stanowią konsekwentną, awangardową całość. Główną jego zasługą jest dostrzeżenie w epoce rozkładającego się feudalizmu tych sił, które z kolei rozsadzą tworzący się na jego oczach nowy układ społeczny. Co więcej: potra-

fił przewidzieć nową moralność, która w sposób mniej lub więcej świadomy będzie kierowała tymi siłami w ich walce klasowej. Słowem, Tomasz Muenzer jest najwybitniejszym przedstawicielem postępowych sił swojej epoki, będąc równocześnie ich przywódcą politycznym i ideologiem.

Nazwisko Tomasza Muenzera pojawia się po raz pierwszy w czwartej pieśni poematu Wygodzkiego — w „Pieśni o emisariuszu". Jest w niej mowa o wysłanniku Muenzera, który w drodze odczytuje jego pismo do organizacji chłopskich. W piśmie tym znajdujemy wykład ideologii wielkiego rewolucjonisty. W poetyckiej interpretacji Wygodzkiego brzmi ona tak:

...że zakon dla wszystkich jednaki —
dla szlachty, kapłanów i chłopa
i wszystkich są pola i ptaki,
a kto to tłumaczy na opak?

Bo jeśli tu wszyscy są równi
i dziećmi jednego Boga,
to czemu z ambony i mównic
sprzedają tę prawdę tak drogo?
Im ziemia — nam głód i nierówność
w majątku i pracy, i zyskach,
im zboże z tych pól i pogłówne,
nam knut, a im prawo konfiskat.

Wciąż płacić na Rzym i biskupstwo
podatki i cła, dziesięcinę,
nam praca — a dla nich nieróbstwo
i klną się na mękę Syna.
A przegnać przekupniów ze świątyń,
jest prawo jednakie — lub wcale...

A oto fragment z pracy Engelsa, dotyczący ideologii Muenzera:

„Jego filozoficzno-teologiczna doktryna atakowała wszystkie istotne założenia nie tylko katolicyzmu, lecz w ogóle chrześcijaństwa. Nauczał pod formami chrześcijańskimi panteizmu, mającego osobliwą zbieżność ze współczesnymi spekulatywnymi poglądami na świat oraz zahaczającego miejscami o ateizm. Odrzucił biblię jako wyłączne i nieomylne objawienie. Właściwym, żywym źródłem objawienia jest rozum — objawienie, które istniało we wszystkich czasach i u wszystkich ludzi i które istnieje po dziś dzień. Bowiem Duch Święty, o którym biblia mówi, nie jest czymś, co istnieje poza nami. Duch Święty jest właśnie rozumem. Wiara jest niczym innym jak rozumem, który w człowieku stał się żywym i dlatego również i poganie mogą posiadać wiarę. Przez tę wiarę, przez rozum, który stał się żywy, staje się człowiek równy Bogu i zostaje zbawiony. Dlatego nie jest niebo niczym pozaświatowym — należy go szukać w tym życiu i zadaniem wiernych jest to niebo, to królestwo boże tutaj na ziemi zbudować. Podobnie, jak nie ma „po tamtej stronie" nieba, nie ma również i piekła albo potępienia. Nie ma także diabła — istnieją jedynie złe chęci i pożądliwości ludzkie. Chrystus był człowiekiem takim jak my, prorokiem i nauczycielem, Jego Wieczerza zaś zwykłą ucztą pamiątkową, gdzie spożywano chleb i wino bez mistycznych dodatków.

Jego polityczna doktryna łączyła się ściśle z tymi rewolucyjnymi poglądami i wybiegała równie daleko naprzód poza bezpośrednio dane stosunki społeczne i polityczne jak jego teologia poza współczesne przedstawienia. Tak jak filozofia religii Muenzera zahaczała o ateizm, tak jego program polityczny zahaczał o komunizm i niejedna nowoczesna sekta komunistyczna miała jeszcze w przeddzień rewolucji lutowej mniejszy teoretyczny arsenał niż zwolennicy Muenzera w szesnastym wieku. Program ten był w mniejszym stopniu zestawieniem żądań ówcze-

snych plebejuszy, co przede wszystkim genialną antycypacją warunków wyzwolenia zaledwie rozwijających się elementów proletariatu wśród tychże plebejuszy; program ten żądał natychmiastowego ustanowienia królestwa bożego — przepowiadanego przez proroków tysiącletniego królestwa na ziemi — przez sprowadzenie Kościoła do jego początkowej postaci i zniesienie wszystkich instytucji, które z tym rzekomo prachrześcijańskim, w rzeczywistości zaś bardzo nowym Kościołem były w sprzeczności. Przez królestwo boże rozumiał Muenzer układ społeczny, w którym nie istniałyby ani różnice klasowe, ani własność prywatna, ani samodzielna, obca wobec członków społeczeństwa siła państwowa. Wszystkie istniejące potęgi, o ile nie zechcą się podporządkować i przyłączyć do rewolucji, mają zostać obalone, praca i dobra gospodarcze mają być wspólne, zapanować ma powszechna równość. Miano założyć związek, aby tego dokonać — nie tylko w Niemczech, lecz w całym chrześcijańskim świecie; książęta i panowie mają zostać zaproszeni; jeśliby zaś nie chcieli się przyłączyć, miało owo sprzysiężenie przy pierwszej sposobności z bronią w ręku obalić ich albo zabić."

Wygodzki wybrał nieszczególną formę dla pokazania ideologii Muenzera. Ustalmy naprzód datę: jest rok 1525; w tym czasie, po wybuchu powstania w Szwabii, spieszy Muenzer do Turyngii, chce tu stworzyć ośrodek ogólnoniemieckiego powstania, zatrzymuje się w Muellhausen, gdzie obejmuje rządy miasta — w niedobrym zresztą taktycznie momencie — i usiłuje stworzyć pierwsze społeczeństwo, oparte na zasadach głoszonych przez siebie teorii politycznych. Wtedy właśnie rozpoczyna robotę propagandową na wielką skalę. Zacytujmy znów Engelsa:

„Rzucił się nawet z niesłychaną u niego zaciętością do pracy nad organizowaniem i rozszerzeniem ruchu: pisał listy i wysyłał posłańców i emisariuszy na wszystkie strony. Jego listy i kazania dyszą rewolucyjnym fanatyzmem, który nawet po jego poprzednich pismach wprawia w osłupienie. Naiwny, młodzieńczy humor rewolucyjnych pamfletów Muenzerowskich znikł całkowicie; spokojny, ukształtowany język myśliciela, który mu ongiś nie był obcy, nie występuje tu już więcej. Muenzer staje się bez reszty prorokiem rewolucji; podnieca nieustannie nienawiść przeciw klasom panującym, ożywia najdziksze namiętności i przemawia już tylko w gwałtownych zwrotach, które religijne delirium kładło w usta prorokom Starego Testamentu. *Widać ze stylu, który sobie teraz przyswoił, na jak niskim poziomie stali jego odbiorcy, na których musiał oddziaływać.*" (Podkreślenie moje — W. W.).

Wygodzki pokazał więc jedynie strzęp ideologii Muenzera — i to strzęp zniekształcony, przeznaczony dla najprymitywniejszych odbiorców. Aby pokazać prawdziwą, pełną ideologię Muenzera, trzeba się było pokusić o stworzenie portretu wielkiego rewolucjonisty. Już znacznie więcej z Muenzera jest w następującym dwuwierszu z „Pieśni króla żebraków":

Jest nędza, która zdusi kata,
są ludzie, co się sami zbawią.

W ustach włóczęgi jednak brzmi taki zwrot fałszywie.

Następna, piąta z kolei „Pieśń o zbrojeniach" jest na dobrą sprawę całkowicie niezrozumiała. Zdaje się, że Wygodzki usiłuje tu udowodnić rzecz następującą: chłopi przegrali wojnę dlatego, że rusznikarze — przybyli zresztą aż z Konstanzy — nie potrafili wyprodukować broni palnej, która by nada-

wała się do użytku; przeciwna strona natomiast była zaopatrzona w sprzęt znakomicie. Takie postawienie sprawy niczego oczywiście nie tłumaczy: jest całkowicie ahistoryczne.

„Pieśń o sprawiedliwości" jest w założeniu poetyckim sprawozdaniem z przewodu sądowego w Stockach w Badenii. Co to był za sąd? Engels pisze:

„Hans Mueller z Bulgenbach przebył w okresie od 30 września do połowy października (1524 r. — W. W.) drogę przez Szwarcwald do Urach i Furtwangen, powiększył swój oddział do 3 500 chłopa i zajął pozycję pod Ewatingen niedaleko Stuehlingen. Szlachta rozporządzała siłą zaledwie 1 700 ludzi, a i ci byli w rozsypce. W ten sytuacji musiała się zgodzić na rozejm, który został zawarty w obozie pod Ewatingen. Chłopom obiecano polubowną umowę, zawartą albo bezpośrednio między stronami, albo za pośrednictwem rozjemców oraz rozpatrzenie skarg przez sąd krajowy w Stockach. W wyniku rozejmu rozpuszczono zarówno oddziały szlachty jak i chłopów.

Chłopi uzgodnili między sobą treść 16 artykułów, których uznania przez sąd w Stockach miano się domagać. Żądania były bardzo umiarkowane: zniesienie prawa łowieckiego, frond, uciążliwych podatków i wszelkich przywilejów pańskich, ochronę przed samowolnym uwięzieniem i stronniczymi, samowolnie ferującymi wyroki sądami; ponadto żądań nie było.

Szlachta natomiast, skoro tylko chłopi się rozeszli, zażądała utrzymania wszelkich spornych ciężarów aż do orzeczenia sądowego. Chłopi się oczywiście na to nie zgodzili i odesłali panów do sądu. Spór rozgorzał na nowo...

...Z końcem grudnia rozpoczęła się rozprawa przed sądem krajowym w Stockach. Chłopi wnieśli protest przeciwko składowi sądu, w którym zasiadali jedynie przedstawiciele szlachty. Jako odpowiedź pokazano im nominację cesarską. Rozprawa przeciągała się, w międzyczasie zaś zbroiła się szlachta, książęta oraz związek szwabski..."

W pierwszym kwartale 1525 roku walki rozgorzały na nowo. Cała komedia z sądem była ze strony szlachty podstępem wojennym: chodziło o zyskanie na czasie, aby zorganizować i uzbroić nowe wojska. Formalnie jednak sąd w Stockach był sądem rozjemczym. Wygodzki natomiast stawia sprawę tak, że w Stockach *kogoś* sądzono:

I sądzą. Przybyli do Stockach
oprawcy i tęgie mieszczuchy,
klerycy pływają w obłokach (?),
jest pora nadmiernej posuchy, (?)
a mieszczka pobożna i gruba,
co liczy różańca krajcary,
już widzi, jak tną (?) Belzebuba
i słusznie wymierzą (?) mu kary.

Antychryst i szatan, i diabeł,
co sięgał po włości kościoła
wśród włóczni przechodził i szabel,
coś mówił, coś śpiewał, coś wołał....
O ziemi, że boska, dla wszystkich,
o nędzy, że chłopa jedynie.

I dalej:

...i karcą, i gromią szatana,
a świadek na krzyżu wciąż milczy...
I skakał cień kata po ścianach,
jak czarny, zgłodniały wilczur.

Po tej scenie przewodu sądowego z zastosowaniem tortur następuje zakończenie pieśni — wykonanie wyroku i wniosek polityczny:

Stos płonie i nie zmartwychwstanie, (?)
jest kara dla tego, co sięga
po ziemię i milczą mieszczanie
i kładę swą rękę na księgę,
gdzie Luter zapisał komentarz...
I słowem tym ostał się Kościół,
a potem zawieźli pod cmentarz
garść prochu z sczerniałą kością.

Oczywiście, wszystko to razem nic z sądem w Stockach nie ma wspólnego. Ta nieścisłość jednakże nie posiada dla oceny poematu decydującego znaczenia. Słowo „Stockach" zostało w całej pieśni tylko raz użyte i łatwo można je zastąpić nazwą innej miejscowości, w której istotnie sądzono, torturowano i skazywano na śmierć chłopów-rewolucjonistów. Skoro jednak przyjmiemy taką wersję tej pieśni, wyjdą na jaw inne jej braki. Rozpatrzmy je po kolei:

1) Wygodzki ani razu nie wspomina, kto mianowicie stoi przed sądem, dopuszczając możliwość całego wachlarza — od wagabundy do Tomasza Muenzera włącznie. Podsądny widziany jest oczyma „mieszczki pobożnej a grubej" i określony jako „antychryst i szatan i diabeł", którego głównym przewinieniem jest, że „sięgał po włości Kościoła". Osią konfliktu staje się więc spór o ziemię między buntownikami a Kościołem (obojętnie czy katolickim, czy powstającym właśnie protestanckim). Wiemy tymczasem, że tak nie było. Ogólnie rzecz biorąc, walka toczyła się między klasą chłopską a klasą feudalnych posiadaczy (w liczbie których znajdował się również i Kościół) o władzę polityczną (tak przynajmniej ujmował tę sprawę Muenzer) — a nie między stanem chłopskim a stanem duchownym o ziemię, mimo że nieuświadomiony uczestnik tych walk mógł tak właśnie rozumować. Te dwie sprawy — nieokreślenie podsądnego, a więc rewolucjonisty i cząstkowe, peryferyjne określenie przedmiotu walki — łączą się ściśle ze sobą. „Pieśń o sprawiedliwości" jest tym miejscem poematu, w którym załamuje się jego koncepcja; w pierwszych trzech pieśniach porte-parole poety jest lumpenproletariat, w szóstej zostaje skazana na śmierć jakaś bliżej nieokreślona postać. Wygodzki nie określił klasowo bohatera poematu, nie określił w sposób pełny i przekonywający przedmiotu i charakteru toczącej się walki.

2) Wygodzki określa skład sądu w następujący sposób:

Za stołem był burgraf i herzog,
mieszczanie i słynni juryści...

A więc przymierze feudałów i burżuazji, skierowane przeciwko rewolcie chłopskiej. To jest słuszne — takie przymierze rzeczywiście istniało i stanowiło jedno z centralnych zagadnień wojen chłopskich w Niemczech. Trzecim sprzymierzeńcem był Kościół. Celem jednak tego przymierza było jedynie zdławienie rewolucji, a nie, jak to sugeruje Wygodzki, obrona kościelnego stanu posiadania. Między kościołem a arystokracją istniały poważne sprzeczności; gdy niebezpieczeństwo przestało zagrażać, skończyła się idylla w obozie sprzymierzeńców. Oto, co pisze Engels na ten temat:

„Najbardziej ucierpiało na skutek wojen chłopskich *duchowieństwo*. (Podkr. Fr. E.) Klasztory jego i fundacje zostały spalone, kosztowności splądrowane, wywiezione zagranicę lub przetopione, zapasy roztrwonione. Było wszędzie zdolne do słabego jedynie oporu, jednocześnie zaś skierowała się przeciw niemu cała siła nienawiści mas ludowych. Inne stany, książęta, szlachta i mieszczaństwo, cieszyły się nawet potajemnie z nieszczęścia znienawidzonych prałatów. Wojny chłopskie spopularyzowały myśl o sekularyzacji dóbr

duchownych na rzecz chłopów, świeccy książęta zaś i częściowo miasta postarały się o to, aby sekularyzację na *swoją* korzyść przeprowadzić i w krótkim czasie posiadłości prałatów przeszły w ręce książąt i miast. Również i władza książąt Kościoła została nadwyrężona i świeccy panujący potrafili wyzyskać nienawiść mas ludowych również i w tym kierunku."

Założenie następnej „Pieśni o życiu pozagrobowym" jest następujące: powstania chłopskie poniosły klęskę; na skutek tej klęski wzmógł się ucisk klasy feudalnej, znikąd nie można się już spodziewać sprawiedliwości ani ratunku — pozostaje więc tylko pogodzić się z losem i czekać na nagrodę i sprawiedliwość w przyszłym życiu. Warto zacytować tutaj dwie strofy. Pierwszą, w której poeta przeprowadza porównanie między wolnością zwierząt a niewolą człowieka:

Przeleciał kruk czarny i pomknął
i ryba smyrnęła srebrzysta,
las w horyzoncie się domknął,
jak cicha, wieczorna przystań,
lecz my, ni to zwierz, ni to ptaki,
ni trzcina, co szumi powolna,
nam czarne zostały czworaki —
do śmierci ręka bezrolna.

— i drugą, kończącą pieśń, gdzie pokazany jest wymiar boskiej sprawiedliwości:

I dadzą z niebiańskich szkatuł,
bez maszczeń, spowiedzi i pytań,
szmat nieba za drobną opłatą,
most rajski bez cła i bez myta,
i wejdziem w noc jasną, bezmglistą
do raju na wieki, hosanna!
I z nami wejdzie Pan Chrystus,
jak światłość nad ziemią poranna.

Na całej tej pieśni mści się znowu niesprecyzowanie bohatera poematu. Wygodzki pragnie widocznie naprawić swój poprzedni błąd i wprowadza ex machina lud, najbiedniejsze masy chłopskie. Ale w płaczliwo-religianckim sosie. „Pieśń o życiu pozagrobowym" jest wielkim, potrójnym nieporozumieniem. Spróbujmy to wyjaśnić:

1) Wygodzki sugeruje tezę, że skutkiem wojen chłopskich było znaczne pogorszenie warunków egzystencji klasy chłopskiej w Niemczech — pogorszenie, które w wyniku przyniosło ze sobą jej całkowite załamanie moralne. Teza ta jest niesłuszna. Położenie ekonomiczne chłopstwa w Niemczech niewiele się po wojnach chłopskich zmieniło. Już przed wybuchem rewolucji ograniczał się udział chłopa w podziale dochodu społecznego do ilości produktów, wystarczającej zaledwie dla minimum egzystencji. Wyzysk był całkowity, pogłębienie go nie było możliwe. Warto nawiasem zaznaczyć, że późniejsze wojny religijne i wojna trzydziestoletnia znacznie dotkliwiej dała się chłopstwu we znaki, pustosząc całe połacie kraju.

2) Niesłuszna jest również teza, że klęska rewolucji chłopskiej pogłębiła w ludzie nastroje religijne i mistyczne. Przeciwnie, nie wolno nam zapominać, że ruch rewolucyjny przybierał częstokroć w tej epoce zewnętrzne formy walk religijnych, że cała argumentacja, którą stosował główny przywódca ruchu, Tomasz Muenzer, była argumentacją teologiczną; tylko w ten sposób można było podówczas trafić do przekonania mas ludowych. Cała walka przebiegała w najwyższym napięciu religijnym i mistycznym — klęska mogła przynieść ze sobą jedynie osłabienie tego napięcia, sprowadzając życie mas chłopskich do zagadnienia fizycznej wegetacji.

3) Na podstawie „Pieśni o życiu pozagrobowym" czytelnik może dojść do

przekonania, że jedynie słuszną postawą, jaką chłopstwo po poniesionej klęsce mogło przyjąć, było apatyczne poddanie się woli bożej. Jednocześnie zaś stawia Wygodzki znak równania między tragizmem a katastrofizmem. Wynika to stąd, iż poeta nie pokazał, że tragedia wojen chłopskich— i związana z tym osobista tragedia przywódców — polegała na wybuchu rewolucji w zbyt wczesnym historycznym okresie, że zwycięstwo na ówczesnym etapie rozwoju społeczeństwa było niemożliwe.

W ostatniej wreszcie „Pieśni o zamkniętym na wieży" Wygodzki znowu, podobnie jak w „Pieśni o sprawiedliwości", gubi bohatera poematu. Nie wiadomo, kto na wieży został zamknięty. „Człowiek" — powiada Wygodzki. Takie operowanie „integralnym humanizmem" pogłębia jednocześnie katastroficzny wydźwięk poematu, tak już silnie zaznaczony w pieśni poprzedniej. Oto dwie ostatnie strofy „Pieśni o zamkniętym na wieży", będące zarazem ostatnimi strofami całości:

Był człowiek przykuty i został —
szedł w głębie z kamieniem u nogi,
pod wieżą gdzieś tkwi w wodorostach,
nad cichym i miękkim bagnem,
a wiosną, gdy w dół spłyną lody,
wiatr pierwszy się zerwie i słaby,
siadają nad brzegiem u wody
szuwary i lilie, i żaby.
I mówią te zioła — o niczem,
i milczą kamienie — o wszystkiem,
jak w głębi odbite oblicze,
gdy woda potrąci je listkiem,
i tkwiłem nad wodą i łąką
i serca słuchałem — niepomny,
jak ktoś, kto się smuci rozłąką
i w życie odchodzi — bezdomny.

„I mówią te zioła — o niczem, i milczą kamienie — o wszystkiem." Poemat rozpoczyna się apoteozą wagabundów, kończy się beznadziejnym smutkiem bezdomnego.

U podstaw tego fałszywego obrazu tkwi, jak to już zostało powiedziane na wstępie, pewien błąd zasadniczy. Otóż ani razu w całym poemacie nie został pokazany lud niemiecki w walce, nie została podjęta choćby próba pokazania któregoś z przywódców rewolucji. Wygodzki wziął za punkt wyjścia zjawiska i zagadnienia peryferyjne.

1) W pierwszych trzech pieśniach, zazębiających się tematycznie z ruchem „biednego Konrada", o ruchu tym właściwie niewiele się mówi. Poeta mógł przecież wziąć na warsztat tak poetyckie i romantyczne wydarzenia, jak tajne nocne spotkania spiskowców na Górze Głodowej w Alzacji lub narady przywódców sprzysiężenia w domu szlifierza Kaspara Pregizera w Schorndorfie, mógł pokazać wodza powstania, Jossa Fritza; zamiast tego mamy w poemacie wagabundów i króla żebraków, zjawiska marginesowe, nietypowe, zaciemniające obraz epoki.

2) Tomasz Muenzer. Najwybitniejsza postać tego okresu została potraktowana powierzchownie, rola jej pomniejszona, tragedia wspaniałego rewolucyjnego żywota przemilczana — i to wszystko na rzecz nastroju, na rzecz secesyjnego obrazka, którym kończy się „Pieśń o emisariuszu":

... a Ten, co już skonał na krzyżu,
dłoń jedną oderwał z drzewa
i w niebo uderzył ze spiżu,
i spadła wieczorna ulewa.

3) Rola Kościoła i Lutra. Gdyby Wygodzki — po odpowiednim przeredagowaniu oczywiście — potraktował

„Pieśń o życiu pozagrobowym" satyrycznie lub ironicznie, gdyby z niej uczynił np. „Kazanie o życiu pozagrobowym", włożywszy ją w usta jakiegoś prawomyślnego proboszcza — trafiłby w sedno zagadnienia. Pokazałby w w skrócie właściwą rolę Kościoła w owym czasie. A tak — wysilił się na pokazanie rzeczy, których na dobrą sprawę nie było. To są znowu peryferie napięcia religijnego opisywanej epoki.

W sumie analiza politycznej zawartości poematu prowadzi do wniosku, że klasowy charakter wojen chłopskich w Niemczech nie został pokazany.

II

Koncepcje ideologiczne Wygodzkiego, jego postawa wobec faktów historycznych, zanalizowana w poprzednim rozdziale, nie mogły pozostać bez wpływu na kształt artystyczny dzieła. Poeta musiał szukać tych tradycji poetyki polskiej — i niepolskiej — których kontynuacja najlepiej by do przyjętej interpretacji wojen chłopskich przystawała. Należy przyznać, że w pierwszych trzech pieśniach poematu był Wygodzki konsekwentny. Uczyniwszy porte-parole swej myśli poetyckiej średniowieczny lumpenproletariat — wagabundów — zaczął szukać natchnienia w poezji tego środowiska i sięgnął do Villona, ściśle mówiąc do Boyowskiego przekładu „Wielkiego Testamentu", a więc do młodopolskiej interpretacji języka poetyckiego owej epoki. Najwyraźniej występuje to w „Pieśni króla żebraków", w takiej chociażby strofie:

Tamtego władza wielka, boża,
tak prawią o tym nam z ambony,
lecz jeśli zechce mocą noża
przepędzi starców, dzieci, żony,
i wsie wyrówna (?), miasta spali,
zakuje cały lud w okowy,
ku chwale Boga z dział wypali
i do swych włości wróci zdrowy.

Okazuje się przy tym, że wybór języka poetyckiego nastąpił w imię gustów historiozoficznych epoki, z której został zaczerpnięty. W okresie Młodej Polski panowała właśnie moda na średniowiecze, i to na średniowiecze, widziane przez pryzmat lumpenproletariatu. Znajdują tu ujście główne cechy literatury okresu imperializmu: oderwanie się od rzeczywistości — obojętne: współczesnej czy historycznej — oraz pogoń za egzotyką. Że taka postawa z wielką poezją autentycznego wagabundy Villona nic nie ma wspólnego, nie trzeba chyba dowodzić.

Na tym prostym stwierdzeniu nie wyczerpuje się jednak problem analizy formalnej poematu. Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Wygodzki nie trzyma się konsekwentnie, na przestrzeni całego poematu, raz obranego punktu wyjścia: w połowie mniej więcej utworu gubi swego bohatera — wagabundów — aby już potem nigdy go nie odnaleźć; poemat staje się w dalszych pieśniach coraz bardziej mglisty i zagmatwany. Równolegle z tym staje się coraz bardziej mglisty i zagmatwany język poetycki. Ta gmatwanina jest wszakże — z punktu widzenia analizy — logiczna i zrozumiała. O ile w pierwszych pieśniach poeta trzyma się dość wiernie obranej villonowsko-boyowskiej tradycji, o tyle w dalszych wikła się w secesję — i to w skali dość szerokiej: od niemieckiego ekspresjonizmu począwszy, a na schyłkowej pseudoludowości kończąc. Konglomerat tych poszczególnych elementów znajdujemy czasami na przestrzeni jednej strofy

Przytoczymy dla przykładu strofę z „Pieśni o sprawiedliwości":

Zerwali się gniewem szczerym
cny Wilhelm Strassburski a gruby
wraz z arcybiskupem z Trieru —
nie ludzie, lecz gniewne cheruby
i karcą, i gromią szatana,
a świadek na krzyżu wciąż milczy...
I skakał cień kata po ścianach,
jak czarny, zgłodniały wilczur.

„Cny Wilhelm Strassburski a gruby" to wyraźna remiscencja Kasprowiczowskiego Marchołta „grubego a sprośnego", „gniewne cheruby" — to typowy młodopolski żargon poetycki, cień kata zaś, przyrównany do zgłodniałego wilczura, należy zaliczyć do kategorii obrazowania ekspresjonistycznego. W „Pieśni o życiu pozagrobowym" w pierwszych dwóch strofach mamy całą litanię pseudoludowych, typowych dla secesyjnej i młodopolskiej poetyki inwokacji; litania ta jest przerwana w pewnym miejscu artystowską, wymyślną metaforą w guście symbolistów i postsymbolistów.

Ach ptaku, ptaszyno, ptaszysko,
kozico, ach, sarno, sarenko,
znów świtem wyjdziemy na rżysko,
by wrócić do Pana z podzięką,
ach, trzcino, ty trzcino nadwodna,
ptak czarny przeleciał i wolny,
wieś wraca do chałup, lecz głodna —
znów cierpi człowiek bezrolny.

Przeleciał kruk czarny i pomknął
i ryba smyrnęła srebrzysta,
las w horyzoncie się domknął,
jak cicha, wieczorna przystań...

W ślad za secesją stylistyczną mamy niedbałość obrazowania i języka. Na przykład:

1) ...lecz wiecznie ostanie się wieża,
i stąpa kamienna, i bada
dno rzeki, aż utkwi w głębinie.

(„Pieśń o zamkniętym na wieży")

2) Od Bodensee, aż po Szwajcarię
i od Szwarcwaldu po Turyngię
niesiemy flagę; *wiatr*, co zdarł ją,
kładł z rzadka palec swój na
cyngiel...
(„Pieśń o zbrojeniach")

Stąpająca wieża i wiatr, kładący palec na cyngiel (cyngiel czego?), to typowa metafora, której brak tertium comparationis.

Pozostaje jeszcze jedno zagadnienie, najważniejsze bodaj, bo podsumowujące całość zarówno analizy politycznej jak i analizy formalnej utworu — zagadnienie budowy poematu.

Poszczególne pieśni poematu są w gruncie rzeczy niezmiernie charakterystyczną dla poezji impresyjnej „wyliczanką" — obrazów, wydarzeń (najrzadziej zresztą), sytuacji statycznych. Ani jedna pieśń nie nosi w sobie cech dynamizmu, „dziania się", brak zupełnie elementów realistycznych, choć często wyliczane są różne realia lub osoby. Najwyraźniej występuje ta cecha w kilkakrotnie już cytowanej „Pieśni o życiu pozagrobowym". Całość poematu jest z kolei „wyliczeniem" poszczególnych pieśni, wyliczeniem po większej części znowu dowolnym, tak że fragmenty można niejednokrotnie bez żadnego uszczerbku dla całości poprzestawiać.

Skąd się to bierze?

Stąd, że poeta nie pokazał nam indywidualnego lub zbiorowego bohatera wojen chłopskich w Niemczech. Brak rzeczywistego bohatera, brak zniekształcający obraz ideologiczny poematu, zemścił się również na stronie for-

malnej, na budowie dzieła. Całość rozpada się na poszczególne pieśni, te zaś znowu na poszczególne obrazy i inne elementy.

*

W poemacie „Nad Engelsem" napotykamy, jak się wydaje, na najambitniejszy do tej pory zamiar poetycki Wygodzkiego. Wiele się na to złożyło, że zamiar ten urzeczywistnił się nie po myśli współczesnego polskiego czytelnika i wobec tego również nie po myśli autora. W tej próbie krytycznej nie chodzi jednak o to, aby poprzestać na wskazaniu błędów, popełnionych przez poetę; chodzi także o wykazanie jego możliwości. W przedwojennym okresie swojej twórczości napisał Wygodzki poemat historyczny o pancerniku „Potiomkin". Utwór ten stanowił w owym czasie jeden z nielicznych przykładów prawdziwie realistycznej poezji, o dramatycznym, pół epickim, pół lirycznym nurcie. W wielu powojennych wierszach Wygodzkiego widać, że możliwości jego z biegiem czasu wzrosły i nie dziwiłoby, gdyby poeta raz jeszcze spróbował swych sił w poemacie epickim. Być może, zrewidowawszy swój stosunek do swego ostatniego dzieła, ponownie sięgnie do okresu wojen chłopskich. Temat jest porywający, lektura pracy Engelsa pasjonuje.

Witold Wirpsza

P. S. Artykuł niniejszy jest nową redakcją referatu, wygłoszonego na sekcji poetyckiej ZLP. Do wprowadzenia zmian przyczyniły się rzeczowe uwagi kolegów zabierających głos w dyskusji.

WŚRÓD KSIĄŻEK

W. L. BRUDZIŃSKI: *Zatrute strzały*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1949; str. 120. *Zaczepki*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1949; str. 40.

ANTONI MARIANOWICZ: *Przejrzyste aluzje*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1949; str. 65. *Na wpół drwiąco*. Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 106.

Eklektyczny charakter satyry polskiej po wojnie wynikał z wielu powodów. Po pierwsze: tworzyli z początku przeważnie pisarze przedwojenni pochodzący z najrozmaitszych środowisk artystyczno-ideologicznych, którzy do powojennej twórczości przyszli z całym, że się tak wyrażę, bagażem zainteresowań twórczych — środkami artystycznymi, smaczkami i upodobaniami. Po drugie: zbyt szeroki front ideologiczno-artystyczny, który skupiał początkowo tych pisarzy, nie tylko nie mógł wpłynąć na twórczy rozwój satyry w nowych warunkach, ale hamował jej rozwój. Kontynuował to, z czym trzeba było się pożegnać. Zatem zwężając swoje możliwości twórcze bynajmniej nie mógł pomóc młodym satyrykom debiutującym po wojnie, lecz kierował ich twórczość na boczne ścieżki.

Kongres satyryków, który odbył się dwa lata temu, dyskusja, jaka się na nim rozwinęła, artykuły i felietony, które się potem ukazały, po raz pierwszy postawiły sprawę jasno. Po raz pierwszy zostały nakreślone cele i zadania satyry. Odtąd rozpoczęła się powolna ewolucja, zaczęły się ukazywać utwory inne, mniej eklektyczne, ideologicznie bardziej jednoznaczne. Powiadam, mniej eklektyczne, ponieważ jak dotychczas pomimo wszystko trudno jeszcze mówić o wielkim przełomie w satyrze. Niestety od tego czasu ukazało się stosunkowo mało książek satyrycznych, a niektóre z nich należałoby umieścić w pierwszym okresie ze względu na czas ich powstania oraz ich tematykę.

Te przedwstępne uwagi dotyczą w znacznej mierze dwu książek Brudzińskiego *„Zatrute strzały"* (Wybór humoresek) i *„Zaczepki"* (Fraszki). Książki te ukazały się w r. 1949 i stanowią właściwie wybór utworów, które ten autor napisał po wojnie. Ażeby odpowiednio je ustawić należy ponadto zwrócić uwagę na to, że Brudziński należy do młodego pokolenia pisarzy, że są to jego debiuty, a w stosunku do tego, co obecnie pisze, stanowią one właściwie do pewnego stopnia przezwyciężony już etap jego twórczości. Źle się stało, że opóźniająca się nasza krytyka nie omówiła dotychczas tych książek, co mogłoby pomóc w niejednym pisarzowi.

„Zatrute strzały" jest to zbiór krótkich utworów stojących na pograniczu felietonu i małej noweli (noweletki). Tematyka ich jest następująca: utwory typu obyczajowego, antybiurokratyczne jak np. „Śmierć donoska", „Historia o dyrektorach", „Odwaga" lub „Wzorowy urzędnik", utwory poświęcone drobnym sprawom, że się tak wyrażę, dolegliwościom życia codziennego jak np. „Dymnik", „Telefon", „Wojna domowa", „Burza", „Łańcuch". Do tych nowel ze względu na swoją tematykę zbliżone są: „O człowieku, któremu się śpieszyło", oraz „Opowieść pijaka". Treścią tych ostatnich nowel w pierwszym wypadku jest historia pechowego człowieka, który chciał być zbyt ostrożny, a uległ śmiertelnemu wypadkowi, a w drugim jest to monolog pijaka.

Poza tym w książce znajdujemy parę nowel zbudowanych na wzorach kryminalistycznej powieści amerykańskiej, doprowadzających umyślnie do sytuacji groteskowej np. „Upał", kilka nowel ośmieszających typ blagiera np. „Z pamiętnika Fredzia", kilka żartów w rodzaju „Straszliwa omyłka", no i żartobliwe aluzje na tematy międzynarodowe jak np. „Mr. Fixon ocenia" i „Pożyczka". Na tym właśnie z grubsza biorąc wyczerpałby się suchy rejestr nowel zaznaczonych dla przykładu i wyodrębnionych w grupy dla potrzeb analizy.

A teraz analizując te utwory spróbujmy odpowiedzieć sobie na następujące pytania. W jaki sposób autor organizuje i rozwija swoją tematykę, czemu tematyka tego rodzaju służy i co oznacza?

„Śmierć donoska" mówi czytelnikowi o nieznanym biurokracie, przy czym autor mówi o nim ogólnikowo, nie podając nawet skrótowych rysów charakteryzujących swego bohatera, ani nie ukonkretnia opisywanego środowiska. Z tego też powodu nowela sprawia wrażenie rozbudowanego żartu. „Historia o dyrektorach" jest jeszcze bardziej jaskrawym przykładem podobnego traktowania tematu. Po to, by wskazać na przerost dyrektorów (w nieznanej instytucji), autor odwraca sytuację. Tłum dyrektorów, pozostając nadal dyrektorami, każe staremu woźnemu, który pozostaje nadal woźnym, sprawować ku uciesze wszystkich funkcję dyrektora. Powstają wprawdzie powikłania groteskowe, ale zawieszone w próżni. „Odwaga" — to znowu nowela antybiurokratyczna, o urzędniku, który powiedział na zebraniu prawdę o swoim zwierzchniku, myśląc, że jest on zdymisjonowany. I w tym wypadku pomysłem jest w gruncie rzeczy kalambur, który autor rozbudowuje.

Utwory z grupy następnej różnią się wprawdzie od poprzedniej chociażby ze względu na swoją tematykę, ale nie są całkiem inne w swojej koncepcji. Tak więc w noweli „Dymnik" autor chcąc bardziej plastycznie namalować obraz źle odbudowanego mieszkania i perypetii lokatora z biurokratyczną komisją doprowadza realistyczny opis do sytuacji nadmiernie groteskowej. W tym wypadku jak i w noweli „Telefon" humor sytuacyjny osłabia postawiony problem. Rzecz staje się zabawna, śmieszna, ale jakaś niepełna. Natomiast w noweli „Łańcuch" Brudzińskiemu udało się pogłębić swój temat i niemalże go udramatyzować. Jest to jedna z najlepszych nowel w tej książce. Mówi ona o walce milicji z „łańcuszkowcami", z giełdziarzami. „Wojna domowa", a zwłaszcza „Burza", jakkolwiek zgrabnie napisane, trącą już myszką. W pierwszym wypadku mąż chce przeprosić się z żoną nadając przez radio jej ulubioną melodię, dzięki nieporozumieniu zaś powoduje dalszy etap owej „wojny domowej", w drugim wypadku żona chce porzucić swego męża, a nie porzuca, bo... w kuchni może się wygotować mleko. Błahość tematu, zwłaszcza w drugim wypadku, jest aż nadto widoczna.

Nie analizujmy każdej noweli z osobna, rozszerzyłoby to niepotrzebnie ramy recenzji. Opierając się na tych spostrzeżeniach spróbujmy omówić całość. Większość utworów dałaby się scharakteryzować w następujący sposób. Obserwujemy niemal całkowity brak wnikliwie podpatrzonych postaci, umieszczonych na tle konkretnego środowiska. Rozpływają się one w wymyślanych „humorystycznych" sytuacjach, stając się przez to niekiedy nierealne. Ponadto sprawiają one

wrażenie upostaciowanych tez, upostaciowanych kalamburów, ażeby tym lepiej można było z ich pomocą budować komiczne powikłania. Autor wychodzi często nie od zagadnienia ale od dowcipu, kalamburu, rozbudowując stopniowo sytuację, którą prawie zawsze z zasady odrealnia. Groteska połączona z humorem sytuacyjnym staje się w tym wypadku ulubionym „chwytem" pisarza. Co więcej, staje się niejako celem samym dla siebie. Nie dziw więc, że powstaje groźba zasklepienia się w czysto formalnych igraszkach. A przecież humoreski mówiąc o drobnych nawet na pozór faktach, pogłębione rzecz jasna intelektualnie, ideologicznie, muszą mówić przede wszystkim o człowieku, bardzo zindywidualizowanym i określonym klasowo. Wtedy satyra ukonkretnia się, uprawdopodabnia i nabiera ostrości. Wiemy wówczas, dlaczego autor pisze i w jakim celu. Wiemy, co podoba się, a co nie podoba się satyrykowi, jednym słowem wiemy, o co walczy i jakie stawia sobie cele. Wydaje mi się, że w tym wypadku chęć wydobycia przede wszystkim śmieszności na tle skomplikowanego splotu sytuacji zaciera ostrość widzenia satyrycznego, a tym samym nie pozwala na szersze rozwinięcie tematu. Nie chcę oczywiście posługiwać się metodą wpływologiczną, chociaż koneksje by się znalazły. Świadczy to również o pewnej peryferyjności tematów, o ukazywaniu małych schorzeń bez ukazywania istoty schorzenia i bez, że się tak wyrażę, podania lekarstw.

Jeśli zadajemy sobie pytanie, jakie jest ogólne wrażenie z czytania tej książki, należy stwierdzić, że pomimo przerostu humoru sytuacyjnego, całość czyta się lekko i z dużym zainteresowaniem. Brudziński, który z młodszej generacji satyryków należy do najzdolniejszych, umie konsekwentnie rozbudowywać swoje humorystyczne pomysły. Nie ma w tych nowelach nic z dziennikarskiego pośpiechu, co tak razi u bardzo wielu innych humorystów. Brudziński bezsprzecznie ma duże wyczucie humoru, ucząc się zaś odpowiedzialnej sztuki pisarskiej u mistrzów satyry potrafił już w dużej mierze zindywidualizować swoje pomysły, nadając im swoje własne piętno artystyczne. A to już jest dużo. Poza tym w następnych swoich pracach zamieszczonych przeważnie w „Szpilkach" poszedł dalej.

Druga książka Brudzińskiego „Zaczepki" stanowi wybór fraszek pisanych w ciągu kilku powojennych lat. Pierwsze trzy fraszki zawierają jak gdyby żartobliwe, satyryczne „credo" autora: „Bić albo nie być — oto jest pytanie". Albo: „Idziesz pisać satyry — nie zapomnij bicza". Jaki ma być ów bicz i przeciwko komu wymierzony, autor na razie nie podaje. Spróbujmy przeto znaleźć wyjaśnienie w tematyce całej książki. Ostrze fraszek wymierzone jest przeciwko imperialistom, „kulturtraegerom", fabrykantom amunicji, wszelakiego rodzaju malkontentom, plotkarzom, sklepikarzom, bogaczowi wiejskiemu — czyli że ustawione są wyraźnie politycznie. Poza tym są również fraszki chłoszczące przerosty biurokratyzmu, a obok tego fraszki sięgające do tzw. „wiecznej tematyki" — dobra i zła w charakterze ludzkim, wymierzone przeciwko „białogłowom", oraz ostre przycinki pod adresem pisarzy, krytyków i artystów.

Satyra Brudzińskiego bezsprzecznie jest antyimperialistyczna i antykołtuńska. A teraz odpowiemy sobie na następujące pytanie. Czego konkretnie domaga się pisarz? Niestety w tym wypadku nie zawsze można odpowiedzieć. Wydaje mi się, że przy całej niekiedy ostrości postawionych przez

satyryka zagadnień, ideologiczna ich linia nie jest wyraźnie zaznaczona. Biegnie ona od pozycji niemalże rewolucyjnej do nieokreślonego liberalizmu i z powrotem. I rzecz ciekawa, jeśli analizując poprzednią książkę Brudzińskiego wysnuwałem tezę, że autor organizuje swój temat wychodząc nie tyle z zagadnienia środowiska albo ludzkich postaci, ile raczej z żartu, pomysłu sytuacyjnego lub z kalamburu, to w tym wypadku prawie zawsze cała niemalże uwaga autora skupia się na kalamburze słownym. Na kalamburze słownym zbudowana jest przygniatająca większość fraszek, niemalże wszystkie. Co więcej, niekiedy wydaje się, że niektóre fraszki powstały nie dla podkreślenia jakiejś myśli, a dla stworzenia jeszcze jednego kalamburu. I to jest główny i zasadniczy błąd ideologiczno-artystyczny tej książki. Dla przykładu parę fraszek.

USA

Zapytajcie Murzynów
Niechaj wam powiedzą:
Gdy dolar dobrze stoi,
Oni wtedy siedzą.

A gdyby dolar źle stał, czy wtedy zmieniłaby się sytuacja Murzynów?

Albo fraszka:

VIETNAM:

„Przyjdą po wojnie formy rządów nowe"
— Vietnamczyk pewien przy zdaniu tym trwał —
„Wolność i równość, dałbym za to głowę!"
I dał.

Po pierwsze — ten sam kalamburowy chwyt, co poprzednio, a po drugie, z czego właściwie autor się śmieje?

Tam zaś, gdzie kalambur wynika z ogólnego politycznego założenia fraszki, powstają utwory bardzo celne jak np:

TOALETA ANGLII

Taka to zwykle Anglii toaleta bywa:
We wszystkim ręce macza, potem je umywa.

Stosunkowo mało jest fraszek opartych na doskonałej tradycji staropolskiej np. fraszki z akcją. Tam, gdzie Brudziński odchodzi od wydeptanej ścieżki „Cyrulikowo-Szpilkowej", a nawraca do dobrych narodowych tradycji, powstają utwory dowcipne i zwarte jak np. „Odpowiedź" albo „Posłuszna żona". Brak jest również fraszki dialogizowanej.

Fraszka satyryczna, to bodajże jedna z najtrudniejszych form literackich, w założeniu swoim precyzyjnie zwarta miniatura poetycka — posiada w literaturze polskiej głębokie tradycje. Dobrze świadczy o Brudzińskim, że sięgnął po tę właśnie formę, dobrze, że częstokroć umiejętnie potrafi się nią posługiwać, źle jednakże, że dał się nadmiernie zasugerować modnemu w ostatnich latach kalamburowi. Dlaczego tak się stało, jest jasne. Młody autor dał się zasugerować twórczości niektórych swoich starszych kolegów, no i uległ modzie, od której ostatecznie się wyzwala. Przez wiele lat kalambur masowo stosowany, był zmorą naszych pism satyrycznych, wyzierał z wielu uworów i większości rysunków, osłabiał zmysł satyryczny, naginał w stronę łatwizny i przesłaniał w gruncie rzeczy satyrykom drogę do trudniejszych,

mniej może efektywnych ale głębszych pod względem ideologiczno-artystycznych koncepcji twórczych.

Antoni Marianowicz, autor dwu tonów utworów satyrycznych „*Przejrzyste aluzje*" oraz „*Na wpół drwiąco*" należy również do pisarzy debiutujących po wojnie. „*Przejrzyste aluzje*" (wybór wierszy i fraszek) wydane zostały w r. 1949. W wierszu „*Prosty rachunek*" (z okazji 400-nego n-ru „Szpilek") autor pisze: Satyryk nie powinien być:

Ani przysięgłym opozycjonistą,
Przemian dziejowych smętnym
ignorantem,
Gotowym zawsze ofiarować wszystko
Byle być anty.

Dla nas satyra jest walką świadomą,
A choć jej nowy dzisiaj okres nastał,
Wróg jest wiadomy i cel jest wiadomy
Od lat piętnastu.

Sprawa satyry w ten sposób została postawiona dość jasno. Fakt, że utwór ten przeznaczony był na jubileusz satyrycznego pisma nabiera szczególnej wymowy. Jest tu wyraźne przeciwstawienie się wówczas jeszcze zapónionym mniemaniom, jakoby satyra mogła się rozwijać tylko w permanentnej opozycji do każdego ustroju, jak również zarysowuje się już kierunek dla satyry.

Utwory Marianowicza, trafne politycznie i na ogół biorąc słuszne, nie są jeszcze dostatecznie pogłębione, są zbyt ogólnikowe. W wielu wypadkach temat rozpływa się, zamiast się ukonkretnić. Wynika to być może z nazbyt jeszcze słabej umiejętności obserwacji codziennych przejawów życia. Nie dziw więc, że zawierają one nazbyt mało realiów. Poza tym utwory nie zawsze są pogłębione pod względem poetyckim. Autor widocznie bojąc się zaciemnienia ogólnych tez utworu, upraszcza środki poetyckie. Mogło by to wyjść na korzyść utworom i dodać im rzeczowości, gdyby, rzecz jasna, autor postępował konsekwentnie i celowo. Niestety uproszczona składnia i dobór słownictwa ściągają te utwory z zamierzonej drogi. Marianowicz niepotrzebnie używa nadmiernej ilości obcych słów, zaciemniając tym samym treść utworów. Adresatem często staje się wobec tego nie tyle szeroki czytelnik, ile właśnie jakaś elita. A szkoda, bo niektóre utwory świadczą o prawdziwych satyrycznych zdolnościach Marianowicza i warte są zapoznania się z nimi, że wymienię chociażby „Freedom" albo „Demokratyczna Europa".

Utwory zawarte w tej książce mieszczą się niemalże całkowicie w tradycji „Szpilek" oraz ich poprzedników od „Zielonego balonika" poczynając. Wiersze Marianowicza z wyjątkiem jednego „Demokratyczna Europa" są na ogół zwrotkowe o melodyjnej, przyśpiewnej rytmice. Są one regularnie rymowane, przy czym składany rym niekiedy podkreśla dowcip, względnie sam staje się niekiedy dowcipem. Nie nadużywając kalamburów słownych, Marianowicz stosuje je dość często. W czwartym rozdziale miałbym pewną pretensję do tzw. limeryków. Tego rodzaju igraszki artystyczne na tle utworów poważniejszych sprawiają przykre wrażenie. Nie rozumiem, po co kontynuować tę zabawę znudzonych do ostateczności dżentelmenów. I dla kogo właściwie tego rodzaju humor może być obecnie przeznaczony.

„Na wpół drwiąco" następna książka Marianowicza, wydana w rok później, rozwija poprzednio już zajęte

przez niego stanowisko. Mamy tu nowe motywy: odbudowa Warszawy i jej urok, walka z malkontentami i z biurokracją. Przesunięcie uwagi na te sprawy przynosi nowe wartości. Przede wszystkim przynosi to, czego brakowało w dużej mierze poprzednim utworom — realia, poza tym utwory te pogłębiły się również pod względem formy. Marianowicz szuka nowych wzorów. Wiersz wyraźnie zaczyna się zmieniać, nabiera liryzmu i soczystości.

Książka Marianowicza skupiająca w sobie doświadczenie twórcze wielu poprzedników pozwala również na postawienie ogólniejszego zagadnienia dotyczącego twórczości wielu satyryków, zwłaszcza z młodszej generacji pisarskiej. Dlaczego poeci, którzy potrafili pod względem ideologicznym pójść dalej od wielu kolegów, tak bardzo jeszcze kurczowo trzymają się schematów poetyckich swoich poprzedników. Dlaczego niemal obowiązująca poezję satyryczną jest forma czterowiersza, która u nas wywodzi się w znacznej mierze od „Skamandrytów" i z mieszczańskiego kabaretu. Znamy przecież doświadczenie Majakowskiego, który dynamiczną swoją treścią ideologiczną przełamał obowiązujące przed nim schematy. Znamy doświadczenia innych poetów, którzy nie koniecznie trzymają się zwrotki-kupletu.

Jan Śpiewak

M. MOROZOW: *Szekspir.* Tłumaczenie z rosyjskiego Władysława L. Everta, poprawione i uzupełnione przez Stanisława Helsztyńskiego; Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 222.

O Szekspirze powiedział Fryderyk Engels, że „niezależnie od tego, gdzie toczy się akcja w jego sztukach — we Włoszech, Francji, czy Nawarze — w gruncie rzeczy mamy zawsze przed sobą Merry England — ojczyznę jego dziwaków z ludu, jego mędrkujących nauczycieli, miłych, niezwykłych kobiet; widać z tego, że akcja odbywać się może jedynie pod angielskim niebem".

Wychodząc z tego założenia, Morozow, autor przytoczonej w nagłówku książki słusznie i przekonywająco przedstawia Szekspira jako twórcę, który czerpał przede wszystkim z angielskiej kultury ludowej. Oprócz realistycznego obrazu świata z tego samego źródła wywodzi się również Szekspirowska poezja. „Szekspir w latach dzieciństwa — pisze Morozow — słyszał opowieści o elfach i innych czarodziejskich istotach, zaludniających głusze starego lasu. W nim to w księżycowe noce zbytkował przebiegły Robin Goodfellow — Dobry Druh, zwodząc podróżnych i wyprowadzając ich na manowce; kochliwa Tytania, królowa elfów, wciągała błądzących podróżnych do swego pałacu uwitego z pachnących kwiatów. A na leśnych polanach tańczyły małe czarodziejskie istoty... Wszystko to odtworzył później Szekspir w swej komedii „Sen nocy letniej". W rydwanie z pustego orzecha pędziła Mab — władczyni snów ludzkich, o której opowiada Mercutio w sztuce Szekspira „Romeo i Julia". Wiele przeróżnych opowiadań słyszał w dzieciństwie Szekspir — a w nich straszliwe opowieści o ohydnych wiedźmach, przypominających te, które opisze później w „Makbecie".

Epoka Szekspira była „zorzą poranną kapitalizmu", jak ją nazwał Marks. Zawaliła się stara hierarchia społeczna feudalizmu z jego rzemieślniczymi gildiami, patriarchalnymi miastami i uniwersytetami podobnymi w swej strukturze organizacyjnej i światopoglądowej do klasztorów. Dzięki odkryciom geograficznym świat stał się od razu niemal dziesięć razy większy, powstają wielkie kompanie handlowe, kupcy i

korsarze ruszają na poszukiwanie złota nowych ziem do eksploatacji, przyczyniając się do wspaniałego rozwoju żeglarstwa i dając swymi zdobyczami towarowymi żer Giełdzie Londyńskiej założonej jeszcze w roku 1568. Straciwszy swą strukturę feudalną dwór wiejski i bogaty dom miejski przestały być samowystarczalne. Muszą odtąd na pokrycie swych potrzeb zakupywać artykuły gotowe. Wielcy posiadacze ziemscy zagarniają siłą pastwiska gminne dla zakrojonej na szeroką skalę hodowli owiec, a przemysł manufakturowy pracuje nie tylko na potrzeby krajowe, ale i na eksport. Zmienia się pojęcie „gentlemana", ongi związane wyłącznie z wysokim urodzeniem. Teraz „gentlemanem" zostaje każdy, kto zdołał nabić sobie kieszeń, szczęśliwie niesiony „tym wiatrem, który rozrzuca młodzież po świecie, aby szukała powodzenia w obcych krainach", jak to określa Petrucchio w Szekspirowskim „Poskromieniu złośnicy".

Wraz z rozszerzeniem się horyzontów geograficznych rozszerzyły się również horyzonty umysłowe. Młodzież wędruje od uniwersytetu do uniwersytetu po całej Europie, a okręty przywożą z wypraw kupieckich i łupieskich nie tylko złoto i cenne towary, ale i skarby sztuki włoskiej, włoski sonet i włoską nowelę, nieznane dotąd instrumenty muzyczne oraz włoską i francuską modę w zakresie strojów damskich i męskich. „Wieczne prawdy" średniowiecznej scholastyki załamują się ostatecznie pod wpływem działania nauki opartej na badaniu przyrody i na żywym doświadczeniu. Wystarczy przypomnieć, że Szekspirowi współczesny jest Franciszek Bacon ze swym postulatem naukowego badania rzeczywistości w przeciwieństwie do średniowieczno-arystotelesowskiej spekulacji.

„Przed zewnętrznym i wewnętrznym wzrokiem człowieka odsłonił się nieskończenie szerszy świat" — wypada znowu przytoczyć cytowane przez Morozowa zdanie Fryderyka Engelsa („Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa") o tej epoce. Dzięki rozszerzeniu się wiedzy o rzeczywistości powstały nowe, realistyczne kierunki w sztuce, dając również nowe, realistyczne spojrzenie na antyk grecko-rzymski. Należy oczywiście podkreślić, że entuzjazm dla antyku był skutkiem, a nie przyczyną ukształtowania się realistycznej świadomości. Świadomość ta przejawiła się w sposób różnorodny, dając z jednej strony wyrafinowe dzieła artystów arystokratyczno-dworskich, z drugiej zaś strony ludowy dramat Szekspira, stworzony nie dla wytwornych znawców, lecz dla przeciętnego widza, który tłumnie zapełniał widownię teatru „Pod Kulą Ziemską".

Właściwa renesansowi sceneria starożytnej mitologii i historii była u Szekspira elementem nieomal dekoracyjnym i daniną złożoną modzie czasu. Prawdziwy dramatyzm jego utworów wywodzi się z angielskiej ballady i pieśni ludowej, gdzie odzwierciedliły się myśli i uczucia od dawna nurtujące w angielskich masach ludowych i dzięki swej ludowości — powszechne. Szekspir bynajmniej nie był twórcą uczonym. Współcześni wypominali mu nieraz, że nawet z jego znajomością łaciny, stanowiącej podwalinę ówczesnego wykształcenia, sprawy nie stoją dobrze. Plutarcha i Owidiusza, którym zawdzięcza tyle motywów fabularnych, czytywał w angielskich przekładach. Był natomiast wyrazicielem i genialnym wcieleniem angielskiej tradycji ludowej, dzięki czemu jego twórczość ma w sobie niewyczerpane siły i przemawia jednakowo w każdej epoce.

Na przejrzystym i prostym rusztowaniu tej tezy Morozow przeprowadza

analizę wszystkich dzieł Szekspira, począwszy od jego młodzieńczych sonetów, a skończywszy na „Burzy", ostatniej sztuce autora „Romea i Julii". „Burzę" nazywa Morozow „hymnem wyśpiewanym ludzkości i oczekującemu ją szczęściu". Sztuka ta reasumuje — według Morozowa — podstawowy humanistyczny temat twórczości genialnego Stratfordczyka, wyrażający się w żądaniu, aby siły przyrody stały się pożyteczne dla człowieka i zostały oddane na służbę całej ludzkości. „To samo słońce — mówi w „Burzy" pasterka Perdita — które oświetla pałac, nie ukrywa swego oblicza przed naszą chatką". A Cerera śpiewa o nieprzeliczonych owocach tej ziemi, o śpichlerzach po brzegi wypełnionych plonem, o bujnych winnicach i o tym, że niedostatek i nędza znikną raz na zawsze z tego świata. „Jakże piękna jest ludzkość!" — woła Miranda, w której ucieleśnia się siła młodości. Szekspir bowiem — jak trafnie zauważa Morozow — „pokonuje tragiczne pojmowanie życiowych sprzeczności — mocą wiary w nadchodzące losy i w tryumf młodego pokolenia".

Całości dopełniają uwagi o przezwyciężonym już dawno zagadnieniu autorstwa sztuk Szekspira, które w różnych czasach na różny sposób kwestionowano, nie mogąc pogodzić się z faktem, aby jeden człowiek stworzył aż tyle tak wspaniałych dzieł, dalej uwagi o pierwszych wydaniach książkowych, o języku i stylu autora „Króla Leara" i o pośmiertnych losach, a raczej o pośmiertnej sławie jego twórczości. W tym ostatnim rozdziale Morozow omawia wypowiedzi klasyków rosyjskich o Szekspirze oraz popularność tegoż autora w Związku Radzieckim. Popularność ta, wynikająca jednocześnie z realistycznej prawdy i z poezji Szekspirowskiej spuścizny, sięgała aż tak daleko, że podczas ostatniej Wielkiej Wojny Narodowej brygady aktorskie z olbrzymim powodzeniem grały sztuki Szekspira w pierwszych liniach frontu.

W specjalnej uwadze „Od Redakcji" znajdujemy zwięzłe informacje na temat polskich przekładów Szekspira i podstawowych dzieł polskiej szekspirologii. Książkę zamykają dwie nader celowe i wygodne tablice chronologiczne: pierwsza dotyczy dat biograficznych, druga chronologii utworów. Tekst książki wykazuje w porównaniu z tablicą dotyczącą chronologii utworów kilka pomyłek, o których koniecznie należy pamiętać przy następnym wydaniu.

Książka Morozowa o Szekspirze jest żywym przykładem urzeczywistnionej tezy, że podręcznik — w danym wypadku monografia o typie podręcznika — może być pod względem kompozycji, ciekawości wykładu i lekkości stylu napisany jak utwór literacki, spełniając jednocześnie wszystkie wymagania ścisłości rzeczowej. Książkę Morozowa czyta się jak dobrą powieść, chociaż życiem Szekspira, po którym została tylko znikoma ilość dokumentów i świadectw, zajmuje się ona na niewielu kartach, natomiast pełna jest naświetleń historycznych i rozborów poszczególnych dzieł Szekspirowskich. Autor obywa się przy tym bez specjalnej terminologii naukowej, a raczej przeważnie tłumaczy tę terminologię na język potoczny. Osiąga w tej mierze świetne rezultaty, unikając chociażby tak groźnej w podobnych wypadkach rozwlekłości wykładu. Gruntowna znajomość przedmiotu i ambicja pisarska złożyły się na tę dobrą książkę. Szkoda tylko, że trudny zresztą przekład, chociaż znać na nim sumienność i duży wysiłek, wyszedł niby z jakiegoś stereotypu stylistycznego.

Adolf Sowiński

NA WIDNOKRĘGU

Zwalczanie wpływów naturalistycznych w literaturze radzieckiej

Formalizm i naturalizm — dwa pokrewne kierunki literackie zrodzone w okresie gnijącego kapitalizmu — mają wiele cech wspólnych. Naturalizm jest co prawda nieco starszy od formalizmu, jednak oba kierunki — pomimo zewnętrznych różnic — spełniają w społeczeństwie burżuazyjnym tę samą funkcję: wypaczają rzeczywistość i walczą wszelkimi środkami przeciw ideowej treści sztuki, przeciw prawdziwemu odtwarzaniu życia.

Ostatnio w czasopiśmie „Woprosy fiłosofii" (Nr 1/1950) ukazał się interesujący artykuł aspiranta Instytutu Filozoficznego Akademii Nauk ZSRR Burowa pt. „Estetyka marksistowsko-leninowska przeciw naturalizmowi w sztuce" („Marksistsko-leninskaja estietika protiw naturalizma w iskusstwie"), który stanowi próbę analizy naturalizmu.

Potrzebę zwalczania wpływów i przeżytków naturalizmu Burow uzasadnia tym, że niektórzy teoretycy sztuki i literatury oraz pisarze i artyści dotychczas jeszcze wręcz błędnie oceniają naturalizm. Wychodząc ze sprzecznych z estetyką marksistowsko-leninowską założeń, że naturalizm stanowi pewnego rodzaju odmianę realizmu, teoretycy ci usiłowali przemycić do estetyki radzieckiej schyłkowe, burżuazyjne „teorie" sztuki, wnieść do sztuki i literatury radzieckiej naturalistyczną manierę pisarską.

W dziedzinie literaturoznawstwa Burow krytykuje poglądy prof. Timofiejewa wyrażone w jego „Teorii literatury"*). Na str. 308 wspomnianego podręcznika (wyd. 1948) czytamy:

„Kiedy artysta dążąc do odtworzenia życia, nie ujmuje jego prawidłowości, lecz bez uogólnień szkicuje poszczególne jego przejawy — realizm traci cechy typowości, wyzbywa się swojej wartości artystycznej, dewaloryzuje się. Taki uproszczony, nie pełnowartościowy realizm nazywa się naturalizmem."

Przeciwko podobnej definicji naturalizmu, przeciw wywodzeniu go z realizmu występuje Burow:

„Takie utożsamianie naturalizmu z realizmem jest podwójnie szkodliwe: nie tylko rozgrzesza naturalizm, lecz także pomniejsza realizm" (cyt. art. „Woprosy fiłosofii" nr 1/1950).

Naturalizm jako kierunek sztuki powstał we Francji w drugiej połowie XIX w. i był wyrazem rozpoczynającego się upadku kultury burżuazyjnej. Zadaniem ideologii burżuazynej w tym okresie była walka z rozbudzonym rewolucyjnie proletariatem. Ideologia i estetyka burżuazyjna usiłowały tego dokonać w drodze wypaczania rzeczywistości, zacierania obiektywnych tendencji rozwojowych społeczeństwa kapitalistycznego, prowadzących do rewolucji proletariackiej i likwidacji kapitalizmu.

---

*) Szczegółowe omówienie „Teorii literatury" prof. Timofiejewa zamieściliśmy w nr 11 „Twórczości" (r. 1950) w artykule: „Zagadnienia radzieckiej teorii literatury".

Rozpoczęła się ofensywa przeciw materializmowi w filozofii i realizmowi w estetyce. Idealizm i antyrealizm nie zawsze jednak występują z otwartą przyłbicą: niekiedy panującej klasie burżuazyjnej wygodniej jest tworzyć w swojej nadbudowie systemy filozoficzne i estetyczne, podszywając się pod hasła materializmu i realizmu. Formami takiego zamaskowania burżuazyjnego, idealistycznego oblicza są: w filozofii — pozytywizm, w estetyce — naturalizm.

Pozytywizm i naturalizm są ze sobą ściśle powiązane: naturalizm bowiem wyrósł z pozytywizmu. Teoretyk naturalizmu, Hipolit Taine, nie stworzył oryginalnego systemu, lecz właściwie usystematyzował poglądy pozytywistyczne w estetyce. Nie jest rzeczą przypadku, że Taine był reakcjonistą i wrogiem rewolucji; również twórca filozoficznych podstaw pozytywizmu, August Comte, nie krył się ze swoimi tendencjami antyrewolucyjnymi.

Z pozytywistycznej filozofii i estetyki wyrósł naturalizm. W spadku po estetyce pozytywistycznej naturalizm odziedziczył przesiąknięte biologizmem poglądy na społeczeństwo i człowieka. Biologizm jest formą ucieczki artysty-dekadenta od zagadnień życia społecznego; stanowi też przynętę dla czytelnika, albowiem stwarza pseudonaukową podstawę dla antyhumanistycznej propagandy.

W omawianym artykule Burow w ten sposób charakteryzuje cechy naturalizmu:

„Najczęściej uważa się za najbardziej charakterystyczne dla naturalizmu dwie cechy artystycznego odtworzenia: uwypuklenie szczegółów (wyrazista indywidualizacja postaci) oraz dokumentarność tj. zgodność z faktami, „fotograficzność" w przedstawieniu rzeczywistości" (cyt. j.w.).

Koryfeusze naturalizmu w literaturze francuskiej, bracia Goncourt, w swych powieściach i sztukach odtwarzali z przesadną skrupulatnością swoje obserwacje kliniczne. Niemieccy naturaliści, Schlaf i Holz, dokładnie opisali i zanalizowali wszystkie wrażenia słuchowe i wzrokowe dwóch studentów czuwających w nocy przy łożu umierającego towarzysza. Naturalista francuski Huysmans oświadczył, że gotów jest opisać szczegółowo na 300 stronicach tak „ważne" wydarzenie, jak np. wyjście urzędnika z domu do biura: po drodze „bohater" naturalistyczny miał zauważyć, że... ma nieoczyszczone obuwie i — wrócić do domu. Takim wątkom naturaliści poświęcali całe tomy.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w podobne szczegółowe opisy obfitują również utwory realistyczne. Bardzo szczegółowe opisy znajdujemy u Balzaka, L. Tołstoja i innych realistów XIX w. Oczywiście, nawet najskrupulatniejsza dbałość o szczegóły opisu, zainteresowanie dla indywidualności odtwarzanych postaci — same przez się — nie rozstrzygają jeszcze o istocie metody artystycznej stosowanej przez danego pisarza. Byłoby błędem tę czysto zewnętrzną cechę uważać za decydującą dla określenia stylu i kierunku literackiego. Tak jednak czynią przeciwnicy realizmu — właśnie w walce z realizmem, celowo i rozmyślnie utożsamiając realizm z naturalizmem.

„Realizm — wywodzi Burow w cytowanym artykule (str. 120) — nie neguje wyposażenia w szczegóły, indywidualizacji odtworzonego zjawiska lub postaci, jednakże szczegóły realistycznego obrazu jako indywidualizacja są zaprzeczeniem indywidualizacji naturalistycznej."

Klasyczne określenie znaczenia indywidualizacji znajdujemy w pracach i wypowiedziach Marksa i Engelsa. Nauka marksistowska udowodniła, że w sztuce prawdziwie realistycznej występuje jedność cech indywidualnych i typowych. Engels twierdził, że prawdziwość opisywanych szczegółów jest jedną z zasadniczych cech realizmu. W szczególności w jednej ze swoich recenzji Engels podkreślił z uznaniem wyrazistą indywidualizację w charakterystyce postaci. „Każda postać jest typem, a zarazem całkowicie określoną jednostką" — pisał Engels o postaciach recenzowanego utworu (cyt. za artykułem Burowa str. 120). Tak więc indywidualizacja postaci stanowi dla Marksa i Engelsa warunek twórczości realistycznej.

Twórcy marksizmu i estetyki marksistowskiej nie ograniczają jednak swoich postulatów do tego jednego warunku. By okazać się prawdziwą, zgodną z rzeczywistością, postać powinna być żywa, odtworzona w konkretnej różnorodności cech i właściwości indywidualnych. Właśnie zdolność do zgodnego z prawdą odtwarzania oraz kunszt indywidualizacji postaci uważali klasycy marksizmu za sprawdzian talentu pisarza.

Warunkiem jednak prawdy i realizmu postaci jest zarazem spełnienie wymagania, by postać — w pełni indywidualna — uosobiała, konkretyzowała jakieś zjawisko powszechne, jakąś cechę społeczną. Doskonałość utworu artystycznego upatruje Engels w całkowitej harmonii „wielkiej głębi ideowej, zrozumienia sensu historycznego — z temperamentem i aktywnością Szekspira".

Tak więc twórcy socjalizmu naukowego kładli szczególnie silny nacisk na zrozumienie społecznego znaczenia odtwarzanych wydarzeń i zjawisk. Tylko taka postawa artysty pomaga mu w odzwierciedleniu najistotniejszych przejawów rzeczywistości. Bez tego wszelkie wyposażenie w szczegóły, wszelka indywidualizacja opisywanych zjawisk i postaci jest faktycznie niemożliwa, nierealna, prowadzi do „drobiazgowego mędrkowania i stanowi objaw ginącej literatury schyłkowców"... (cyt. z pracy Engelsa jw.).

Tej dialektycznej jedności pierwiastka indywidualnego i typowego, jednostkowego i zbiorowego w opisywanych literacko zjawiskach i postaciach nie mógł zrozumieć wybitny pisarz francuski, Emil Zola. W swoich artykułach teoretycznych Zola przeciwstawił pierwiastki indywidualne — powszechnym, typowym, wywodząc błędnie, że głównym — jedynym — celem realizmu jest odtwarzanie indywidualności, jednostki. Zola uważał się za realistę i zamierzał „rozwinąć" realizm Balzaka i Stendhala, usuwając zeń to, co stanowi jego istotę — obraz społeczno-typowy. Zola zupełnie świadomie atakował szerokie uogólnienie społeczne w twórczości i w konstrukcji wyobrażenia artystycznego. Zola uważał dążenie Balzaka i Stendhala do uogólniania, do syntezy — za „nienaturalne", za zatrzymywanie się w połowie drogi do realizmu. Zola bowiem błędnie przypuszczał że... „dążenie do indywidualizacji — oto co stanowi kotwicę naszego ocalenia".

A więc Zola łudził się, że występuje w obronie realizmu, faktycznie zaś swoimi wywodami estetycznymi przygotował teoretyczny grunt dla naturalizmu. Trzeba jednak przyznać, że w swojej twórczości Zola częstokroć ulegał temperamentowi społecznemu i popadał w sprzeczność z własnymi teoriami, posuwając się do uogólnień społecznych.

Wysunięte przez Zolę żądanie naturalistycznej indywidualizacji jest więc równoznaczne z postulatem aspołecznej

postawy literatury i sztuki, albowiem wyklucza odtwarzanie zjawisk i stosunków typowych pod względem społecznym. Krytykując to stanowisko autor omawianego artykułu, Burow, pisze:

„Aspołeczność w odtwarzaniu rzeczywistości oznacza zniszczenie realnej perspektywy historycznej, realnej epoki, realnego, społecznego człowieka."

Maksym Gorki rozwijając zasady estetyki marksistowsko - leninowskiej, napisał w roku 1912 w swojej pracy „O współczesności" kilka gorzkich słów prawdy pod adresem schyłkowców w ogólności, a naturalistów w szczególności.

„Zadaniem prawdziwej wolnej sztuki są sprawy powszechne, typowe: wieczne i nieśmiertelne dzieła sztuki zawsze są syntetyczne. Dla syntezy zaś niezbędna jest rozległa, wszechstronna znajomość życia, czego właśnie brak współczesnemu pisarzowi (A. M. Gorki „Litieraturno-kriticzeskije statii", Moskwa, 1937, str. 134—5).

W epoce tryumfu realizmu socjalistycznego, kiedy romantyzm rewolucyjny stanowi nieodłączny składnik radzieckiej twórczości literackiej, kiedy literatura porewolucyjna stworzyła gigantyczną postać pozytywnego bohatera — budowniczego komunizmu — ta naturalistyczna przyziemność słusznie uchodzi za horyzont „zaplutych karłów". Wiemy dobrze, że również w okresie działalności Zoli i naturalistów XIX w. ludzkość była świadkiem bohaterskich przykładów rewolucyjnej romantyki walczącego proletariatu. Oczywiście — ze swej pozycji klasowej — Zola nie chciał tego dostrzegać i innym pisarzom „radził", by ignorowali bohaterstwo w swojej twórczości artystycznej.

Naturalistyczna indywidualizacja „zwyczajnych śmiertelników" odżegnując się od prób uogólniania społecznego stanowi cel artystyczny sam w sobie. Naturalizm nie może więc odtworzyć rzeczywistości, bo jest równoznaczny z wypaczaniem rzeczywistości. Natomiast w utworach realistycznych indywidualizacja powiązana jest z uogólnianiem artystycznym, stanowi środek do tym pełniejszego, tym głębszego odtworzenia rzeczywistości w obrazach i postaciach. Z naturalistycznego pojmowania wynika również druga cecha naturalizmu: tzw. dokumentarność, „fotograficzność" w odtwarzaniu rzeczywistości. To wymaganie maksymalnej dokumentarności jest również niczym innym jak rezygnacją z artystycznego uogólniania, z artystycznej oceny społecznej opisywanych zjawisk. Wymaganie „fotografowania" rzeczywistości zmierza — zdaniem teoretyków naturalizmu — do wyeliminowania osobowości twórcy, nie pozwala mu na osobiste ustosunkowanie się uczuciowe do odtwarzanej rzeczywistości.

Pod szyldem walki z subiektywnym nastawieniem autora zwolennicy naturalizmu odmawiają pisarzom prawa oceny opisywanych zjawisk: artystom nie wolno ani chwalić, ani potępiać, mają tylko konstatować fakty. Zdaniem Zoli — „powieściopisarz — to nie moralista lecz anatom, który zadowala się skonstatowaniem tego, co znalazł w ludzkich zwłokach" (cyt. jw. str. 123).

W konsekwencji estetyka naturalistyczna walczy z wszelką interpretacją opisywanych zjawisk, zwalcza i potępia treść ideową literatury i sztuki. W rzeczywistości jednak naturalistyczny „obiektywizm" bynajmniej nie jest obiektywizmem, nie osiąga obiektywnego odtwarzania realnej rzeczywistości, lecz sprzyja subiektywnej dowolności. W jaki sposób?

W sensie teorii poznania naturalistyczny kult faktów jest równoznaczny z rezygnacją z wszelkiej myśli i konstrukcji teoretyzującej, z wszelkiego arty-

stycznego procesu uogólniającego. Ponieważ jednak każdy twórca musi myśleć, więc również artysta-naturalista myśli. Na pytanie, jakie sądy wynikają z takiego procesu myślenia, wbrew zamierzonej przesłance artystycznej, znajdujemy odpowiedź w „Dialektyce przyrody" Engelsa (cyt. za Burowem jw. str. 123):

„Jakkolwiek wielką pogardę mógłby ktoś żywić dla wszelkiej myśli teoretycznej, bez niej jednak niemożliwe jest nawet powiązanie ze sobą dwóch faktów przyrodniczych lub też zrozumienie istniejącego między nimi związku. Chodzi tylko o to, czy myśli się przy tym prawidłowo, czy nie. Rozumie się samo przez się, że pogardzanie teorią stanowi najpewniejszą drogę do tego, żeby myśleć naturalistycznie, a tym samym — błędnie".

Wskutek ograniczania się do konstatowania faktów, do faktografii, naturalista niejako narzuca rzeczywistości swoje subiektywne domniemania, którymi zastępuje twórczą pracę myśli i poznawanie obiektywnej istoty rzeczy i zjawisk. Poza tym już sam wybór materiału twórczego, obiektu naturalistycznej „fotografii" wymaga znajomości rzeczywistości, bez której to znajomości fotografia zależy całkowicie od kaprysu w wyborze obiektu, zaś brak perspektywy doprowadza do przerostu szczegółów.

Powyżej przytoczyłem kilka przykładów ciasnoty horyzontów twórczych naturalistów XIX w., wspominałem również o potwornej hipertrofii szczegółików, wynikającej z przesadnego, nienaturalnego „zbliżenia" autora do „fotografowanych" obiektów, co oczywiście jest całkowicie dowolne, przypadkowe i ma jedynie na celu zniekształcenie opisywanego zjawiska. U podstaw współczesnego naturalizmu leży otrzymany w spuściźnie po naturalistach XIX w. biofizjologiczny i biopatologiczny pogląd na człowieka i społeczeństwo. Angielskiego schyłkowca Lawrence'a interesuje człowiek-zwierzę, co sam szczerze przyznaje. W konkursie na najlepszą amerykańską nowelę w r. 1947 nagrody uzyskały cztery nowele, których wątek wzięty jest rzekomo z życia codziennego. W jednej z tych nowel—chłopczyk popełnia morderstwo, bohaterem drugiej noweli jest schizofrenik, trzecia nowela ze szczegółową dokładnością opisuje nieszczęśliwy wypadek oraz przebieg operacji.

Właściwością naturalizmu we współczesnej literaturze i sztuce burżuazyjnej jest jego ścisłe powiązanie, całkowite stopienie się z kierunkami jawnie dekadenckimi: symbolizmem, formalizmem, egzystencjalizmem i innymi „ołtarzykami" reakcyjnej, imperialistycznej estetyki. Fadiejew w swoich „Problemach realizmu socjalistycznego" (cyt. wg. art. Burowa jw. str. 131) pisze, że obecnie zupełnie jasno wykrystalizowały się w estetyce burżuazyjnej dwie formy zwyrodnienia literackiego: „Z jednej strony zoologiczny naturalizm, z drugiej strony wyrafinowany symbolizm, stanowiący często takie samo estetyzowanie ludzkiej podłości".

Klasowa treść nakazów estetyki naturalistycznej polega więc na zaprzeczaniu ideowości w sztuce i literaturze, na głoszeniu zasady „niewtrącania się" literatury do spraw społecznych, na przerzuceniu zainteresowania artystycznego na tory zboczenia i zbrodni. Nie znaczy to jednak — wbrew zapewnieniom naturalistów — że naturalizm nie jest tendencyjny, że nie uprawia propagandy społeczno-politycznej. Naturalizm jest wybitnie tendencyjny, albowiem jego walka z realizmem wykazuje okre-

ślona tendencję reakcyjną, imperialistyczną, maskującą swą treść klasowo-społeczną — krzykiem o „niewtrącanie się" sztuki i literatury do życia społecznego. Jak było już powiedziane wyżej, naturalizm jest odmianą reakcyjnego kierunku estetycznego, głoszącego schyłkową, formalistyczną teorię „sztuki dla sztuki". Naturalizm jest więc kierunkiem antyhumanistycznym, reakcyjnym, obcym i wrogim bohaterskiej rzeczywistości radzieckiej, radzieckiej sztuce i literaturze, radzieckiej kulturze, owianej ideowością komunistyczną.

Józef Spine

Za amerykańskim kordonem

Przeglądam miesięczniki intelektualistów zachodnio-niemieckich z ostatniego kwartału roku 1950. Czym żyje, czym się karmi szczupłe grono czytelników takich czasopism, jak „Die Neue Rundschau", „Das Literarische Deutschland", „Frankfurter Hefte", „Der Monat", „Deutsche Rundschau", czasopism, pretendujących do reprezentowania elity umysłowej zachodnich Niemiec?

Zacznijmy od góry, a więc od „Die Neue Rundschau", kwartalnika, wydawanego przez 60 lat (z emigracyjną 15-letnią przerwą 1933 — 1948) przez S. Fischer Verlag w Frankfurcie nad Menem. Jest to w historii literatury niemieckiej dobrze zapisany periodyk, tym bardziej więc ciekawić nas musi, jaką treść wnosi to pismo w życie niemieckie połowy XX wieku. Numer otwiera essay Aldousa Huxley'a, autora „Nowego wspaniałego świata", obecnie mnicha (buddyjskiego bodaj obrządku) w luksusowym prywatnym klasztorze w Kalifornii. Essay jest tłumaczeniem pierwszego rozdziału książki „Themes and Variations", wydanej jesienią 1950 roku w Londynie, i nosi tytuł „Podwójny kryzys."

Ludzkość — twierdzi Huxley — przeżywa obecnie podwójny kryzys, występujący na dwóch płaszczyznach, „wyższej — politycznej i gospodarczej, oraz niższej — demograficznej i ekologicznej". Główną troską Huxley'a jest jednak „kryzys demograficzny", który w/g statystyk uczonych wyraża się tym, że ludność Azji i Europy Wschodniej wzrasta „zastraszająco szybko" (tak więc do roku 1970 ludność Związku Radzieckiego wzrośnie o dalsze 50 milionów, podczas gdy ludność zachodniej Europy zmniejszy się o 9 mil., a do roku 2000 ludność Azji wyniesie ponad dwa miliardy). Co więcej, tę samą „zastraszającą" tendencję wykazują ludy kolorowe w innych częściach świata. Stara troska hitlerowskich demografów, przejęta została z kolei przez Huxley'a z dobrodziejstwem hitlerowskich wniosków:

„W tym stuleciu — pisze Huxley — przeludnia się nasza planeta. Dziecinną mrzonką jest zatem twierdzenie, że my możemy w Indiach lub w Chinach stworzyć demokratyczne instytucje, albo umożliwić Niemcom zajęcie odpowiedniego miejsca wśród demokratycznych narodów świata. Dopóty, dopóki istnieć będzie przepaść między liczbą ludności a zasobami żywności i surowców, przepaść, która istnieje dziś w całej Azji, w większej części Europy, a szczególnie w pokonanych Niemczech, demokratyczne instytucje są tam praktycznie niemożliwe."

I tak strona po stronie Aldous Huxley, metafizyczny geopolityk, brnie starym śladem starego Haushofera, przypisując demografii demoniczną siłę żywiołu, której nie okiełzna ani żadna reforma społeczna, ani nowy podział dóbr. „Zmiany struktury społecznej i gospodarczej nie wystarczą do rozwiązania naszego problemu..."

Polityczny kryzys zaś — według Huxley'a — polega na tym, że „Rosjanie wygrywają pokój. A dzieje się to dlatego, że posiadają oni jasno określoną filozofię... pozwalającą im przewidywać bieg dziejów i z pewnością fanatyków twierdzić, że pewien rodzaj politycznej i gospodarczej rewolucji nieuchronnie doprowadzi ludzkość do powszechnego dobrobytu. Na Zachodzie natomiast nie przyjęliśmy dotąd żadnego zwartego światopoglądu... toteż, kiedy powstaje konieczność wypracowania przez nas polityki światowej, brak filozofii oryginalnej powoduje, że łatwiej nam wypowiadać się *przeciwko* Rosjanom, niż *za* jakąkolwiek ideą własną... Oczywiście nie jest to dla nas pochlebne, że nie potrafiliśmy dotąd znaleźć formuły jakiejś polityki, która by była dostatecznie rozsądna i zrozumiała i mogła wydawać się bardziej atrakcyjna od wytycznych polityki komunizmu. Najbliższym tego rodzaju pozytownej polityki był Plan Marshalla. Lecz Plan ten został już przesłonięty sojuszami wojskowymi, które mają to do siebie, że są atrakcyjne tylko dla bezpośrednio zainteresowanych, a i to w dość ograniczonym stopniu, jeśli się weźmie pod uwagę historię wojskowych sojuszów w przeszłości..."

Z kolei Aldous Huxley wypowiada się za „polityką uśmierzania skutków ciężkiego kryzysu i usuwania jego przyczyn". Konkretnie „uśmierzanie" winno według Huxley'a rozpocząć się od wielkiej światowej akcji uśmiercania embrionów przez ograniczenie urodzin. Jednocześnie żąda Huxley wzmożenia produkcji rolniczej, ochrony pól i lasów przed gospodarką rabunkową. Na koniec — nie wymieniając imienia Trumana — wypowiada się za Trumanowskim planem odkrywania i wykorzystywania nieznanych dotąd zasobów surowców kuli ziemskiej. Huxley nie wspomina o tym, że gigantyczne zdobywanie nowych pól uprawnych przez zalesianie milionów hektarów, odwracanie biegu rzek i nawadnianie pustyń odbywa się tylko w Związku Radzieckim, natomiast niszczenie pól i lasów, zmienianie w pustynie milionów hektarów odbywa się od dziesiątek lat w Ameryce i w koloniach.

Intelektualistom nie interesującym się polityką, essay Huxley'a wydać się może czymś bardzo oryginalnym. W rzeczywistości essay Huxley'a jest zręczną „filozoficzną" podbudową imperialistycznego planu Trumana „pomocy zacofanym krajom w odkrywaniu i pomnażaniu zasobów surowcowych", planu, który nie dopuszcza do „zmian struktury społecznej i gospodarczej", bo to „nie rozwiązuje problemu", natomiast zezwala kapitałowi amerykańskiemu na kolonialne formy rządzenia ludami zachodniej hemisfery. „Jeśli Rosjanie — pisze Huxley — nie zgodzą się na naszą politykę, to zimną wojnę będziemy musieli prowadzić dalej. Lecz w tej zimnej wojnie nasza polityka, określona powyżej, będzie potężną dyplomatyczną i p r o p a g a n d o w ą bronią..." Jasne? Jasne.

Po essayu Aldousa Huxley'a redakcja „Die Neue Rundschau" dała tłumaczenie poematu T. S. Eliota, jakiejś przedziwnej mieszaniny zdań sensownych i nie do pojęcia, poematu, opatrzonego sześcioma stronami dopisków autora, zaciemniających utwór do reszty. Przyczyną przetłumaczenia starego zresztą

wiersza (z 1922 roku) było chyba tylko to, że jedną z „bohaterek" jest jakaś arystokratka, która mówi o sobie: „Nie jestem Rosjanką, pochodzę z Litwy, krew we mnie płynie najczystsza niemiecka..."

Dalsze pozycje: Karl Jaspers „O znaczeniu Nietzschego w historii filozofii"; tłumaczenie fragmentów komedii wierszowanej dramaturga angielskiego Christophera Fry „The Lady not for burning" (wystawionej z małym powodzeniem obecnie w zachodnim Berlinie); essay Eugena Guerstera „Faust i Don Quijote"; rozprawa krytyczna o niemieckich tłumaczeniach wierszy Mallarmé i słaby debiut literacki (krótkie opowiadania) Rolfa Schroersa (rocznik 1919). 140-stronicowy zeszyt zamykają „Notatki o polityce światowej", opatrzone takim pięknoduchowskim wstępem:

„Są wojny, które rozpoczynają się uderzeniem werbla, i są wojny, w których muzycy kolejno, nie śpiesząc się, chwytają za instrumenty. Wkrótce wrzawa jest ta sama. W jaki sposób i kiedy ześlizniemy się w odmęt trzeciej światowej wojny, o tym dowiemy się dopiero wtedy, gdy to nastąpi, a być może, że i jeszcze później. Epoka uregulowanych, cywilizowanych wojen wyglądała zupełnie inaczej. Wówczas wiedziało się, gdzie i kiedy wybuchnie wojna. Wszystko było piękne i proste, odwrotnie niż dzisiaj."

Po tym wstępie przeczytać można równie pięknoduchowsko, na pół serio, na pół drwiąco napisane dłuższe notatki o Korei, o Pakcie Atlantyckim, o podziale Niemiec i o remilitaryzacji.

Po przeczytaniu całego numeru „Die Neue Rundschau" ma się uczucie wściekłej czczości. „Łatwiej nam się wypowiadać przeciwko Rosjanom, niż za jakąś ideą własną..." Redakcja „Die Neue Rundschau" zadała sobie dużo trudu, aby całością numeru podeprzeć słuszność Huxleyowskiej tezy.

„Die Neue Rundschau" jest pismem niemieckim, „Der Monat" jest miesięcznikiem amerykańskim, wydawanym przez „Information Service Division" specjalnie w języku niemieckim dla intelektualistów zachodnio - niemieckich. Biorę numer listopadowy. Na wstępie artykuł Arthura Koestlera pt. „Europejski legion wolności". Artykuł jest tłumaczeniem z pierwodruku w „New York Times Magazine".

„Przed miesiącem — pisze Koestler — ministrowie spraw zagranicznych Paktu Atlantyckiego przyjęli propozycję min. Dean Achesona utworzenia wspólnego dowództwa dla armii dwunastu państw zachodnich. Jest to ważny krok naprzód... Ja ze swej strony proponuję pójść dalej i w ramach Paktu Atlantyckiego pod wspólnym dowództwem utworzyć armię elitarną, „legion wolności", złożony z ochotników jedenastu zachodnio-europejskich narodów... W takiej armii, francuski poilu i niemiecki Landser nie czuliby się bezbronnymi ofiarami archaicznego szowinizmu, czy ciemnych machinacji bankierów i polityków, natomiast czuliby się żołnierzami Europy, maszerującymi pod europejską flagą w takt europejskiego hymnu... Ci, którzy nie pojmują „idei Europy" i urządzają we Francji czy Włoszech „antyfaszystowskie krucjaty przeciw Coca-Coli i Generałowi Franco... nie pojęli dotąd, że świat od 1936 roku nie stoi w miejscu..."

Następny autor Ludwig Marcuse, prof. uniw. w Los Angelos opowiada „o istocie utopii, czyli tęsknocie ludzkiej do lepszego ładu społecznego" (Lepszy ład społeczny jest utopią, obywatele); H. R. Trevor-Roper, b. oficer wywiadu angielskiego, obecnie „historyk", autor książki „Ostatnie dni Hi-

tlera" opowiada o trudnościach historyka-wywiadowcy przy ustalaniu daty śmierci Hitlera; Karl Jaspers tym razem nie pisze o Nietzschem, natomiast daje „studium porównawcze" pt. „Marx i Freud", atakując obu z pozycji egzystencjalisty. — Eugen Larch napisał długie pseudo-objektywne wypracowanie o rasizmie. Dalsze kilkadziesiąt stron wypełniają wyjątki prozy zmarłego w 1942 r. pisarza austriackiego Roberta Musila. Zamykają numer noty literacko-polityczne z ostrymi wypadami antyradzieckimi.

„Frankfurter Hefte", wydawane przez Eugena Kogona i Waltera Dirksa, miały kiedyś opinię pisma „postępowych niemieckich katolików". Od czasu podróży Kogona po USA (1948) i wstąpienia do redakcji „Frankfurter Hefte" osławionego agenta Gestapo i wywiadu niemieckiego, Bernda Giseviusa (1949), autora „Bis zum bittern Ende", miesięcznik ten „poświęcony sprawom kultury i polityki" stał się jeszcze jednym „głosem Ameryki" wśród czasopism zachodnio - niemieckich. Listopadowy numer „Frankfurter Hefte", podobnie jak listopadowy numer „Der Monat" w artykule wstępnym stawia sprawę remilitaryzacji zachodniej Europy. „Amerykanie — pisze autor artykułu, Eugen Kogon — patrzą z sympatią na ideę politycznego jednoczenia Europy. My również. Ale Amerykanie — „krytykuje" Kogon — nie wykorzystali ani Planu Marshalla, ani pomocy wojskowej do zmuszenia Europejczyków, by się jednoczyli. Boją się, że nacisk w tej sprawie popsułby im stosunki z Foreign Office. Poza tym mają obawę, że Rosjanie zarzucą im „dyplomację dolarową". A tymczasem tego rodzaju nacisk dolara przydałby się bardzo. Dlaczegóż więc nie spróbują Amerykanie nacisku na rządy zachodnio-europejskie, by wykonały to, czego chcą narody, a co tak wolno postępuje naprzód. Przecież od sprawy zjednoczenia Europy zależy los zachodniego świata..."

Eugen Kogon uważa, że remilitaryzacja Niemiec bez stworzenia (przez Amerykanów) „wspólnego europejskiego autorytetu" jest niemożliwa. Nie złączeni ideą europejską „żołnierze dziś powołani do armii, jutro pierzchną w popłochu na polu bitwy, albo przejdą na drugą stronę"! Francuski poilu i niemiecki Landser mogą maszerować wspólnie tylko w takt europejskiego marsza, zrodzonego pod naciskiem dolara. To ostatnie zdanie jest próbą syntezy idei, reprezentowanych przez „Der Monat" i „Frankfurter Hefte". Trockista Arthur Koestler i „katolik" Eugen Kogon podali sobie ręce pod naciskiem dolara...

O dalszej treści listopadowego numeru „Frankfurter Hefte" wspomnę tylko, że jest to mieszanina następujących wypowiedzi: Przemówienie Denis de Rougemont „Do Posłów Europy", rozprawa teologiczna „O dogmacie i historii", studium „O wysiedleńcach ze wschodu", nowela o tematyce wojennej, reportaż z Indochin, wreszcie notatki i glossy. Miesięcznik zamykają reklamy książki, wydanej przez „Frankfurter Hefte": „Historia Niemieckiego Sztabu Generalnego"; księgarni, mającej monopol na rozsprzedaż amerykańskich wydawnictw; wydawnictwa książek teologicznych; reakcyjnego tygodnika „Deutsche Kommentare", redagowanego przez Karla Silexa, b. red. nacz. „Deutsche Allgemeine Zeitung", jak podkreśla reklama (przemilczając natomiast lata działalności Silexa: 1935—1945!) oraz na ostatniej stronie okładki ogłoszenie równie reakcyjnego tygodnika „Christ und Welt". (W poprzednim numerze chrześcijański charakter „Frankfurter Hefte" podkreślił na o-

statniej stronie okładki wizerunek Dziewicy Orleańskiej — reklama amerykańskiego filmu z Ingrid Bergmann).

Miesięcznik „Deutsche Rundschau" wychodzi z trzyletnią przerwą (1943—1946, brak papieru) 76-y już rok. Jest to organ „konserwatywnej myśli kulturalno - politycznej". Wydawca: Rudolf Pechel. W części politycznej listopadowego numeru znajdujemy rozprawy: „Idea Trzeciej Siły", „Kryzys demokracji i monarchii", „Idee Kemala Paszy", „Irlandia 1950". W części literackiej essay o nowych prądach w muzyce, szkic historyczny o hrabiowskiej meklemburskiej rodzinie von Hahn, mającej artystyczne fanaberie w pierwszej połowie XIX wieku; dalej opowiadanie, mocno zakropione metafizyką, Stefana Andressa, wreszcie dwa wiersze, z których jeden opatrzony datą „1945" brzmi w końcowej strofie tak:

„Milionów krzyk:
Dlaczego?
Dlaczego?
— — — — — — —
Idzie przez kraj
Cierpienie i ból."

Na to pytanie, dlaczego w niemieckim kraju w 1945 roku miliony ludzi musiały cierpieć głód i poniewierkę, redakcja „Deutsche Rundschau" równie nie potrafi dać rozsądnej odpowiedzi jak i na pytanie glossisty: „Skąd te niesamowitości naszych czasów, że zaledwie 100 000 ludzi żyje wśród nas w dobrobycie, ubiera się dobrze, chodzi do teatru, jeździ samochodami i uważa, że im się to należy, a obok wegetują miliony źle ubrane, niedożywione, nie mogące uczęszczać do teatrów ani jeździć autami, a my uważamy, że tak być powinno?... Skąd ta niesamowitość naszych czasów, że byli więźniowie obozów koncentracyjnych (a byli tam przecież nie tylko komuniści) zepchnięci zostali na drugo czy trzeciorzędne pozycje, a wielu jest bez pracy i chleba; że Żydzi, którzy po długich latach tułaczki powrócili do nas w dobrej wierze w naszą lojalność znów są napastowani i obrzucani błotem nienawiści; że setki inwalidów, ludzi starych i młodych, żebrze na każdym rogu ulicy? I dlaczego my sami musimy codziennie, co godzina duszę naszą, sumienie nasze wynosić na targ, na sprzedaż, aby nie być podejrzanym o siedzenie na dwóch stołkach?... To wszystko jest niesamowitością naszych czasów, które przeżywamy w pięć lat po straszliwej wojnie..."

Zdawałoby się, że glossista „Deutsche Rundschau", widzący tak plastycznie obraz Niemiec Adenauera i Mc Cloy'a, dostrzeże przyczyny zła, kiedy w jednej z następnych gloss poruszy sprawę mianowania przez Adenauera swoim doradcą wojskowym hitlerowskiego generała von Schwerina. Gdzie tam! „Z radością stwierdziliśmy, że osobie hrabiego Schweriną nic zarzucić nie można. Nie jest to typ generała-intelektualisty, znanego ze szkoły Seeckta, pełnego ambicji politycznych. Graff Schwerin jest prawdziwym żołnierzem, który najbardziej nienawidzi militaryzmu i nawet w dwuszeregu stojących na baczność żołnierzy potrafi dostrzec człowieka, a nie numer..."

W pierwszej europejskiej kolonii amerykańskiego imperializmu właściciele wieżyczek z kości słoniowej „co dzień, co godzina muszą wynosić na targ, na sprzedaż swoje dusze, swoje sumienie — aby nie być podejrzanymi o siedzenie na dwóch stołkach..."

Zgadzam się całkowicie w Huxley'em, że „dziecinną mrzonką" jest twierdzenie, jakoby zachodni okupanci byli w stanie budować demokrację „w Indiach lub w Chinach, lub w Niemczech Zachodnich".

Edmund Osmańczyk

Książki nadesłane

PROZA

Jorge Amado. — Drogi głodu. Autoryz. przekł. z portug. Małgorzaty Hołyńskiej Eugeniusza Grudy. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 340+3 nlb.

H. Andronikow — Tajemniczy portret. Przekł. E. Majewskiej, przekł. wierszy Stanisława Ziembickiego. „Książka i Wiedza", Warszawa. 1950. Str. 80 + 2 nlb.

Jan Brzoza — Budowali gmach. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 237 + 2 nlb.

Ferreira de Castro — Emigranci. Powieść. Przekł. autoryzowany Aleksandry Olędzkiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1950. Str. 295 + 1 nlb.

Antoni Czechow — Szydło z worka i inne opowiadania. Biblioteka Szpilek pod red. Antoniego Marianowicza, 10, „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 184 + 5 nlb.

Fritz Erpenbeck — Spekulanci. Przekł. z niem. Dr. A. Guttry. Klub „Odrodzenia" V 1950. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 433 + 1 nlb.

Mikołaj Gogol — Poranek dygnitarza i inne opowiadania. Przekł. z ros. Juliana Tuwima i Jerzego Wyszomirskiego. Ilustr. Ignacego Witza. Biblioteka Szpilek pod red. Antoniego Marianowicza, 11. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 204 + 4 nlb. z ilustr.

Mechti Husein — Apszeron, Przekł. z ros. R. Bielickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 209 + 1 nlb.

Włodzimierz Juriezański — Rzeka ujarzmiona. Przekł. autoryz. Marii Janinny Majewskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 437 + 1 nlb.

Lew Kassil — Szwambrania. Przekł. z ros. Jana Karola Wende. Ilustr. A. Mierzejewskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 321 + 1 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Król i Bondarywna. Powieść. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 205 + 1 nlb.

Aleksander Popowski — Natchnieni badacze. Przekł. z ros. A. Jackowskiego. Terminologia naukowa dr W. Wyrwickiej-Kołodziejczyk. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 221 + 1 nlb.

Romain Rolland — Jan Krzysztof. Księga pierwsza — Świt, poranek, młodzieniec. Przekł. autoryzowany Leopolda Staffa. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 485 + 2 nlb.

Paul Tillard — Powrót. Powieść. Klub Dobrej Książki. II 1950. Przekł. z franc. Ewy Fiszer. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 155 + 1 nlb.

Aleksy Tołstoj. — Dzieciństwo Nikity. Przekł. z ros. Kazimierza Truchanowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 119 + 1 nlb.

Zuzanna Wantoch — Nau Lu miasto zawiłych dróg. Opowiadanie z życia dzisiejszych Chin. Przekł. autoryz. Juliana Popławskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 117 + 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Michał Bałucki — Pan burmistrz z Pipidówki. Dwie wizyty Jego Ek-

scelencji. Wstęp Jana Szeląga, ilustr. Baro. Biblioteka Szpilek pod red. Antoniego Marianowicza, 9, „Czytelnik", Warszawa, 1950. Sr. 171+4 nlb.

Józef Dunin Borkowski — Wybór poezji. Wyd. i oprac. Adam Ważyk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 107 + 1 nlb.

Teodor Bujnicki — Wybór wierszy. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 67 + 1 nlb .

I. Koczerga — Maszynista Czerewko. Sztuka w 2 aktach. Przekł. i adaptacja Jerzego Kuryluka. Biblioteczka Świetlicowa Nr 65. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 50+2 nlb.

Władysław Lubecki — Sprawa Anny Kosterskiej. Sztuka w 4 aktach. Biblioteczka Świetlicowa Nr 62. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 97 + 1 nlb.

Anatol Sofronow — Moskiewski charakter. Przekł. J. Flesznera. Adaptacja J. Botłuć Staszewskiej. Biblioteka Świetlicowa Nr 64. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 104 + 2 nlb.

Izydor Sztok — Gastello. Sztuka w 3 aktach. Inscenizacja i przekł. Czesława Szpakowicza. Biblioteka Świetlicowa Nr 60. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 112 + 2 nlb.

Andrzej Uspieński — Przyjaciele. Przekł. Marii Bechczyc-Rudnickiej. Biblioteka Świetlicowa Nr 67. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 107 + 3 nlb.

Satyra polska w walce o pokój. Wstęp Jana Szeląga. Biblioteka Szpilek, 8, pod red. Eryka Lipińskiego, Antoniego Marianowicza i Jana Szeląga. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 117 + 3 nlb. z ilustr.

ESSAY I KRYTYKA

Tadeusz Boy-Żeleński — O Balzaku. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 112 + 2 nlb.

Maksym Gorki — Po czyjej jesteście stronie, „twórcy kultury"? „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 135 + 2 nlb.

Kazimier Wyka — Legenda i prawda „Wesela". Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 79 + 1 nlb.

500 lat malarstwa polskiego. Album. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950.

LITERATURA MARKSISTOWSKA

Roger Garaudy — Źródła francuskie socjalizmu naukowego. Przekł. z franc. Stanisława Brucza. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 328.

W. I. Lenin — O usprawnieniu aparatu państwowego oraz o walce z biurokratyzmem i mitręgą w urzędowaniu. Listy i notatki 1917-1922. Biblioteka Klasyków Marksizmu-Leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Sr. 107.

— Ekonomika i polityka w epoce dyktatury proletariatu oraz inne artykuły z lat 1918—1923. Biblioteka Klasyków Marksizmu-Leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 121 + 2 nlb.

Karol Marks — Listy do Kugelmanna. Biblioteka Klasyków Marksizmu-Leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 157 + 2 nlb.

PUBLICYSTYKA I HISTORIA

Jorge Amado — Albania radosna. Przekład z portug. E. Grudy i M. Hołyńskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 70 + 1 nlb.

Pierre Courtade — Albania. Przekł. z franc. Jana Guranowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 95.

Jean Dautry — Historia rewolucji i kontrrewolucji we Francji w latach 1848—1851. Przekł. z franc. Jana Guranowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 421.

Jak USA przygotowywały agresję przeciw ludom Azji — „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 59 + 3 nlb.

Artur D. Kahn — Zmarnowane zwycięstwo. Początki okupacji amerykańskiej w Niemczech. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 236 + 2 nlb.

Richar Sasuly — I. G. Farben. Z dziejów jednego kartelu. Przekł. autoryz. Mariana Marciniaka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 321 + 1 nlb.

Leon Schaff — Polityczne założenia wymiaru sprawiedliwości w Polsce Ludowej. Biblioteka Zrzeszenia Pracowników Demokratów, 12. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 226 + 1 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

B. Baranowski, W. Lewandowski i J. St. Piątkowski — Upadek kultury w Polsce w dobie reakcji katolickiej XVII—XVIII w. Wypisy źródłowe. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 224 + 3 nlb.

Jan Nielubowicz — Badania nad powstawaniem „ostrego żółtego zaniku" (ostrej martwicy) wątroby pod wpływem przedostawania się lub wprowadzenia do wspólnego przewodu żółciowego soku trzustkowego lub pankreatyny. Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Wydział IV Nauk Biologicznych — sekcja nauk lekarskich.

Jakub Sawicki—Concilia Poloniae. Źródła i studia krytyczne V. Synody archidiecezji gnieźnieńskiej i ich statuty. Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Wydział II Nauk historycznych, społecznych i filozoficznych. Warszawa, 1950. Str. CXV + 281.

Jan Sokołowski — Z biologii ptaków. Pod red. L. Bohuszewicza. Ilustr. autora. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 290 + 1 nlb. z ilustr.

P. Szmidt — Wędrówki ryb. Przekł. B. Dixon. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950.

Marian Wróbel — Tajemnica dwuchodówki. Studium z zakresu konstrukcji i tematyki problemu. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 371 + 2 nlb.

Wszechświat. Poradnia dla samouków. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 131 + 2 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Kazimierz Wyka: Stefan Żeromski 3
Stefan Żeromski: Wyjątki z pamiętnika 16
Henryk Gaworski: Poemat o pierwszym wieku 22
Jan Śpiewak: Warszawa 32
Marian Pankowski: Tygodnik filmowy widziany w Brukseli . . 37
Jan Huszcza: Gdy pokój: w trawach szeleści kosa..., Tam, gdzie traktorów pracowite... 38
Stanisław Wygodzki: Na południowym stoku. Podróżując. . 41
Wanda Karczewska: Śpiew starego drzewa. Nie ma rozstania . 42
Józef Kuśmierek: Sprawa jednego konia 44
Julian Przyboś: Tęcza na burzy. Czarodziejska góra 68
Edmund Osmańczyk: Tematy do powieści 71
Janusz Warmiński: Zwycięstwo. Akt III 86
Barbara Rafałowska: Proza Pawlenki 114
Adam Mauersberger: Władysław Mickiewicz, Andrzej Towiański i inni 120
Sandor Petöfi: Jedna zima w Debreczynie. Nieudany plan — przełożył Aleksander Rymkiewicz 140
Mikołaj Niekrasow: Poeta i obywatel — przełożył Leopold Lewin 142
Aleksander Baumgarten: Ludzie na torach. 150
SEKCJA POEZJI Z L P: Witold Wirpsza — Czyżby nad Engelsem 159
WŚRÓD KSIĄŻEK: Jan Śpiewak — W. L. Brudziński: Zatrute strzały; Zaczepki; Antoni Marianowicz: Przejrzyste aluzje; Na wpół drwiąco; Adolf Sowiński — M. Morozow: Szekspir.
NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc, Edmund Osmańczyk 179
KSIĄŻKI NADESŁANE 189

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik“
Redaktor Naczelny: **Adam Ważyk**
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 754-65 centr. 401-80/90 wewnętrzny 22
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch“ Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu 3 zł 60 gr. Prenumerata kwartalna 10 zł 80 gr, półrocz. 21 zł 60 gr.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA zł 3.60

CZYTELNIK